



Nora Roberts



***Zagrajmy to jeszcze
raz***

Tytuł oryginału: *Once More with Feeling,*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Obserwował ją, sam trzymając się z boku. Nie chciał, by go spostrzegła. Pierwsze, co go uderzyło, to jak niewiele zmieniła się przez tych pięć lat. Czas obszedł się z nią łaskawie, nie wyrył na niej swego piętna.

Raven Williams była drobną, szczupłą dziewczyną. Poruszała się zręcznie i szybko, a skrywana, lecz wyczuwalna w jej ruchach nerwowość w niepojęty sposób go urzekała. Dwadzieścia pięć lat, lecz jej twarz ozłocona kalifornijską opalenizną była gładka i świeża jak buzia dziecka. Miała piękną cerę i choć często zapominała o kremie, jej skóra zawsze była nieskazitelna. Proste kruczoczarne włosy, rozdzielone na środku przedziałkiem, bujną kaskadą spływały na plecy, sięgając aż do bioder. Gdy szła, falowały łagodnie.

Twarz o zaznaczonych kościach policzkowych i lekko zarysowanej brodzie, usta skore do uśmiechu, okrągłe oczy w odcieniu przydymionej szarości. Prawdziwe zwierciadło jej duszy odbijające wszystkie emocje. Kochać i być kochaną – to było jej najgłębsze i najważniejsze pragnienie. To właśnie ta potrzeba, poza charakterystycznym, aksamitnie brzmiącym i głębokim głosem, przyczyniła się do spektakularnego sukcesu Raven Williams.

W studiu nagrań zawsze czuła się trochę nieswojo, miała bowiem wrażenie, że szkło i dźwiękoszczelne ściany oddzielają ją od prawdziwego świata. I choć od nagrania pierwszej płyty minęło już ponad sześć lat, nie potrafiła odnaleźć się w takim otoczeniu. Jej żywiołem była scena, buzująca emocjami widownia ładowała jej akumulatory, dodawała żaru muzyce. Praca w studiu, w oderwaniu od fanów, wydawała się jej mechaniczna, pozbawiona

pasji. Po prostu praca. I tylko praca, tak jak teraz. Choć bardzo się do niej przykładała.

Sesja nagraniowa dobiegała końca. Poszło im nieźle. W skupieniu przesłuchiwała nagrania, poza muzyką nic teraz dla niej nie istniało. Co jakiś czas rzucała komentarz typu: „Brzmi dobrze, ale mogłoby być lepiej. W ostatniej piosence czegoś zabrakło. Trudno to dokładnie określić, ale na pewno to poprawię”.

Gestem poprosiła, by zatrzymać taśmę.

– Marc?

Do kabiny wszedł płowowłosy, potężnie zbudowany mężczyzna.

– Jakiś problem? – zapytał, dotykając jej ramienia.

– Ten ostatni utwór jest jakiś... – Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. – Trochę bez wyrazu. Też tak myślisz?

Marc Ridgely był świetnym muzykiem i dobrym kumplem. Małomówny miłośnik starych westernów i migdałowych drażetek, a jednocześnie jeden z najlepszych gitarzystów w kraju.

Potał brodę. Zawsze miała przekonanie, że ten jego gest wystarcza za całkiem długą przemowę.

– Spróbuj jeszcze raz – zawyrokował na koniec. – Warstwa instrumentalna jest bez zarzutu.

Raven roześmiała się ciepło, perliście, tak jak śpiewała.

– Przykre, ale prawdziwe. – Znów włożyła słuchawki i podeszła do mikrofonu. – Jeszcze raz wokal do „Love and Lose” – powiedziała do inżynierów dźwięku. – Według największego autorytetu to wina wokalistki, nie muzyków.

– Nim obróciła się do mikrofonu, zdążyła pochwycić uśmiech Marca. Po chwili zatopiła się w muzyce.

Zamknęła oczy, dała ponieść się dźwiękom. Wolna, nasycona uczuciem ballada idealnie komponowała się z głosem Raven. Tekst był jej autorstwa, sprzed lat. Dopiero niedawno zdecydowała się go zaśpiewać, wcześniej nie czuła się na siłach. Muzyka przepelniała ją, przesłaniała wszystko. Zaczęła śpiewać i nagle zrozumiała, czego wcześniej zabrakło. Uczucia, które starała się trzymać na wodzy, teraz wybrzmiały w jej głosie, już ich nie powstrzymywała.

Znalazły ujście skrywane w głębi duszy ból i cierpienie. Śpiewała, jakby słowa mogły przynieść jej ulgę, wyzwolić. Nawet gdy skończyła, atmosfera była nabrzmiąta rozpaczą i żalem.

Cisza się przeciągała, lecz Raven była zbyt oszołomiona śpiewem, by dostrzec podziw na twarzach muzyków. Zdjęła słuchawki, które nagle stały się ciężkie, przytłaczające.

– W porządku? – Marc podszedł do niej i otoczył ją ramieniem. Poczuł, że Raven lekko drży.

– Tak. – Przycisnęła palce do skroni. – Tak, oczywiście. Wreszcie trochę się wczułam...

Uniósł jej twarz i pocałował ją, co jak na niego

– nieśmiałego i zachowującego rezerwę człowieka – było niebywałym gestem.

– Jesteś fantastyczna.

Raven uśmiechnęła się ciepło. Łzy, które już czuła pod powiekami, zniknęły bez śladu.

– Tego mi było trzeba.

– Buziaka czy komplementu?

– Jednego i drugiego. – Roześmiała się, odrzuciła włosy na plecy. – No wiesz, gwiazdy potrzebują nieustającego podziwu.

– Gdzie jest ta gwiazda? – ze śmiechem rzucił wokalista z chóru.

Raven przybrała groźną minę i powiedziała srogo:

– Uważaj, bo wylecisz!

Jednak chórkowy baryton wcale się tym nie przejął. Znał Raven, więc tylko uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dzięki komu przebrnęłaś tę sesję? Raven odwróciła się do gitarzysty.

– Zabierz go stąd i zastrzel – poleciła krwiożerczo, po czym rozejrzała się po studiu. – Uff, na tym kończymy!

Gdy jej wzrok padł na mężczyznę, który stał tuż przy szklanej tafli, krew odpłynęła jej z twarzy. Uczucia, które ją przepęłniały podczas wykonywania piosenki, znów odżyły i uderzyły z taką siłą, że omal się nie zachwiała.

– Brandon – wyszeptała. Czyżby to przywidzenie, sen, który stał się rzeczywistością? Poczowała na sobie jego wzrok i już wiedziała, że to się dzieje na jawie. Wrócił.

Lata na scenie wiele ją nauczyły. Umiała przywdziać maskę, choć czyniła to z pewnymi oporami. Teraz jej twarz nie wyrażała niczego poza uprzejmym zaskoczeniem. Z uczuciami, które kłębiły się jej w środku, poradzi sobie później.

– Brandon, cudownie cię widzieć. – Wyciągnęła do niego ręce i podstawiła policzek do niezobowiązującego pocałunku, jak to bywa przy spotkaniu ludzi z tej samej branży.

Jej reakcja zaskoczyła go. Widział, jak pobladła, widział szok malujący się w jej oczach, lecz teraz jej twarz nie wyrażała niczego. Układna, uśmiechnięta, rozluźniona. Czyli jednak bardzo się mylił. Zmieniła się.

– Raven. – Cmoknął ją lekko i ujął jej dłonie. – Piękniejsza niż to dopuszczalne. – Miał brytyjski akcent z ledwie słyszalną irlandzką nutą.

Przesunęła po nim szybkim, uważnym spojrzeniem.

Wysoki i jak dawniej trochę za szczupły. Gęste falujące czarne włosy. Jej też były czarne, tyle że idealnie gładkie. Lekko przysłaniały mu uszy i opadały na kołnierz. Nie zmienił się na twarzy, nadal wyglądał tak, że na koncertach dziewczyny i kobiety wpadały w amok, krzyczały i kołysały się w rytm jego muzyki. Opalony, o nieregularnych rysach, bardziej intrygujący niż przystojny, miał w sobie coś marzycielskiego, może po matce o irlandzkich korzeniach, co przyciągało do niego kobiety. Być może urzekła je ujawniająca się czasami jego brytyjska rezerwa. I oczy. Nawet teraz nie mogła się oprzeć ich spojrzeniu. Duże, o ciężkich powiekach, niebieskawozielone, niepokojące. Zaskakujące u tak kontaktowego człowieka jak Brand Carstairs. Raz niebieskie, po chwili wpadające w zieleń. No i ten jego urok. Urok i seksapil to nieodparta kombinacja.

– Nie zmieniłeś się wcale, prawda? – zapytała cicho.

– Zabawne. – Uśmiechnął się z zadumą. – To samo pomyślałem o tobie, gdy cię ujrzałem. Ale to nijak się ma i do ciebie, i do mnie.

– Co prawda, to prawda... – Gdyby tak puścił wreszcie jej rękę! – Co cię sprowadza do Los Angeles?

– Interesy, kochanie – odparł lekko, choć nadal przyglądał się jej badawczo. – No i oczywiście nadzieja, że znowu cię zobaczę.

– Oczywiście – powtórzyła z chłodną uprzejmością. Jej uśmiech też pozostał obojętny.

Ten sarkazm zaskoczył go. Raven, którą pamiętał, nie była taka.

– Chciałem cię zobaczyć – powiedział z rozbijającą szczerością, czyli na całkiem inną nutę. – I to bardzo. Zjemy razem kolację?

Serce zabiło jej szybciej. Ten jego zmieniony ton podziałał na nią. Jak kiedyś. Zdołała się jednak opamiętać.

– Niestety, bardzo żałuję – powiedziała z wystudiowanym spokojem – ale już mam plany na wieczór. – Przesunęła wzrokiem w bok, szukając wsparcia. Marc siedział z pochyloną głową nad instrumentem i improwizował z drugim muzykiem. Skrzywiła się w duchu. Brand podążył za jej spojrzeniem i lekko zwięził oczy.

– W takim razie jutro – rzekł gładko. – Chcę z tobą pogadać. – Uśmiechnął się do niej jak do starej znajomej. – Wpadnę do ciebie na chwilę.

– Brandon – zaczęła, próbując wycofać ręce.

– Julie nadal jest z tobą? – zapytał z uśmiechem. Nie puszczał jej dłoni, nieświadom jej oporu, a może tylko udawał nieświadomość.

– Tak...

– Chętnie znów ją zobaczę. Przyjadę koło czwartej. Znam drogę. – Uśmiechnął się, znów musnął ustami jej usta, puścił jej ręce, odwrócił się i odszedł.

– Tak – wyszeptała do siebie. – Znasz drogę.

Godzinę później minęła bramę i podjechała pod dom. Jedno, co udało się jej wydebić od Julie i agenta, to zgodę na samodzielne prowadzenie samochodu. Nie chciała być wożona; lubiła niski, sportowy wóz, jazda sprawiała jej przyjemność. Czasami zdarzało się jej mocniej przycisnąć gaz, poczuć prędkość. To dawało jej odprężenie, choć tym razem nie pomogło, bo wciąż była spięta. Zahamowała z piskiem opon, wyskoczyła z auta i po kamiennych schodach pobiegła do drzwi.

Po chwili była w pokoju muzycznym, gdzie padła na obitą jedwabiem wiktoriańską kanapę i niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w dal. Błyszczący mahoniowy fortepian zajmował centralne miejsce. Grała na nim często i o bardzo różnych porach. Dziwny to był pokój, czego tam nie było! Lampy Tiffany'ego, perskie dywaniki, fiołek afrykański w tandetnej doniczce,

wiekowa, zapchana po brzegi szafa na nuty, a także nuty rozsypane na podłodze, bezcenne pudełeczko Fabergego obok kupionego w lumpeksie mosiężnego jednorożca, w którym Raven z miejsca się zakochała, na jednej ścianie nagrody Grammy, złote i platynowe płyty, statuetki, klucze do kilku miast, na drugiej oprawiony w ramki tekst jej pierwszej piosenki i zachwycająca praca Picassa. W kanapie, na której siedziała, była popsuta sprężyna.

Zaskakująca mieszanina stylów, a jednocześnie pokój najbardziej odzwierciedlający jej gusta i charakter. Nie eklektyczny, to byłoby zbyt pretensjonalne określenie. Pozostałe wnętrza zostały ze smakiem urządzone przez Julie, tutaj zaś o wszystkim decydowała Raven. Potrzebowała swojskiej prywatnej przestrzeni, tak jak chciała sama prowadzić samochód. To pozwalało jej zachować równowagę, nie zatracić poczucia, kim jest. Jednak teraz nawet tu nie znajdowała ukojenia.

Podeszła do instrumentu i z mocą uderzyła w klawisze. Zabrzmiały pierwsze dźwięki. Grała Mozarta w taki sposób, jak się teraz czuła. Gwałtownie, z udęczeniem. Gdy skończyła, powietrze nadal wibrowało frustracją.

– Już jesteś w domu – od progu rozległ się spokojny głos Julie. Weszła do pokoju, tak jak kiedyś wkroczyła w jej życie, czyli stylowo i z wielką pewnością siebie. Poznały się prawie sześć lat temu. Julie pochodziła z szanowanej bogatej rodziny i była znudzona jałową egzystencją bywalczyni imprez. Ich znajomość szybko przekształciła się w przyjaźń i wzajemną zależność. Julie zajęła się karierą Raven, wzięła na siebie odpowiedzialność za tysiące drobiazgów, dzięki czemu Raven mogła zapomnieć o wszystkim poza tworzeniem, a Julie wreszcie znalazła cel w życiu.

– Z nagraniami coś poszło nie tak? – Julie była wysoką zgrabną blondynką o swobodnym kalifornijskim sposobie bycia. Gdy Raven podniosła głowę, uśmiech zniknął z twarzy Julie. Już dawno nie widziała tej bezradnej, przygnębionej miny. – Co się stało?

Raven powoli wypuściła powietrze.

– On wrócił.

– Gdzie go widziałaś? – Nie musiała pytać o imię. Przez tych sześć lat zdążyły się dobrze poznać. Tylko dwa powody mogły wywołać taki stan Raven. Jednym z nich był mężczyzna.

– W studiu. – Raven przeciągnęła palcami po włosach.

– Przyszedł do mnie. Nie wiem, jak długo tam był, nim go zauważyłam.

Julie zacisnęła pociągnięte jasną pomadką usta.

– Ciekawe, co Brand Carstairs robi w Kalifornii.

– Nie mam pojęcia. – Raven bezradnie potrząsnęła głową. – Powiedział, że przyjechał w interesach. Może znów rusza w trasę. – Pomasowała spięte mięśnie karku.

– Jutro ma tu wpaść.

– Rozumiem. – Julie uniosła brwi.

– Przestań odgrywać sekretarkę. – Raven przymknęła oczy. – Pomóż mi.

– Chcesz się z nim spotkać? – rozsądnie spytała Julie. „Tak” lub „nie”, i zależnie od odpowiedzi należy podjąć następne działania. Nienawidziła etapu: „Tak, nie, nie wiem, może...”. Taka właśnie była Julie, rozsądna i racjonalna do szpiku kości. Do tego świetnie zorganizowana i logiczna, nie umykał jej żaden drobiazg. Innymi słowy, absolutne przeciwieństwo Raven i dlatego idealnie do siebie pasowały.

– Nie – zaczęła z zarem. – Tak... – Zakłęła i przycisnęła palce do skroni.

– Nie wiem – dodała cichym, znużonym głosem. – Może... – szepnęła. – Julie,

wiesz, jaki on jest! Boże, myślałam, że już po wszystkim. Że już się z niego wyleczyłam.

Z cichym jękiem zeskoczyła ze stołka i zaczęła krążyć po pokoju. W dżinsach i prostej lnianej bluzce nie wyglądała na gwiazdę. W garderobie miała wszystko, od ogrodniczek po sobolowe futro. Futro na scenę, ogrodniczki na co dzień.

– Byłam pewna, że to już za mną, że definitywnie pogrzebałam wspomnienia i cierpienie – mówiła cicho, z desperacją. Wciąż nie mogła uwierzyć, że choć minęło pięć lat, tamte uczucia nadal są żywe. Wystarczyło, by znów ujrzała Brandona. – Wiedziałam, że wcześniej czy później gdzieś się na niego natknę. – Przeciągnęła palcami po włosach, nerwowo przechadzając się po pokoju. – Zawsze myślałam, że to stanie się gdzieś w Europie, może w Londynie, na jakimś przyjęciu czy benefisie. Tam bym się go spodziewała; może wtedy byłoby łatwiej, nie przeżyłabym szoku. Dziś popatrzyłam w dal i nagle go zobaczyłam, zupełnie bez uprzedzenia.

I wszystko natychmiast odżyło. Nie miałam czasu, żeby się otrząsnąć. Śpiewałam ten cholerny utwór, który napisałam po tym, jak mnie zostawił. – Raven zaśmiała się gorzko. – Czy to nie wariactwo? – Po czym powtórzyła wolno: – Czy to nie wariactwo?

W pokoju zapanowała cisza, którą wreszcie przerwała Julie:

– Co zamierzasz zrobić?

– Co zrobić? – Raven odwróciła się raptownie, długie włosy zawirowały w powietrzu. – Niczego nie zamierzam robić. Już nie jestem naiwną dziewczyną. – W jej oczach malowały się gwałtowne emocje, lecz głos nabral stanowczego tonu. – Miałam ledwie dwadzieścia lat, gdy poznałam Brandona. Byłam ślepo zakochana w jego talencie. Okazał mi serce, gdy tego najbardziej potrzebowałam. Byłam zauroczona nim i moim sukcesem. – Podniosła rękę i

ostrożnie odgarnęła włosy na plecy. – Nie mogłam zgodzić się na to, czego ode mnie chciał. Nie byłam na to gotowa. – Podeszła do mosiężnego jednorożca i pogładziła go palcami. – Więc mnie zostawił – powiedziała cicho. – Strasznie to przeżyłam. Mówiłam sobie, bo być może tak chciałam to widzieć, że mnie nie rozumiał, nie zależało mu na mnie tak bardzo, by dociec, dlaczego powiedziałam „nie”. Ale to było bardzo naiwne, nieżyciowe podejście. – Odwróciła się do Julie, westchnęła ciężko. – Czemu nic nie mówisz?

– Świetnie sobie radzisz beze mnie.

– Skoro tak, dobrze. – Włożyła ręce do kieszeni i podeszła do okna. – To była dla mnie nauuczka. Zrozumiałam, że jeśli nie chcesz, by ktoś cię zranił, trzymaj się od niego na dystans. Ty jesteś jedyną osobą, do której nie stosuję tej zasady. I jedyną osobą, która mnie nigdy nie zawiodła. – Zaczerpnęła powietrza. – Przed laty byłam zadurzona w Brandonie. Może to było coś na kształt miłości, lecz bardzo dziecinnej, łatwej do odrzucenia. Dzisiaj, kiedy go zobaczyłam, przeżyłam szok, w dodatku to było tuż po tym, jak skończyłam śpiewać ten utwór. Co za zbieg okoliczności... – Odepchnęła od siebie tę myśl, odwróciła się od okna. – Brandon przyjedzie tu jutro, powie, co ma mi do powiedzenia, i odjedzie. I na tym koniec.

Julie uważnie przypatrywała się przyjaciółce.

– Tak mówisz?

– Tak. – Uśmiechnęła się. Po tym wybuchu, po wylaniu z siebie emocji czuła się wypalona, ale też pewniejsza siebie. Odzyskała kontrolę nad tym, co czuła. – Odpowiada mi moje obecne życie. On mi go nie zmieni. Nikt mi go nie zmieni, nie tym razem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Starannie wybrała strój. Wmawiała sobie, że to ze względu na dzisiejsze przymiarki i zaplanowany lunch z agentem. Ot, takie świadome samookłamywanie się. Chciała wyglądać sztywnie, bo eleganckie ciuchy dodawały jej pewności siebie. A czyż w kreacji od St. Laurenta ktoś mógłby czuć się niepewnie?

Włożyła białe spodnie, liliową bluzkę z szerokim golfem, do niej szeroki złoty pasek. Na wierzch rozkloszowany płaszcz z białego jedwabiu przypominający krojem pelerynkę, kapelusz z miękkim rondem i pieczołowicie dobrane kolczyki. Z satysfakcją popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Przebyła długą drogę.

Teraz, w atelier Wayne'a Metcalfa, ta myśl do niej wróciła. Oboje przebyli długą drogę. Zaczynali w tym samym czasie, gdy z trudem wiązali koniec z końcem. On śpiewał w obskurnych klubach i zapyziałych, zadmionych barach, on pracował jako kelner i tworzył pierwsze projekty, którymi nikt nie był zainteresowany. Tylko Raven, która nie kryła swego podziwu.

Gdy dla niej pojawiła się szansa na pierwszą trasę koncertową, Wayne dopiero z trudem przebijał się w branży. Nie zastanawiała się ani chwili, z nikim tego nie konsultowała, tylko wybrała Wayne'a na swego projektanta. I nigdy tego nie pożałowała. Zaprzyjaźnili się. Tak jak Julie wiedział wiele o jej życiu, tak samo jak ona był jej szczerze oddany i bezgranicznie lojalny.

Przeszła się po elegancko urządzonym pokoju. Jakże się różnił od dusznej, ponurej klitki, w której Wayne stawiał pierwsze kroki! W nędznym pomieszczeniu nad grecką knajpką nie było dywanów ani litografii na ścianach. Podłoga z gołych desek, przesączające się z dołu zapachy greckich dań i dźwięki muzyki. Wciąż doskonale to pamiętała.

Pierwsza trasa koncertowa okazała się prawdziwym przełomem. Wtedy wystrzeliła jej kariera. Sukces spadł na nią tak nagle i niespodziewanie, że nawet nie zdążyła w pełni go zasmakować, bo pochłonęły ją kolejne wyjazdy, niekończące się próby, pokoje hotelowe, reporterzy, tłumy fanów, niewyobrażalne pieniądze i rosnące wobec niej oczekiwania. To ją uszczęśliwiało, choć czasami padała ze zmęczenia, a nawet traciła orientację, zaś rozentuzjasmowane tłumy fanów budziły w niej jednocześnie lęk i radość. Mimo to uwielbiała nowe życie.

Wayne też zrobił wspaniałą karierę, był po prostu rozchwytywany. Nie minęło dużo czasu, jak przeniósł się w nowe miejsce. Od sześciu lat szył dla Raven i choć obecnie zatrudniał znakomitych fachowców i był zavalony pracą, dla niej zawsze znajdował czas i osobiście doglądał każdego szczegółu.

Podeszła do barku, nalała sobie napoju imbirowego. Unikała alkoholu. Tylko czasem pozwalała sobie na drinka podczas oficjalnych lunchów, kolacji czy sesji nagraniowych. Chciała mieć kontrolę nad swoim życiem.

Przeszłość wciąż była żywa, nie mogła jej zapomnieć, zwłaszcza gdy martwiła się o mamę. Zamknęła oczy. Gdyby równie łatwo można było odciąć się od tych przykrych myśli. Ileż to czasu minęło, odkąd żyje w ciągłym lęku! Po prostu nigdy nie było inaczej... Jakże wcześniej uświadomiła sobie, że jej mama jest inna niż inne mamy. Już jako mała dziewczynka nie znosiła dziwnej, słodkawej woni w oddechu mamy. Nawet miętówki nie mogły jej stłumić. Zaczerwieniona twarz i zmieniony, bełkotliwy głos, w którym szybko pojawiały się gniewne nuty, budziły w niej niepokój i paniczny lęk. Wciąż pamiętała drwiące spojrzenia i współczujące miny znajomych i sąsiadów.

Przycisnęła palce do czoła. Tyle lat. Tyle zmarnowanego czasu. A teraz mama znowu się wymknęła. Gdzie się podziewa? Pewnie zaszyła się w podrzędnym hoteliku i pije na umór, skracając czas, który jeszcze jej pozostał.

Jak ją odnaleźć? Daremnie próbowała odepchnąć od siebie te ponure myśli. Wracały nieproszone, przywołując straszne wspomnienia.

Wiedziała, że powinna się od tego odciąć, żyć swoim życiem, lecz smutek ją przytłaczał, gniotło poczucie winy. Podskoczyła, słysząc, jak ktoś otwiera drzwi.

Do środka wszedł Wayne i oparł się o framugę.

– Piękna! – rzekł z podziwem, przesuając po niej taksującym spojrzeniem. – Dla mnie się tak wystroiłaś?

Zaśmiała się, choć zabrzmiało to trochę jak szloch, gdy pośpiesznie ruszyła w jego stronę, by uścisnąć go na przywitanie.

– Oczywiście! Dziękuję!

– Skoro chciałaś ubrać się dla mnie, to mogłaś przynajmniej włożyć coś mojego – obruszył się, obejmując ją serdecznie. Był przed trzydziestką, wysoki i szczupły, na oko typ intelektualisty. Miał brązowe oczy i włosy, niewielka blizna przecinała lewą brew. Wayne uważał, że ta blizna nadawała mu nieco zawadiacki wygląd.

– Taki z ciebie zazdrośnik? – Z uśmiechem cofnęła się nieco. – Myślałam, że już z tego wyrosłeś.

– Z tego nigdy się nie wyrasta. – Podeszedł do barku. – No dobrze, ściągnij chociaż kapelusz i płaszcz.

Posłusznie zdjęła je i rzuciła na bok. Wayne, nalewając sobie wody, przez dłuższą chwilę przypatrywał się Raven. Uśmiechnęła się do niego i obróciła się powoli, naśladując ruchy modelki.

– No i jak? – zapytała.

– Szkoda, że cię nie poderwałem, gdy miałaś osiemnaście lat. – Upił trochę wody. – A tak cierpię wciąż straszliwie, że wyslizgnęłaś mi się z rąk.

Raven podeszła po swój napój.

– Miałeś szansę, chłopie.

– Wtedy byłem zbyt złachany i spięty, jak to biedak marzący o karierze.

– Uniósł pokiereszowaną brew w grymasie, który zawsze ją rozśmieszał. – Teraz mam więcej luzu.

– Za późno. – Stuknęła się z nim szklanką. – Poza tym jesteś zaabsorbowany konkursem miss tygodnia.

– Spotykam się z tymi pannami wyłącznie dla reklamy. – Zapalił papierosa. – Generalnie jestem bardzo nieśmiałym facetem.

– Mogłabym to skomentować, ale się powstrzymam.

– Bardzo mądrze. – Wypuścił smuzkę dymu. – Podobno pojawił się u nas Brand Carstairs.

Jej uśmiech na mgnienie zgasł, po chwili znów się uśmiechnęła.

– On nigdy nie może obyć się bez rozgłosu.

– Co ty na to?

Raven wzruszyła ramionami.

– Czemu pytasz?

– Raven. – Przykrył dłonią jej rękę. – Pamiętam, jak wtedy było. Bardzo to przeżyłaś.

– Okazałeś mi wiele serca. Nie wiem, jak bym przetrwała bez ciebie i Julie.

– Nie o tym mówiłem. Pytałem, jak teraz to odbierasz. – Splótł palce z jej palcami. – Proponowałem, że połamię mu wszystkie kości. Ta propozycja nadal jest aktualna.

Wzruszył ją i rozbawił jednocześnie. Roześmiała się.

– Wiem, że jesteś bezlitosnym zabójcą, ale nie ma takiej potrzeby. – Wyprostowała się dumnie, na co Wayne się uśmiechnął. – Tym razem się nie załamię.

– Nadal go kochasz?

Nie spodziewała się tak wprost postawionego pytania. Opuściła wzrok, przez moment milczała.

– Raczej powinienesz zapytać, czy w ogóle kiedyś go kochałam.

– Oboje doskonale znamy odpowiedź. – Ujął ją za rękę. – Raven, przyjaźnimy się od lat. Obchodzi mnie, co się z tobą dzieje.

– Nic mi nie będzie. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Zupełnie nic. Brandon to przeszłość. Kto lepiej ode mnie wie, że nie można uciec od przeszłości i jak sobie z tym radzić? – Ścisnęła jego dłoń. – No dobrze, pokaż mi moje nowe obłędne kostiumy.

Wayne popatrzył na nią badawczo, podszedł do stylowego stoliczka, nacisnął przycisk interkomu i poprosił, by przyniesiono kreacje Raven.

Widziała już i przyklepała projekty i tkaniny, a jednak prawie zaniemówiła, widząc gotowe stroje. Odlotowe kostiumy zaprojektowane specjalnie na scenę. Choć trochę dziwnie się czuła, przymierzając je w tym eleganckim, rzeświście oświetlonym i pełnym luster wnętrzu.

Popatrzyła na swoje odbicie zwielokrotnione w lustrach, widoczne pod różnymi kątami. Krwista czerwień wyszywana srebrnymi cekinami robiła wrażenie. Wayne podpinał tkaninę, poprawiał niewidoczne fałdki, mruczając do siebie pod nosem. Raven wpatrywała się w lustro, mimowolnie wracając myślami do dawnych czasów, kiedy nagle z nikomu nieznannej, nieśmiałej dziewczyny stała się gwiazdą. Jej album wdarł się na szczyty list przebojów, otwierała się przed nią szalona trasa koncertowa. To stało się gwałtownie i niespodziewanie, ale sukces nie uderzył jej do głowy. Chciała udowodnić, że nie jest gwiazdką jednego przeboju, wyrobić sobie nazwisko. Romans z Brandem Carstairsem dał dodatkowy impuls jej karierze. Na chwilę stała się ikoną muzyki pop, ich twarze pojawiały się na okładkach wszystkich koloro-

wych gazet, krzyczały z każdego stoiska z prasą. Serdecznie się z tego śmiali, z góry zgadywali tytuły, które ukażą się w kolejnych wydaniach: „Raven i Brand szykują sobie gniazdko”, „Williams i Carstairs tworzą swoją muzykę”.

Obiektywy fotografów wciąż były w nich wymierzone, lecz nie przejmowali się tym wcale. Byli szczęśliwi i poza sobą nie widzieli świata. Później, gdy Brand ją zostawił, zdjęcia i reportaże pojawiały się jeszcze długo, epatując publikę bolesnymi szczegółami dotyczącymi ich związku. Raven obchodziła je z daleka.

Ciężką pracą dopięła swego. Nie była postrzegana jak odkrycie jednego sezonu, lecz zyskała uznanie jako wokalistka i osobowość. I tego musi się trzymać, bo to jest najważniejsze. To jej kariera, jej życie. Wiedziała, co się naprawdę liczy, choć ta nauka nie przyszła jej łatwo.

Włożyła lśniący czarny kombinezon. Przylegał jak druga skóra. Nawet przy lekkim oddechu cekiny rzucały tysiące świetlistych refleksów. Przyjrzała się sobie krytycznym okiem. Ten kostium naprawdę był piekielnie seksowny.

– Przed trasą nie mogę przytyć ani grama – podsumowała, przyglądając się sobie z boku. Odrzuciła włosy na plecy. – Wayne... – Klęczał, podpinając nogawki. Zamruczał coś niezrozumiale. – Wayne, nie wiem, czy odważę się to włożyć.

– To – powiedział spokojnie, pociągając lekko rękaw – jest fantastyczne.

– Skromny jesteś, nie powiem. – Uśmiechnęła się, a Wayne lustrował ją powoli okiem profesjonalisty. – Ale to trochę... – Popatrzyła jeszcze raz na swoje odbicie.

– Raven, masz świetną figurę. – Teraz od tyłu oceniał swoje dzieło. – Nie każda z moich klientek mogłaby to nosić. Dobrze, możesz zdjąć. Jest idealnie.

– Kiedy kończę przymiarke, zawsze czuję się jak po wizycie u lekarza – zauważyła, wkładając białe spodnie i liliową bluzkę. – Kto lepiej zna tajemnice naszego ciała niż krawiec czy krawcowa?

– Kochanie, kto więcej wie o twoich tajemnicach? – rzucił z roztargnieniem, czyniąc krótkie notki na każdym kostiumie. – Kiedy kobiety są na pół rozebrane, zbiera im się na zwierzenia.

– Och, co słyszałeś? Opowiedz mi jakąś fajną plotkę!

– Zapięła pasek, podeszła do Wayne'a i oparła się o niego.

– Coś bosko niedyskretnego i szokującego.

– Babs Curtin ma nowego kochanka – wymruczał, nie odrywając oczu od zapisków.

– Prosiłam o coś szokującego – pożałowała się. – Nie o coś przewidywalnego.

– Obiecałem, że nie zdradzę sekretu. Poprzysiągłem milczenie.

– Rozczarowujesz mnie. – Odeszła od niego, by wziąć narzutkę i kapelusz. – Byłam przekonana, że nie jesteś całkiem bez skazy.

– Lauren Chase właśnie podpisała kontrakt na główną rolę w „Fantasy”.

– Co takiego?! – Raven szybkim krokiem przemierzyła pokój i wyrwała Wayne'owi notes.

– Przeczuwałem, że to może cię zainteresować – rzekł spokojnie.

– Kiedy? Och, Wayne – mówiła, nim zdążył odpowiedzieć. – Oddałabym kilka lat mojego młodego życia za szansę napisania muzyki do tego filmu. Lauren Chase... po prostu super. Ona jest do tego idealna. Wayne, kto pisze muzykę? – Złapała go za ramiona, zamknęła oczy.

– Śmiało, mów. Jakoś to zniosę.

– Ona tego nie wie. Raven, puść mnie, bo tamujesz mi krwiobieg – rzekł, zdejmując z siebie jej ręce.

– Nie wie! – wybuchnęła, z irytacją wciskając na głowę kapelusz. Wayne zaklął i zaczął go jej poprawiać.

– To jeszcze gorzej, po prostu fatalnie! Jakiś nieznany gość, który nie ma pojęcia, co jest najlepsze do tego scenariusza, siedzi teraz gdzieś przy fortepianie i pisze coś, co do niczego się nie nadaje.

– Zawsze istnieje cień szansy, że ten ktoś ma prawdziwy talent – rzekł Wayne.

Raven spiorunowała go wzrokiem.

– Po czyjej jesteś stronie? – rzuciła z furją, otulając się płaszczkiem.

Wayne uśmiechnął się, głośno cmoknął ją w policzek.

– Idź do domu i potup sobie do woli, skarbie. To ci poprawi humor.

Daremnie starała się zdusić uśmiech.

– Pójdę do salonu obok i kupię sobie coś od Florence DeMille – zagroziła, wymieniając nazwisko jego konkurentki.

– Daruję ci tę uwagę. – Westchnął ciężko. – Bo choć nie jestem bez skazy, to mam złote serce.

Raven roześmiała się i wyszła, zostawiając go z kompletem jej strojów i notesem.

Kiedy wróciła do siebie, powitała ją cisza. W powietrzu unosiła się ledwie wyczuwalna woń olejku cytrynowego i sosny, czyli dom właśnie został wysprzątnany. Z przyzwyczajenia zerknęła do pokoju muzycznego i odetchnęła, bo nic nie zostało poruszone. Lubiła panujący tam chaos.

Ruszyła do kuchni, by napić się kawy.

Kupiła ten dom, bo był duży i miał sporo otwartej przestrzeni, stanowił więc przeciwieństwo niewielkich klaustrofobicznych pokoików, w których się wychowała. Pachniał czystością. Nie środkami czyszczącymi, bo zapach antyseptyków ją odrzucał, podobnie jak snujący się po kątach zastały odór

papierosów czy wczorajszej butelki. To jej dom, jej życie. Zarobiła na nie śpiewem. Poczula się radosna, usatysfakcjonowana, zadowolona z siebie, spełniona.

Jestem szczęśliwa, pomyślała. Cieszę się, że żyję.

Wyjęła z wazonu różę i ruszyła korytarzem, nućąc coś pod nosem. Zatrzymała się nagle. Na blacie stojącego w bibliotece biurka dostrzegła wygodnie oparte szczupłe stopy Julie.

Julie rozmawiała przez telefon, a widząc wahanie Raven, gestem przywołała ją do środka.

– Przykro mi, panie Cummings, ale pani Williams z zasady nie podejmuje się takich działań. Tak, tak, nie mam żadnych wątpliwości, że to doskonały produkt.

– Julie przeniosła wzrok z pomalowanych różowym lakierem paznokci u nóg, uśmiechnęła się do rozbawionej Raven, po czym wzniosła oczy do nieba. Wyłożona mahoniowymi panelami i urządzona stylowymi meblami biblioteka była królestwem Julie. I. doskonale do niej pasowała, pomyślała Raven, moszcząc się wygodnie w fotelu. – Oczywiście przekażę, ale proszę nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Pani Williams jest pod tym względem nieustępliwa. – Jeszcze raz przewróciła oczami i się rozłączyła. – Tak to jest, gdy człowiek jest miły dla wszystkich, którzy do ciebie dzwonią. Gdybyś tak uparcie na to nie nalegała, powiedziałabym mu trochę do słuchu – indyczyła się.

– Problemy? – spytała Raven, wachając różę i uśmiechając się do Julie.

– Przestań być taką mądralą, bo nawet się nie obejrzysz, jak będziesz mu reklamować ten cudowny szampon. Załatwię ci to – ostrzegła Julie.

– Litości! – Raven zrzuciła eleganckie liliowe pantofelki. – Wyglądasz na zmęczoną – zauważyła, obserwując, jak Julie rozprostowuje plecy. – Miałaś kupę roboty?

– Ostatnie szczegóły do dogrania przed ruszeniem w trasę. – Julie bagatelizująco wzruszyła ramionami.

– Nie wypytałam cię, jak poszła sesja. Już skończyliście, prawda?

– Tak. – Raven zaczerpnęła powietrza, bawiąc się różą. – Wszystko się udało. Dawno nie byłam taka zadowolona z nagrania. Poszło jak z płatka.

– Napracowałam się. – Julie doskonale wiedziała, że Raven ślęczała nad tym materiałem dniami i nocami, dopieszczając teksty i aranżacje.

– Chwilami aż sama nie wierzę – z zadumą rzekła Raven. – Słucham gotowej kompozycji i wszystko jest: smyczki, instrumenty dęte, rytm, chórki. Nie wierzę, że to moje dzieło. Naprawdę mam niewyobrażalne szczęście.

– Talent – poprawiła ją Julie.

– Wiele osób ma talent, jak jednak widać, to nie wszystko. Iluż hojnie obdarzonych przez Boga artystów gnije w nędznych barach, czekając, aż los się do nich uśmiechnie. Jeśli szczęście im nie dopisze, nigdy się stamtąd nie wyrwą.

– Trzeba mieć jeszcze odpowiednie nastawienie, wytrwałość i odwagę. – Mimo odniesionego sukcesu Raven wciąż brakowało pewności siebie, co nieodmiennie irytowało Julie. Była z nią od sześciu lat, a przez ten czas nie zawsze było z górki. Widziała, ile pracy i hartu ducha Raven włożyła w swoją karierę, z iloma rozterkami i lękami ciągle musiała się mierzyć, była świadkiem jej wzlotów i upadków.

Dźwięk telefonu wyrwał ją z tych rozmyślań.

– To na twoją prywatną linię – powiedziała, odbierając. – Halo?

Raven spięła się w sobie. Odetchnęła, widząc uśmiech na twarzy Julie.

– Cześć, Henderson. Tak, jest tutaj, poczekaj. Twój znakomity agent – rzuciła do Raven, wstając zza biurka i chwytając sandały.

Gdy Raven podniosła się z fotela, ktoś zadzwonił do drzwi.

– To pewnie Brandon. – Usiadła na zwolnionym przez Julie miejscu. – Powiesz mu, że za chwilę do niego przyjdę?

– Jasne. – Julie odwróciła się i wyszła z biblioteki. Jeszcze na korytarzu dochodził ją głos Raven:

– Zostawiłam ją u ciebie? Wiesz co, naprawdę nie wiem, po co w ogóle noszę z sobą torebkę.

Julie się uśmiechnęła. Raven bezustannie coś gubiła: torebki, buty, paszport. Rzeczy istotne i drobiazgi. Była pochłonięta czymś innym, skupiona na muzyce i ludziach, więc do przedmiotów nie przywiązywała wagi.

– Cześć, Brand – odezwała się, otwierając drzwi. – Miło znowu cię widzieć. – Jej oczy patrzyły chłodno, nie uśmiechała się.

– Cześć, Julie.

W jego głosie brzmiały ciepłe nuty, lecz Julie je zignorowała.

– Proszę, wejdz. Raven zaraz przyjdzie.

– Cieszę się, że znowu tu jestem. Stęskniłem się za tym miejscem.

– Czyżby? – ucięła ostrym tonem.

Popatrzył na nią taksująco. Wysoka, szczupła blondynka o brązowych oczach, w podobnym wieku co on. I w jego typie. Bystra, wyrafinowana, seksowna, choć chłodna. Ich relacje nigdy nie wyszły poza niezobowiązującą znajomość. Była bezgranicznie oddana Raven, i to się nie zmieniło, jak widać. Nadal jest względem niej absolutnie lojalna.

– Pięć lat to szmat czasu, Julie.

– Nie jestem pewna, czy wystarczająco długi – zareplikowała. – Skrzywdziłeś ją. – Nie kryła niechęci i żalu.

– Tak. Wiem. – Patrzył na nią z tym samym wyrazem twarzy, nawet nie mrugnął.

Nie błagał o wybaczenie, czym zyskał jej szacunek, choć nie chciała mu tego okazać.

– No i wróciłeś, Brandon...

– Wróciłem. – Uśmiechnął się. – Nie spodziewałaś się tego?

– Ona się tego nie spodziewała – skontrowała, zła na siebie, że mimowolnie go ostrzega. –1 to jest tutaj istotne.

– Julie, Henderson podeśle moją torebkę. – Raven szła do nich korytarzem szybkim, nerwowym krokiem. – Prosiłam, żeby nie robił sobie kłopotu. Pewnie nie ma tam niczego poza grzebieniem i przeterminowaną kartą kredytową. Cześć, Brandon. – Wyciągnęła do niego rękę, tak jak wcześniej zrobiła to w studiu, lecz teraz czuła się pewniej.

Nie zadała sobie trudu, by włożyć pantofle czy pociągnąć usta szminką, uśmiechała się swobodnie.

– Raven. – Gdy ucałował jej dłonie, wyczuł, jak zeszywniała. Puścił jej rękę. – Możemy porozmawiać w pokoju muzycznym? – Uśmiechał się przyjaźnie. – Zawsze dobrze się tam czułem.

– Oczywiście. – Odwróciła się. – Napijesz się czegoś?

– Chętnie. Poproszę o herbatę. – Uśmiechnął się do Julie czarująco. – Twoja herbata zawsze była pyszna.

– Zaraz podam. – Nie odwzajemniła jego uśmiechu. Odwróciła się i ruszyła do kuchni. Brand podążył za Raven do pokoju muzycznego.

Położył rękę na jej ramieniu. Zatrzymała się i odwróciła do niego. Brand uważnym wzrokiem oglądał wnętrze. Znała to jego spojrzenie sięgające do lat wczesnej młodości, gdy był dzieckiem londyńskiej ulicy. Ciężką pracą doszedł do miejsca, w którym był obecnie. Skupienie, ciekawość, dostrzeżenie

każdego szczegółu – to wszystko przekładało się na jego talent. Widział wszystko i potrafił to zapamiętać, a potem przemienić w słowa i muzykę.

Chyba bezwiednie przesunął palcami po jej ramieniu, i ten gest przywołał falę wspomnień. Chciała się cofnąć, ale Brand uprzedził ją, opuszczając rękę. Odwrócił się do Raven. Nigdy nie mogła oprzeć się spojrzeniu jego oczu.

– Pamiętam ten pokój, każdy detal. Zdarzało mi się wyobrażać go sobie, gdy myślałem o tobie, i nie mogłem przestać. – Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku.

– Przestań. – Potrząsnęła głową i zrobiła krok do tyłu.

– Trudno się oprzeć pokusie, by cię dotknąć. Zwłaszcza tutaj. Pamiętasz długie wieczory, które tu razem spędziliśmy? Spokojne popołudnia?

Działał na nią. Poruszało ją brzmienie jego głosu, intensywność spojrzenia.

– To było dawno temu.

– Teraz to wcale nie wydaje się tak dawno. To mogłoby być wczoraj. Wyglądasz tak samo, Raven.

– Ale nie jestem taka sama. – Odwróciła się, lecz zdążył dostrzec, że oczy jej pociemniały. – Gdybym wiedziała, że właśnie dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć, odmówiłabym. Między nami już dawno wszystko skończone. To już przeszłość.

– Tak mówisz? – Nie zdawała sobie sprawy, że był tak blisko niej. Obrócił się i wziął ją w ramiona. – Udowodnij mi to. Jeden raz.

Dotyk jego ust sprawił, że w jednej chwili poczuła się przeniesiona w czasie. Znowu przepełniało ją pragnienie, ciało płonęło, serce wrywało się z piersi. Jego usta były takie delikatne, rozkosznie gorące. Znała jego smak,

jego zapach. Pamięć okazała się trwalsza, niż sądziła. Niczego nie zapomniała.

Wsunął palce w jej włosy, odchylił lekko jej głowę i pogłębił pocałunek. Sycił się jej bliskością, zapachem drżącego ciała, pulsującym w niej żarem. Przygarniał ją do siebie. Raven zacisnęła palce na jego swetrze. Minęło pięć lat, a nic się nie zmieniło. Całował ją nieśpiesznie i z każdą sekundą namiętniej, a ona ulegała pieścizocie, zatracala się coraz bardziej. Opamiętała się nagle. Brand rozluźnił uścisk, lecz nie puszczał jej. Popatrzyła mu prosto w oczy. Znał to spojrzenie, lecz nigdy nie udało mu się go całkowicie rozszyfrować.

– Wcale nie wygląda, że to zamknięta karta – wyszeptał namiętnie.

– Nigdy nie grałeś fair, prawda? – Wyszarpnęła się z jego uścisku. – Coś ci powiem, Brandon. Tym razem nie padnę do twoich stóp. Skrzywdziłeś mnie, ale teraz nie pójdzie ci ze mną tak łatwo. Nie wkroczysz znów w moje życie, wybij to sobie z głowy. Nigdy się na to nie zgodzę.

– Chyba się zgodzisz – rzekł spokojnie. – Choć może nie w takim sensie, jak myślisz. – Zaczął bawić się jej włosami. – Mogę przeprosić za tego buziaka. Jeśli chcesz, żebym skłamał.

– Daruj sobie. Zawsze byłeś dobry w tych sprawach. Całkiem mi się podobało. – Usiadła na kanapie i uśmiechnęła się do niego.

Brandon uniósł brew. Nie takiej reakcji się spodziewał. Wyciągnął papierosa i zapalił.

– Wydorosłaś przez te lata.

– Dorosłość ma swoje plusy. – Ten pocałunek wstrząsnął nią, choć nie chciała tego przyznać nawet przed sobą.

– Zawsze podobała mi się twoja urocza naiwność.

– W tym biznesie trudno pozostać naiwnym, choć uroczym. – Oparła się wygodniej. Celowo, niech widzi, że nie jest spięta. – Gdzieś przepadła oszołomiona światem dwudziestolatka.

– Jesteś odporna i zblazowana?

– Wystarczająco odporna – skwitowała. – Ty dałeś mi pierwszą lekcję!

Brandon zaciągnął się, popatrzył na rozżarzony koniec papierosa.

– Może i tak – mruknął jakby do siebie. – Może było ci to potrzebne.

– Aha, i masz nadzieję, że ci dziękuję? – odparowała.

Popatrzył na nią badawczo.

– Może. – Usiadł obok niej na kanapie, po czym nagle się roześmiał. – Na Boga, Raven! Nie naprawiłaś tej cholernej sprężyny!

Rozluźniła się, zawtórowała mu śmiechem.

– Bo tak mi pasuje. – Odrzuciła włosy na plecy. – Przywykłam do niej, stała się dla mnie jak domownik.

– Bardzo niewygodny domownik.

– Dlatego nigdy nie siadam na tej sprężynie – oznajmiła radośnie.

– Za to zostawiasz to miejsce dla niczego niepodejrzewających gości. – Przesunął się na bok.

– Zgadłeś. Lubię, gdy ludzie czują się jak u siebie.

Julie przyniosła tacę z herbatą i zaraz zniknęła, zdołała jednak wprawnym okiem ocenić sytuację: Raven wyglądała na odprężoną. Czyli nie trzeba ruszać z interwencją.

– Co się u ciebie działo? Domyślam się, że sporo pracowałeś. – Raven usiadła po turecku i wychyliła się, by sięgnąć do dzbanka z herbatą.

Znał ten jej gest, widział go tyle razy. Zgniół papierosa.

– Dosyć. – Przez tych pięć lat wydał pięć albumów i odbył trzy wyczerpujące trasy koncertowe. Tylko w ostatnim roku przybyło mu na koncicie ponad dwadzieścia piosenek.

– Mieszkasz w Londynie?

– Przez większość czasu. – Uniósł brwi, biorąc od niej herbatę.

– Śledzę, co dzieje się w naszej branży – powiedziała gładko. – Jak my wszyscy.

– W zeszłym miesiącu widziałem cię w telewizji.

– Upił łyk herbaty, oparł się wygodnie, uważnie przyglądając się Raven. Jego oczy stały się bardziej zielone niż niebieskie. – Byłaś świetna.

– W zeszłym miesiącu? – Stropiła się. – Chyba nie nadawali tego w Anglii?

– Byłem w Nowym Jorku. To ty napisałaś utwory do albumu, który wczoraj skończyłaś?

– Wszystkie z wyjątkiem dwóch. – Wzruszyła ramionami, sięgnęła po filiżankę. – Marc napisał „Right Now” i „Coming Back”. Ma dryg.

– Mhm. – Nie odrywał od niej oczu. – Ciebie też ma?

– Gdy Raven gwałtownie pokręciła głową, zacytował jej słowa: – Również śledzę, co dzieje się w branży.

– To zbyt osobiste pytanie. Zauważył, że jej oczy błysnęły gniewnie.

– Mówiąc wprost, to nie mój interes? – zapytał, popijając herbatę.

– Zawsze byłeś bystry.

– Dziękuję, kochanie. – Odstawił filiżankę. – Jednak to pytanie dotyczyło spraw stricte zawodowych. Chciałbym wiedzieć, czy jesteś teraz jakoś zaangażowana.

– Zaangażowanie zwykle odnosi się do spraw osobistych. Zapytaj o moje lekcje tańca.

- Może później. Raven, potrzebuję twego całkowitego poświęcenia przez następne trzy miesiące.
- Hm – powiedziała, odstawiając filiżankę. – Walisz prosto z mostu.
- Nie jest to... w każdym razie w tym momencie... żadna niemoralna propozycja. – Popatrzył jej prosto w oczy.
- Będę tworzyć muzykę do „Fantasy”. Potrzebuję partnera.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Powiedzieć, że ją zaskoczył, to mało. Raven patrzyła na niego oczami wielkimi jak spodki. Nie poruszała się, tylko wlepiała w niego zdumione spojrzenie. Jej ręce luźno spoczywały na kolanach, a myśli krążyły jak szalone i daremnie próbowała jakoś je uporządkować.

Powieść, która podbiła Amerykę, przez ponad pięćdziesiąt tygodni była na liście bestsellerów. Sprzedaż praw do książki pobiła wszelkie rekordy, sprzedano również prawa do sfilmowania powieści, a autorka „Fantasy”, Carol Mason, sama napisała scenariusz. Miał powstać musical, murowany hit sezonu. Od miesięcy spekulowano, kto w nim zagra. Coś takiego zdarza się tylko raz, innymi słowy, życiowa szansa. Fabuła była boska, główną rolę powierzono najpopularniejszej aktualnie aktorce. A muzyka... Raven już miała w głowie pomysły na piosenki.

Myśląc intensywnie, odchyliła się do tyłu. Wiedziała, że takie propozycje nie pojawiają się ot tak, same z siebie. Może czegoś nie rozumiała do końca?

– Będiesz robić muzykę do „Fantasy” – powiedziała wreszcie, siląc się na spokój. – Właśnie się dowiedziałam, że do głównej roli zaangażowano Lauren Chase. Gdzie się nie ruszę, wszyscy zastanawiają się, komu przypadnie rola Tessy, kto zagra Joego.

– Jack Lodd – poinformował Brand.

– Wspaniale! – entuzjazmowała się Raven, chwytając go za rękę. – To będzie prawdziwy hit! Serdecznie ci gratuluję! – Wiedział, że jej radość jest szczerą. Zawsze cieszyła się, gdy komuś się układało, i było jej przykro, kiedy komuś coś nie szło. Była bardzo uczuciowa i nie bała się uzewnętrzniać

przeżywanych emocji. Jej szczerłość i naturalność urzeły go, dodawały jej czaru.

Na chwilę zapomniała o rezerwie i ostrożności. Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Więc to dlatego przyjechałeś do Kalifornii. Już zacząłeś pracę?

– Nie. – Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał. Splótł palce z jej palcami. Miała wąskie, szczupłe, delikatne dłonie. – Raven, mówię serio. Potrzebuję współpracownika. Potrzebuję ciebie.

Chciała uwolnić rękę, lecz trzymał ją mocno.

– Brandon, nigdy nikogo nie potrzebowałeś. – Starła się, by zabrzmiało to lekko, lecz nie do końca się jej to udało. – Tym bardziej mnie.

Zacisnął palce, lecz gdy Raven skrzywiła się z bólu, natychmiast rozluźnił uścisk.

– Tu chodzi o biznes, Raven.

Uniosła brwi, słysząc w jego głosie ostrzejszą nutę.

– Takimi sprawami zajmuje się mój agent – powiedziała równie zdecydowanym tonem. – Pamiętasz Hendersona, prawda?

Brand popatrzył na nią przeciągle.

– Pamiętam wszystko. – Dostrzegł błysk bólu w jej oczach. – Raven – dodał łagodniej. – Przepraszam.

Wzruszyła ramionami i skupiła uwagę na filiżance z herbatą.

– To stare rany, Brandon. Jeśli rzeczywiście jest taka propozycja, to Henderson powinien coś o tym wiedzieć.

– Jest taka propozycja – zapewnił. – Prosiłem Hendersona, by wstrzymał się, nim najpierw sam się z tobą nie rozmówię.

– Ach tak? – Włosy opadły jej na twarz, więc odgarnęła je do tyłu. – Dlaczego?

– Pomyślałem, że jeśli dowiesz się, że mielibyśmy pracować razem, z miejsca ją odrzucisz.

– Owszem, masz rację.

– A takie posunięcie – ciągnął Brand – byłoby naprawdę bez sensu, z czego Henderson zdaje sobie sprawę równie dobrze jak ja.

Nie kryjąc wściekłości, poderwała się z kanapy.

– Czy to nie super, że inni rządzą mi życie? Uznaliście, że jestem zbyt ograniczona, by samodzielnie podjąć decyzję?

– Nie do końca – rzekł chłodno. – Zgodziliśmy się, że nie powinnaś być zdana sama na siebie. Masz tendencję kierować się uczuciami, a nie racjonalnymi przesłankami.

– Pięknie. Czy to znaczy, że na Gwiazdkę dostanę smycz i obrożę?

– Nie bądź idiotką! – ofuknął ją Brand.

– Och, teraz jestem idiotką? – Zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Jak dawniej zapalczywa i porywczą, nie zmieniła się ani na jotę. Energia w niej aż kipiała. – Nie wiem, jak przetrwałam tyle czasu bez twoich miłych komplementów. – Obróciła się do niego. – Po diabła ci idiotka na współpracownika?

– Bo ta idiotka komponuje świetną muzykę. – Też wstał. – Teraz na chwilę się zamknij.

– Oczywiście. – Usiadła przy fortepianie. – Skoro tak pięknie prosisz.

Leniwie sięgnął po drugiego papierosa, zapalił go i wypuścił dym, nie odrywając od niej oczu.

– Raven, to wielki i ważny projekt – oznajmił z powagą. – Nie zmarnujmy takiej szansy. Kiedyś byliśmy z sobą blisko, dlatego chciałem spotkać się z tobą, dogadać się nie przez agenta czy przez telefon. Rozumiesz to?

Odczekała długą chwilę, nim odpowiedziała:

– Możliwe.

Brand uśmiechnął się, podszedł do niej.

– Potem wspomnę coś o uporze, ale teraz nie chcę, żebyś znowu się wściekła.

– W takim razie pozwól, że cię o coś zapytam, nim powiesz coś, co mnie wkurzy. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Po pierwsze, po co ci ktoś do współpracy? Czemu miałbyś dzielić się chwałą?

– Nie tylko chwałą, również pracą, skarbie. To piętnaście piosenek.

– Okej, w takim razie powiedz, czemu akurat ja? Dlaczego nie zwróciłeś się do kogoś, kto już ma doświadczenie z musicalem?

Okrażył ją, przysiadł przy fortepianie obok niej i uderzył palcami w klawisze. Muzyka wypełniła pokój.

– Pamiętasz to? – spytał szeptem, patrząc jej w oczy. Nie musiała nic odpowiadać. Podniosła się i odeszła.

Nie mogła siedzieć tuż obok niego, przy tym samym instrumencie, na którym skomponowali grany przez niego utwór. „Clouds and Rain”. Wciąż pamiętała, jacy byli wtedy radośni, pamiętała ciepły blask w jego oczach, cudowne poczucie bezpieczeństwa w ramionach Brandona. To był pierwszy i jedyny utwór, który razem stworzyli i razem wykonali.

Nie przestała krążyć po pokoju, nawet gdy muzyka ucichła.

– Co to ma do rzeczy?! – wybuchnęła wreszcie. Poruszył w niej czułą strunę, słyszał to w jej głosie.

Poczuł wyrzuty sumienia, bo zrobił to celowo.

– Za te dwie minuty i czterdzieści trzy sekundy dostaliśmy nagrodę Grammy i złotą płytę. Raven, świetnie nam się razem pracuje.

Popatrzyła na niego, po czym oznajmiła stanowczo:

– To było kiedyś.

– I znów tak będzie. – Podniósł się i podszedł do niej, lecz tym razem nawet jej nie dotknął. – Raven, przecież wiesz, co to może znaczyć dla twojej kariery. Czujesz, ile możesz z siebie dać. To coś naprawdę dla ciebie.

Chciała to zrobić. Marzyła o tym. Wprost nie mogła uwierzyć, że otwiera się przed nią taka szansa. Ale pracować z Brandonem? Wciąż razem? Czy to uniesie? Poświęci swój spokój w imię zawodowego sukcesu?

Przecież już go nie Kocham, upomniała się w duchu.

Upomniała się jeszcze za to i owo, a tak naprawdę nie mogła się zdecydować. Zagryzła dolną wargę.

– Raven, pomyśl o muzyce – zasugerował Brandon.

– Myślę... Ale myślę też o tobie... i o nas. – Popatrzyła na niego. – Nie jestem pewna, czy to się na mnie nie odbije.

– Nie mogę obiecać, że cię nie dotknę. – Szorstki ton zdradzał jego niepokój. – Ale postaram się. Czy to wystarczy?

– Och, zostawmy to... Gdybym się zgodziła, to kiedy chciałbyś zacząć? Niedługo ruszam w trasę koncertową.

– Wiem, za dwa tygodnie. Za sześć ją skończysz, czyli moglibyśmy zacząć w pierwszym tygodniu maja.

– Aha. – Zacisnęła usta, przesunęła palcami po włosach. – Dobrze się orientujesz.

– Już ci mówiłem, że to biznes.

– Tak, biznes... Gdzie mielibyśmy pracować? Na pewno nie tutaj – dodała szybko, czując ciężar na piersi. – To miejsce odpada.

Rozumiał ją doskonale.

– Nie miałem zamiaru tego ci proponować. Myślałem o Kornwalii.

– Kornwalia? – zdziwiła się. – Dlaczego akurat tam?

– Bo tam jest cisza i spokój, i nikt, a zwłaszcza prasa, nie ma pojęcia o tym miejscu. Wyobrażasz sobie, co będzie, gdy wyjdzie na jaw, że pracujemy razem, w dodatku nad tym musicalem?

– Może wynajmiemy małą jaskinię na wybrzeżu? Brand roześmiał się, wziął w palce pasmo jej włosów.

– Przecież wiesz, że w jaskiniach jest fatalna akustyka. Raven, uwierz mi, wiosną Kornwalia jest zachwycająca. Jedź ze mną.

– Hm... – Podniosła dłoń, by go odepchnąć. Wciąż nie wiedziała, co zdecydować. Kontakt z Brandonem tak wiele ją kosztował. Musi się zastanowić, przemyśleć wszystko dokładnie. Mieć na to przynajmniej kilka dni.

– Raven. – W progu stanęła Julie.

– Tak?

– Telefon do ciebie.

Spięła się w środku, zmarszczyła czoło.

– Nie może poczekać? Julie, ja...

– Na twój prywatny numer.

Intuicyjnie poczuł, że Raven zeszywniała. To go zaskoczyło. Po jej oczach niczego nie mógł się domyślić.

– Aha. – Mówiła spokojnie, lecz w jej tonie słyszał ledwie wyczuwalną panikę.

– Raven? – Spontanicznie ujął ją za ramiona i obrócił ku sobie. – O co chodzi?

– O nic. – Uwolniła się z jego uścisku. Była zmieniona, dziwnie daleka. – Nalej sobie jeszcze herbaty. – Uśmiechnęła się, lecz jej oczy pozostały nieodgadnione. – Za minutę wracam.

Zniknęła na więcej niż dziesięć. Brand zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju. Raven zmieniła się, to było jasne. Już nie była uległą dziewczyną sprzed lat, którą mógł łatwo urobić, nie miał więc żadnej pewności, czy zgodzi się z nim pracować. Chciał, by przyjęła jego propozycję nie tylko ze względu na ten projekt, ale również na niego. Teraz, gdy znów miał ją w ramionach, wspomnienia wróciły. I nie tylko wspomnienia. Fascynowała go, zawsze tak było. Nawet wtedy, gdy była dwudziestolatka, otaczała ją atmosfera skrywanej tajemnicy, i w tym nic się nie zmieniło. Jakby zamykała się przed nim, nie dopuszczała go do pewnych spraw. Pięć lat temu też to przeżył. Trzymała go na dystans, nie tylko w sensie fizycznym. Wtedy to go frustrowało, teraz też.

Jednak on też jest starszy i nie zamierza powtarzać starych błędów. Wie, czego chce, i postara się to osiągnąć. Usiadł przy fortepianie i zaczął grać „Clouds and Rain”. Miał w uszach głęboki, ciepły, jedwabisty głos Raven. Już prawie doszedł do końca, gdy wyczuł jej obecność.

Podniósł głowę. Raven stała w drzwiach. Miała niebywale ciemne oczy. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to kontrast z jej bladą jak papier twarzą. Czyżby ten utwór tak ją poruszył? Przerwał grę i się podniósł.

– Raven...

– Zdecydowałam się – weszła mu w słowo. – Przyjmuję twoją propozycję. – Patrzyła prosto na niego, trzymając złożone przed sobą dłonie.

– Świetnie. – Ujął jej ręce. Były zimne jak lód. – Dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście. – Cofnęła dłonie, lecz nadal nie odrywała od niego oczu. – Spodziewam się, że Henderson wprowadzi mnie we wszystkie szczegóły.

Była bardzo spokojna. Tak spokojna, że się zaniepokoił.

– Raven, zjedźmy razem kolację. – Chciał być z nią, chciał przebić się przez mur, którym się otoczyła. – Zapraszam cię do Bistro, zawsze ci się tam podobało.

– Dzięki, ale nie dzisiaj. Mam... coś do zrobienia.

– W takim razie jutro. – Wiedział, że nie powinien tak nalegać, lecz to było silniejsze od niego.

Raven nagle oklapła, wydała się bardzo zmęczona.

– Dobrze, niech będzie. – Uśmiechnęła się ze znużeniem. – Przepraszam, ale proszę, idź już. Nie miałam pojęcia, że zrobiło się tak późno.

– Oczywiście. – Pochylił się i po przyjacielsku musnął jej usta. Chciał ją pocieszyć, poprawić jej nastrój. – Jutro o siódmej – powiedział. – Jestem w Bel–Air, po prostu zadzwoń.

Odczekała, aż zamknęły się za nim drzwi. Przycisnęła rękę do czoła, rozluźniła się, uwalniając skrywane emocje. Nie płakała, lecz głowa pękała jej z bólu. Poczowała na ramieniu rękę Julie.

– Znaleźli ją? – zapytała z niepokojem, masując barki Raven.

– Tak, znaleźli. – Powoli wypuściła powietrze. – Teraz dochodzi do siebie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sanatorium było białe i czyste. Zaprojektowane przez dobrego architekta bardziej kojarzyło się z sielską oazą niż obiektem medycznym. Niewtajemniczeni mogli je wziąć za zaciszny luksusowy hotel usytuowany na malowniczym wybrzeżu kalifornijskiego Ojai. Z okien stylowego budynku roztaczały się wspaniałe widoki na okolicę. Raven nienawidziła tego miejsca.

Puszysta wykładzina skutecznie tłumiła odgłos kroków, toczony ściszym głosem rozmowy nie zakłócały panującej w budynku ciszy. Raven nie znosiła tego nienaturalnego spokoju. Obsługa nie rzucała się w oczy, nosiła zwyczajne stroje, jedynie plakietki z nazwiskiem świadczyły, że ma się do czynienia z kimś z personelu. Ośrodek Fieldmore Clinic należał do najbardziej renomowanych tego typu placówek w Stanach, uchodził za najlepszy w tych stronach. Raven przeprowadziła dokładne rozpoznanie, nim pięć lat temu po raz pierwszy przywiozła tu mamę.

Czekała w gabinecie Justina Kartera. Pokój również był stylowo urządzone, wyłożony boazerią, z rozległym widokiem na południe. Poranne słońce oświetlało przemyślną kompozycję bujnych zielonych roślin. Ciekawe, czemu ona nigdy nie osiąga takich wspaniałych efektów, czemu jej rośliny nigdy nie wyglądają tak zachwycająco? Może zapytać doktora Kartera, jak on to robi? Roześmiała się, potarła palcami czoło, by złagodzić narastający ból głowy.

Nienawidziła tych wizyt i przesiąkniętego zapachem skóry i luksusu powietrza. Objęła się ramionami. Kiedy tu się zjawiała, zawsze przenikał ją chłód, wystarczyło, że przekroczyła próg kliniki. Zaczęła nerwowo krążyć po gabinecie. Kiedy dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi, zatrzymała się i powoli odwróciła.

Do pokoju wszedł drobny, dobrze się trzymający mężczyzna. Jasnowłosy, o zaróżowionych policzkach, lekko piegowaty, w szylkretowych okularach i z bystrym spojrzeniem. W innych okolicznościach z miejsca wzbudziłby w niej sympatię.

– Pani Williams. – Wyciągnął rękę na powitanie i uścisnął dłoń Raven. Była chłodna i delikatna, jak ją zapamiętał. Z upiętymi włosami i w ciemnym kostiumie wyglądała bardzo młodo. Zupełnie nie przypominała kipiącej energią, roześmianej piosenkarki, którą kilka tygodni temu widział w telewizji.

– Dzień dobry, doktorze Karter.

Zawsze zdumiewało go, że ten głęboki, dźwięczny głos należał do tak drobnej, delikatnej kobiety. Takie samo odczucie miał kilka lat temu, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. Była wtedy bardzo młodą dziewczyną. Cenił ją i był jej zagorzałym fanem, lecz nigdy nie poprosił o autograf na którejś z jej płyt. Wiedział, że oboje poczuliby się niezręcznie.

– Proszę, niech pani usiądzie, pani Williams. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję. – Przełknęła ślinę. Zawsze, gdy z nim rozmawiała, czuła suchość w gardle. – Chciałabym najpierw zobaczyć moją matkę.

– Jest kilka spraw, które chciałbym z panią omówić. – Patrzył, jak przesuwając językiem po wargach. Czyli jest zdenerwowana, choć stara się tego po sobie nie okazać.

– Najpierw ją zobaczę.

– Dobrze. – Wziął ją pod rękę i poprowadził korytarzem do wind. – Pani Williams... – Wolałby zwracać się do niej po imieniu, lecz między nimi zawsze była niewidoczna ściana, której nie powinien burzyć. Raven dystansowała się od niego, bo znał jej tajemnice. Ufała, że ich nie zdradzi, ale nie czuła się z nim swobodnie.

Odwróciła się i popatrzyła na niego wielkimi szarymi oczami.

– Tak? – Tylko raz załamała się w jego obecności i poprzysięgła sobie, że to już nigdy się nie powtórzy. Nie dopuści, by choroba matki wytrąciła ją z równowagi, nie wystawi więcej swego bólu i bezradności na widok publiczny.

– Nie chciałbym, by przeżyła pani szok. – Weszli do windy. – Podczas ostatniego pobytu pani matka zrobiła duży krok naprzód, lecz niestety, jak pani wie, wyszła stąd przedwcześnie. Przez te trzy miesiące jej stan... no cóż, pogorszył się.

– Panie doktorze – rzekła znużonym tonem – proszę się nie silić na delikatność. Wiem, gdzie i jak została znaleziona. Teraz ją pan odtruje, za kilka miesięcy ona znowu ucieknie i wszystko zacznie się od początku. To stały schemat.

– Alkoholicy toczą nieustającą walkę z chorobą.

– Niech pan sobie daruje te gadki! – Wstrzymywane emocje puściły. – I przemowy na temat alkoholizmu i ciągłej walki. – Przycisnęła palce do czoła.

– Wiem wszystko na temat alkoholizmu – powiedziała już spokojniej. – Dlatego nie potrafię zdobyć się na optymizm.

– Zawsze znów ją tu pani przywozi – przypomniał łagodnie.

– To moja matka. – Drzwi rozsunęły się i Raven wyszła z windy.

Czuła zimno na plecach. Szli korytarzem, mijając kolejne pokoje. Nie chciała myśleć o ludziach, którzy byli za tymi drzwiami. Szpitalny zapach był tu mocniejszy. Zawsze, gdy go czuła, robiło się jej niedobrze. Wreszcie Karter zatrzymał się i wyciągnął rękę do klamki.

Raven dotknęła jego dłoni.

– Najpierw wejdę sama, proszę.

Wiedział, że jej spokój jest tylko pozorny. Dostrzegł w jej oczach skrywaną panikę. Jej dłoń nie drżała, ale była zimna jak lód.

– Dobrze. Ale tylko na kilka minut. Pojawiły się komplikacje, które powinniśmy przedyskutować. Poczekam tutaj na panią.

Raven zebrała się w sobie i weszła do środka.

Na szpitalnym, zasłanym elegancką pościelą łóżku drzemała podłączona do kroplówki kobieta. Zasłony były zaciągnięte, więc w pomieszczeniu panował półmrok. Komfortowy pokój o bladoniebieskich ścianach wyłożony kremową wykładziną, na ścianach kilka obrazów. Ot, sanatorium dla milionerów...

Ostrożnie podeszła do łóżka. Pierwsze, co pomyślała, to że mama wychudła: zapadnięte policzki, skóra o niezdrowym żółtawym odcieniu. Do tego krótko przycięte, przetykane siwizną włosy. Kiedyś były błyszczące i gęste. Mizerna twarz, sińce pod oczami, suche, zaciśnięte usta. Raven na moment przymknęła oczy, bo ogarnęło ją przytłaczające poczucie bezsilności. Patrzyła na śpiącą matkę, która nagle podniosła powieki. Miała ciemne szare oczy, takie jak córka.

– Mamo. – Raven już nie tłumiała łez. – Dlaczego?

Kiedy dotarła do domu, padała z nóg. Marzyła tylko o tym, by położyć się do łóżka i o wszystkim zapomnieć. Głowa nadal bolała, ćmiący ból przemienił się w torturę nie do zniesienia. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, zbierając siły, by wejść na górę.

– Raven?

Otworzyła oczy. Julie podeszła do niej i otoczyła ramieniem, marszcząc brwi z przyganą.

– Szkoda, że nie pozwoliłaś mi z sobą jechać. Niepotrzebnie ci uległam.
– Prowadziła ją do schodów.

– To moja mama i mój problem – powiedziała ze znużeniem.

– Nie denerwuj mnie. – W głosie Julie brzmiał tłumiony gniew. – Jestem twoją przyjaciółką. Ty byś była przy mnie w takiej sytuacji.

– Nie gniewaj się, proszę. – Zachwiała się, gdy Julie zdejmowała z niej żakiet. – Po prostu poczuwam się do odpowiedzialności, to wyłącznie moja sprawa. Za długo tak było, bym nagle mogła to zmienić.

– Jestem na ciebie zła – mruknęła Julie, ściągając z niej spódnicę. – To jedyna sytuacja, kiedy nie mogę znieść twojej samodzielności. – Popatrzyła na bladą, zmęczoną twarz Raven. – Jadłaś coś? – Gdy Raven pokręciła głową, dodała: – I pewnie nie chcesz nic jeść. – Odciągnęła palce Raven mocującej się z guzikami białej bluzki. Rozpięła je i przy biernej postawie Raven pomogła się rozebrać.

– Idę na kolację z Brandonem – wymamrotała, pozwalając Julie prowadzić się do łóżka.

– Zadzwońię do niego i odwołam. Potem przyniosę ci coś do jedzenia. Musisz się przespać.

– Nie. – Raven wsunęła się pod kołdrę. – Chcę wyjść. Muszę wyjść. – Zamknęła oczy. – Chcę przestać myśleć, choć na chwilę. Teraz trochę odpocznę. On zjawi się dopiero o siódmej.

Julie podeszła do okna, by opuścić rolety. Jeszcze nim w pokoju zrobiło się ciemno, Raven usnęła.

Brandon przyjechał kilka minut po siódmej. Julie otworzyła mu drzwi. Był ubrany z niedbałą elegancją, w beżowy garnitur i granatową, rozpiętą pod szyją koszulę. Prezentuje się nieźle, uznała Julie. Bukieciak fiołków nie śmieszył, a ujmował bezpretensjonalnością. Brandon znacząco uniósł brew, obrzucając wzrokiem jej czarną obcisłą suknię.

– Cześć, Julie. Wyglądasz bosko. – Wyciągnął z bukiecika jeden kwiatusek i podał go jej. – Wybierasz się gdzieś?

– Tak, lada moment. – Julie przyjęła kwiatek. – Raven zaraz do ciebie zejdzie. Brand... – Zawahała się, potrząsnęła głową, odwróciła się i pociągnęła go do pokoju muzycznego. – Przyrządę ci drinka. Whisky, prawda? Bez dodatków.

– Nie o tym chciałaś mówić. – Ujął ją za ramię

– Racja... – Walczyła z sobą, wreszcie powiedziała, patrząc z powagą na Brandona: – Zależy mi na Raven. Niewielu jest takich ludzi jak ona, a już zwłaszcza w tym mieście. Ona jest prawdziwa. Wydaje się jej, że jest twarda i zahartowana, ale to nieprawda. Łatwo ją skrzywdzić. Nie chciałabym, by tak się stało, szczególnie teraz. Nie, nic więcej ci nie powiem – uprzedziła jego pytanie. – To sprawa Raven, nie moja. Uprzedzam cię tylko, że należy się z nią obchodzić delikatnie i z wielką cierpliwością. Postaraj się o to.

– Jak dużo wiesz o tym, co zdarzyło się pięć lat temu?

– Wiem to, co Raven mi powiedziała.

– Któregoś dnia powinnaś mnie spytać, co wtedy czułem i dlaczego odszedłem.

– Odpowiesz mi?

– Tak – odparł natychmiast. – Powiem ci wszystko.

– Przepraszam! – Po schodach zbiegła Raven. Była w lekkiej białej sukience z cieniutkiej tkaniny. – Nie cierpię się spóźnić. – Czarne włosy kaskadą opadały na ramiona okryte przezrzystym woalem. – Nie mogłam znaleźć pantofli.

Miała leciutko zaróżowione policzki, oczy jaśniały, śmiech brzmiał perliście. Przez mgnienie przebiegło mu przez myśl, że jest w tym coś nienaturalnego, przesadnego, lecz szybko odepchnął od siebie to dziwne wrażenie.

– Piękna jak zawsze. – Podał jej bukiet. – Chętnie na ciebie czekam, nigdy mi to nie przeszkadzało.

– Och, jakie śliczne – wyszeptała, zanurzając twarz w kwiatach i upajając się zapachem. Jej oczy się śmiały. – Brandon, dziś jestem w takim nastroju, że możesz mnie rozpieszczać.

Ujął ją za rękę.

– Dokąd masz ochotę się wybrać?

– Wszystko jedno, ale najpierw chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu.

– Dobrze. Postawię ci cheeseburgera.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – powiedziała, odwracając się do Julie. – Baw się dobrze i nie martw się o mnie. – Pocałowała ją w policzek. – Obiecuję, że nie zgubię kluczy. I pozdrów ode mnie... – Zawahała się, idąc do wyjścia z Brandonem. – Zaraz, a z kim się dziś spotykasz?

– Z Lorenzem – odpowiedziała Julie, przyglądając się im. – Magnatem obuwniczym.

– Och, no tak. – Raven jeszcze się śmiała, gdy wychodzili na dwór. Wieczorne powietrze było przyjemnie rześkie. – To niesamowite. – Wsunęła rękę pod ramię Brandona. – Zawsze znajdzie się jakiś milioner, który traci głowę dla Julie. Ma dziewczyna farta.

– Magnat obuwniczy? – zapytał Brand, otwierając drzwi samochodu.

– Mhm. Włoch. Ubiera się świetnie i w ogóle wygląda tak bardzo super, że powinni wybijać jego portret na monetach.

Brand z przyzwyczajenia przesunął dłonią po włosach opadających jej na plecy.

– Poważnie?

Starła się nie zwracać uwagi na dotyk jego palców.

– Jak najbardziej. – Zapach skórzanej tapicerki skojarzył się jej z gabinetem doktora Kartera, lecz zdusiła tę myśl. – Na co mnie zaprosisz? – zapytała pogodnie. Zbyt pogodnie. – Ostrzegam, że jestem głodna jak wilk.

Położyła rękę na jej szyi. Nie mogła na niego nie spojrzeć.

– Powiesz mi, o co chodzi?

Zawsze był zbyt spostrzegawczy. Również dzięki temu jego utwory były takie wyjątkowe. Przykryła jego dłoń swoją dłonią.

– Żadnych pytań, Brandon. Nie teraz.

Przez chwilę się wahał, czuła to. Odwrócił dłoń i uścisnął jej rękę. Powoli, przewyciężając opór Raven, uniósł ją do ust.

– Nie teraz – powiedział, nie odrywając wzroku od twarzy Raven. – Nadal na ciebie działam. – Uśmiechnął się, jakby ta świadomość sprawiała mu przyjemność. – Czuję to.

Po ramionach przebiegły ją dreszcze.

– Tak. – Cofnęła rękę, lecz nie odwróciła oczu. – Nadal na mnie działasz. Ale nic nie jest tak, jak było.

– Masz rację, nic nie jest tak, jak było...

Kiedy ruszył, ogarnęło ją dziwne poczucie, że choć powiedzieli to samo, ich słowa znaczyły zupełnie coś innego.

Kolacja była wyjątkowo udana. Na tę niewielką zaciszną knajpkę natknęli się kiedyś przypadkiem. Wiedzieli, że tu nic nie zakłóci im spokoju, nikt nie będzie domagać się autografów, nie spotkają żadnych znajomych. Milo spędzą wieczór we dwoje przy blasku świec, ciesząc się winem i dobrym jedzeniem.

Raven rozluźniła się, desperacja i smutek malujące się w jej oczach rozwiały się bez śladu. Brand, choć nie uszło to jego uwagi, powstrzymał się od komentarzy.

– Czuję się, jakbym nie jadła od tygodnia – mówiła Raven, zajadając się delikatną, kruchą wołowiną, specjalnością lokalu.

– Chcesz spróbować ode mnie? – Podsunął jej swój talerz.

Raven skubnęła kawałek pieczonego ziemniaka. Oczy się jej śmiały.

– Poprosimy, żeby zapakowali nam resztę na wynos, zabiorę wszystko do domu. Muszę zostawić sobie miejsce na deser. Widziałeś gablotę z ciastkami?

– Chyba namówię cię na wyjazd do Kornwalii – rzekł Brand, dolewając sobie burgunda.

Raven się roześmiała. Ten gardłowy śmiech zawsze mu się podobał i działał na niego.

– Nim tam pojedziemy, zostanie ze mnie skóra i kości. Dobrze wiesz, co robią z człowieka takie trasy. – Pokręciła przecząco głową, dziękując za dolewkę wina.

– Trasa z San Francisco do Nowego Jorku, codziennie koncert w innym mieście. – Uniósł kieliszek, widząc zaskoczenie na twarzy Raven. – Rozmawiałem z Hendersonem. – Z roztargnieniem owinał sobie wokół palca pasmo jej włosów. Wiedziała, że zrobił to bezwiednie. Nie zaproponowała. – Jeśli ci to odpowiada, to spotkamy się w Nowym Jorku, gdy będziesz kończyła trasę. Stamtąd polecimy do Anglii.

– Dobrze. Ustal szczegóły z Julie, bo nie mam pamięci do dat. Zawsze coś pokręcę i potem są kłopoty. Przez ten czas będziesz w Stanach?

– Mam występy w Las Vegas. – Przesunął palcami po jej policzku. Nim zdążyła się cofnąć, położył rękę na jej dłoni. – Minęło trochę czasu, odkąd tam byłem. Przypuszczam, że wiele się nie zmieniło.

– Nie – odparła ze śmiechem. – Występowałam tam pół roku temu. Szczęściara Julie wygrała kupę forsy w bakarata, a biedna Raven wpompowała fortunę w żarłoczne paszcze automatów.

– Czytałem recenzje. Rzeczywiście byłaś taka fantastyczna, jak pisali? – Uśmiechnął się, jednym palcem bawiąc się złotą bransoletką na jej nadgarstku.

– Nawet jeszcze bardziej, niż pisali – rzekła z przekonaniem.

– Chciałbym tam ciebie zobaczyć. – Jego palec powoli przesunął się dalej. Poczuł, że tętno Raven przyspieszyło. – Już tak dawno nie słuchałem, jak śpiewasz.

– Dopiero co słyszałeś mnie w studiu. – Cofnęła rękę, by sięgnąć po kieliszek. Brand jakby nigdy nic ujął jej drugą dłoń. – Ejże... – zaczęła, rozbawiona jego zachowaniem.

– Słyszałem cię też w radiu, ale to nie to samo, co widzieć cię na żywo na koncercie. Czy też... – Uśmiechnął się i zniżył głos do szeptu, który tak dobrze pamiętała. – Czy też słuchać, jak śpiewasz tylko dla mnie.

Przemawiał lekko, jego głos był aksamitny jak wino, które sączyła. Wiedziała, że nie powinna ulec jego czarowi. Lepiej nie wdawać się w takie tematy, tylko pozostać na bezpiecznym gruncie.

– Wiesz, co najbardziej mnie teraz ekscytuje? – spytała cicho, pochylając się ku niemu. W jej oczach jaśniały wesołe iskierki.

– Deser – powiedział.

– Jak ty dobrze mnie znasz!

Miała ochotę potańczyć. Wyszli z restauracji i zgodnie uznali, że darują sobie modne miejsca, gdzie wypada bywać. Wybrali nierzucający się w oczy, zatłoczony i zadymiony klub z dobrą muzyką, podobny do tych, w których niegdyś sami zaczynali karierę. Liczyli, że tam nikt ich nie rozpozna.

Co przez prawie dwadzieścia minut się udawało.

– Przepraszam, czy pan Brand Carstairs? – zaczęła ich młoda blondynka, szczerząc zęby i z admiracją wpatrując się w Brandona, po czym spojrzała w bok. –I Raven Williams.

– Jestem Bob Muldron – odparł Brand, przybierając teksański akcent. – A to moja żona Sheila. Powiedz cześć, Sheilo. – Przygarnął ją do siebie i kołysał się wraz z nią na niewielkim parkiecie.

– Cześć – posłusznie powiedziała Raven.

– Och, panie Carstairs! – Rozbawiona dziewczyna podała mu serwetkę i długopis. – Jestem Debbie. Napisze mi pan dedykację?

– Jasne. – Brand błysnął uśmiechem i poprosił Raven, by się odwróciła. Wykorzystując jej plecy jako podpórkę, szybko złożył podpis.

– Raven, ty też – poprosiła Debbie. – Na drugiej stronie.

Fani zawsze traktowali ją bardzo bezpośrednio. Miała w sobie ciepło, które zjednywało jej natychmiastową sympatię, nie onieśmiałała jak inne gwiazdy. Podpisała się na serwetce, opierając ją na plecach Brandona. Gdy skończyła, spostrzegła rozmarzone oczy wpatrzonej w Brandona Debbie. Doskonale wiedziała, jakie myśli chodzą jej po głowie.

– Proszę. – Dotknęła jej ręki, przywołując ją do rzeczywistości.

– Och. – Debbie wzięła serwetkę, popatrzyła na nią niewidzącym wzrokiem i uśmiechnęła się do Brandona. – Dziękuję. – Przeniosła wzrok na Raven i przesunęła palcami po włosach, jakby dopiero teraz się zreflektowała. – Bardzo dziękuję.

– Proszę. – Brand uśmiechał się, jednocześnie dyskretnie popychając Raven w stronę wyjścia.

Oczywiście incydent nie pozostał niezauważony. Przez następny kwadrans nie mogli opędzić się od fanów. Powoli przesuwali się do drzwi,

składając autografy i odpowiadając na dziesiątki pytań. Brand czujnie pilnował, by tłum ich nie rozdzielił.

Rozentuzjasmowani fani popychali ich trochę, lecz sytuacja była pod kontrolą. Jak na tutejsze standardy było wcześniej i alkohol jeszcze nie uderzył do głów. Mimo to Brandon chciał jak najszybciej wyprowadzić Raven i opuścić to miejsce, bo doskonale wiedział, jak nieprzewidywalna może być reakcja tłumu. Nieprzewidywalna i potencjalnie niebezpieczna. Raven składała autografy, co i rusz jakaś dłoń wyciągała się do jej włosów. Brandon odetchnął, gdy wreszcie wyszli na dwór. Towarzyszyło im już tylko kilka osób. Szli za nimi aż do samochodu. Brandon rozdał jeszcze kilka podpisów.

– Cholera! Przepraszam, że tak wyszło. – Przechylił się, by zamknąć jej drzwi. – Nie powinienem cię tu przyprowadzać.

Raven nabrała powietrza, odgarnęła włosy na plecy i odwróciła się do Brandona.

– Nie gadaj bzdur. Chciałam tu przyjść. Poza tym wszyscy byli mili.

– Nie zawsze tak jest. – Ruszył w drogę.

– To prawda. – Oparła się wygodniej. – Chociaż ja zawsze miałam farta.

Tylko może raz czy dwa sytuacja wymykała się spod kontroli. Niestety, tak to już jest, że czasami fanów ponosi. Zapominają, że jesteśmy normalnymi ludźmi.

– I dlatego chcą uszczknąć choć odrobinę swego idola.

– Czasami bywa naprawdę groźnie. – Zadumała się na moment. – Pamiętam, że kiedyś oglądałam migawkę z twojego koncertu, jakieś siedem czy osiem lat temu. To było w Londynie. Tłum przedarł się przez ochroniarzy i rzucił się na ciebie. To musiało być straszne.

– Z tego uwielbienia złamali mi kilka żeber.

– Och! – wykrzyknęła zszokowana. – Boże. O tym nie wiedziałam.

– Cóż, tak bywa – skomentował z uśmiechem. – Na jakiś czas przeszła mi ochota na koncertowanie, lecz szybko się pozbierałem. – Skreślił w stronę wzgórz. – Teraz ochrona jest znacznie lepsza.

– Nie wiem, czy po czymś takim zdobyłabym się na to, by stanąć twarzą w twarz z publicznością.

– To z czego byś miała adrenalinę? Przecież właśnie o to nam chodzi, tego nam trzeba. Oklaski i aplauz, natychmiastowa nagroda. – Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie. – Po co innego to robimy? Właśnie po to tylu ludzi tak bardzo się stara, by zdobyć popularność. Co ciebie skłoniło, by wejść na tę drogę?

– Chciałam uciec – odparła bez namysłu, za późno gryząc się w język. Westchnęła i oparła się o jego ramię. Brand o nic nie pytał. – Muzyka zawsze była dla mnie czymś pewnym, czymś, czego mogłam się trzymać, co miałam tylko dla siebie. A przy tym bardzo chciałam się dzielić z innymi tym czymś, co jest tylko moje. Bo tylko czymś takim możemy prawdziwie się dzielić, nic przy tym nie tracąc, a jeszcze zyskując. – Popatrzyła na niego. – A jak było z tobą?

– W sumie bardzo podobnie. Miałem coś do powiedzenia i zależało mi, by ludzie to zapamiętali.

Roześmiała się.

– Na początku kariery byłeś strasznym radykałem. Pamiętam twoje utwory, ostre i buntownicze, jakbyś chciał wywołać światową rewolucję.

– Z czasem złagodniałem.

– Tak? Ciekawe, bo sądząc po niektórych piosenkach, można odnieść całkiem inne wrażenie. Na przykład „Fire Hot” z ostatniego albumu.

Uśmiechnął się, zerknął na nią przelotnie.

– Muszę trzymać rękę na pulsie.

– Przez dziesięć tygodni była na pierwszym miejscu listy. Niezły wynik jak na łagodny utwór.

– Fakt. No cóż, trochę cię przebiłem, prawda? Miałaś kilka takich słodkich pioseneczek. Może ze zbytnim naciskiem na smyczki, ale...

Pacnęła go w ramię.

– Raven – marudził – nie rozpraszaaj mnie, gdy prowadzę, bo będzie wielkie bum.

– Te słodkie pioseneczki przyniosły mi platynę.

– Owszem, powiedziałem, że są słodkie, a nie, że są złe, w swojej klasie oczywiście – podpuszczał ją. – A już te twoje teksty... Może zbyt sentymentalne, ale...

– Lubię sentymentalne teksty – odgryzła się, szturchając go w ramię. – Nie każda piosenka musi być zaangażowana społecznie.

– Oczywiście, że nie. Zawsze są chętni na słodziutkie śpiewanki.

– Słodziutkie śpiewanki – powtórzyła, nie uświadamiając sobie, że po staremu zaczęli sobie docinać, i zwięzła oczy, bo Brand znienacka zjechał na pobocze. – Co robisz?

– Wolę się zatrzymać, nim znowu dasz mi kuksańca. – Koniuszkiem palca pacnął ją po nosie.

– Czyli moje piosenki...

– Są strasznie sentymentalne – dokończył.

Popatrzyła na niego wyniośle.

– Skoro masz takie zdanie o mojej muzyce, to jak sobie wyobrażasz wspólną pracę?

– Idealnie. Będziemy się doskonale równoważyć. Tak jak kiedyś.

– Nie tyle równoważyć, co wciąż skakać sobie do oczu.

– Owszem, też tak myślę.

– No i – dodała, tłumiąc uśmiech – ty nie zawsze wygrasz.

– I bardzo dobrze. Inaczej byłoby nudno. – Przyciągnął ją do siebie. Opierała się, lecz nie ustąpił. Położyła głowę na jego ramieniu. – Popatrz – zagaił, wskazując widok za oknem. – Czemu miasta zawsze wyglądają najlepiej z góry i nocą?

Raven popatrzyła na rozciągające się niżej morze świateł i jaśniejące w mroku wieżowce.

– Bo wtedy są najbardziej tajemnicze. Jesteś ciekawy, co na dole się dzieje, a niczego nie widzisz. Tutaj jest cisza i spokój. – Poczula na skroni jego usta. – Brandon.

– Cofnęła się.

Lecz ją przytrzymał.

– Nie odpychaj mnie, Raven. – Od jego szeptu robiło się jej gorąco. – Proszę.

Powoli pochylił się ku niej. Dotyk jego ust był lekki jak muśnięcie, choć dłoń, którą podtrzymywał jej kark, nawet nie drgnęła. Całował jej policzki, obsypywał drobnymi pocałunkami zamknięte powieki, włosy na skroni. Czula, jak topnieje w jego ramionach, traci nad sobą kontrolę.

Znowu całował jej usta, coraz goręcej, coraz bardziej namiętnie. Jej zapach otaczał go, upajał.

Czula na piersi jego dłonie i choć chciała się cofnąć, nie mogła. Ciało wrywało się do niego, dotyk jego palców palił. Już tak dawno nie doświadczała podobnych emocji, tak dawno nie odczuwała tak intensywnie.

– Raven. – Jego usta błędziły po jej szyi, po policzkach. – Och, tak bardzo cię pragnę. To już tyle czasu – szeptał, powtarzając jej myśli. – Tyle czasu. Chodź ze mną. Pojedźmy do hotelu. Zostań u mnie.

Nie mogła myśleć, nie mogła się opierać. To było silniejsze od niej. Kolejny pocałunek jeszcze bardziej rozpałił jej zmysły. Była rozdarta między lękiem a pragnieniem. Podjęła walkę.

– Nie. – Odetchnęła głęboko. – Przestań.

Brand ujął ją za ramiona, zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

– Dlaczego? – rzucił ostro. – Chcesz mnie, czuję to.

– Nie. – Potrząsnęła głową, drżącymi rękami odepchnęła jego pierś. – Nie pojedę. Nie mogę. – Starła się uspokoić oddech. – Puść mnie, to boli. Proszę, puść mnie. Powoli rozluźnił uścisk, cofnął ręce.

– Znowu to samo... – Zapalił papierosa. – Znowu wycofujesz się w połowie drogi, choć najpierw nie protestujesz. – Zaciągnął się głęboko. – Powinienem się tego spodziewać.

– Nie mów tak. To nie ja to zaczęłam. Wcale nie chciałam...

– Chciałaś – przerwał jej ze złością. – Do diabła, Raven, chciałaś. Miałem wystarczająco wiele kobiet, by wiedzieć takie rzeczy.

Wyprostowała się sztywno. Te słowa ją ubodły.

– Lepiej wracaj do tych swoich kobiet, Brandon. Zapowiedziałam ci, że tym razem nie padnę do twoich stóp. I to nie był blef. Jeśli możemy razem pracować i nie wykraczać poza te ramy, to bardzo proszę. – Przełknęła ślinę, wygładziła dłonią potargane włosy. – Jeśli to dla ciebie niemożliwe, to poszukaj sobie kogoś innego do współpracy.

– Chcę pracować z tobą. – Wyrzucił papierosa za okno. – Przez jakiś czas możemy popracować na twoich warunkach. Jesteśmy profesjonalistami i doskonale wiemy, że ten musical będzie krokiem milowym w naszej karierze. – Włączył silnik. – Odwiozę cię do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie lubiła spóźniać się na przyjęcia, lecz nie mogła nie pójść. Niestety, bo teraz czas był dla niej na wagę złota, liczyła się dosłownie każda chwila. Gdyby nie fakt, że na dzisiejszej imprezie będzie okazja zamienić parę słów z Lauren Chase i paroma innymi znaczącymi ludźmi biorącymi udział w kręceniu „Fantasy”, darowałyby sobie to wyjście. Za dwa dni rusza w trasę koncertową.

Prawda była taka, że zupełnie wypadło jej z głowy to dzisiejsze przyjęcie. Kiedy wreszcie skończyli próby, wybrała się do Beverly Hills, by popatrzeć na sklepowe wystawy. Nie zamierzała niczego kupować, jedynie trochę oderwać się od codzienności. Przez ostatnie tygodnie pracowała bez wytchnienia, a przez najbliższe czeka ją prawdziwa harówka. Marzyło się jej kilka godzin na luzie, bez zadreżniania się myślami o mamie i jej sanatorium, bez zastanawiania się nad piosenkami i roztrząsania emocji, które obudził w niej Brand. Woląла pochodzić po sklepach, pooglądać rzeczy. Rozejrzała się po kilku eleganckich butikach, lecz niczego nie kupiła.

Gdy wróciła do domu, na drzwiach sypialni powitała ją kartka z odręczną wiadomością od Julie:

Przyjęcie u Steve'a Jaretta. Wiem — zapomniiałaś. WAŻNE! Wkładaj szpanerskie ciuchy i szoruj tam. Jestem na kolacji z Lorenzem. Zobaczymy się na miejscu. J.

Zaklęła pod nosem, zdecydowana na bunt, lecz szybko się opamiętała. Podeszła do szafy, by wybrać strój. Godzinę później mknęła samochodem do Hollywood. Impreza była zbyt ważna, by ją sobie odpuścić.

Steve Jarett miał reżyserować „Fantasy”. Obecnie był na topie. Okrzyknięty cudownym dzieckiem ekranu, miał za sobą trzy wielkie produkcje. Raven życzyła mu kolejnego sukcesu.

Na pewno zwali się masa ludzi, pomyślała, tęsknie spoglądając na usłane gwiazdami niebo. Będzie tłoczno i hałaśliwie. Roześmiała się w duchu. Od kiedy głośne imprezy napawają ją taką niechęcią? Jeszcze nie tak dawno lubiła bywać. Ludzie, których spotykała, często okazywali się fascynujący, mieli wiele do powiedzenia. Co nadal ją ciekawi. Tylko... Westchnęła. To nie dlatego tak się ociąga. Chodzi o Brandona. Na pewno też tam będzie.

Przyjdzie z kimś? Bo niby czemu nie? Chyba że pojawi się sam, by sobie kogoś przygadać. Znowu westchnęła. Niepotrzebnie denerwuje się czymś, co już dawno się skończyło.

W światłach samochodu załśniła kuta brama. Strażnik sprawdził nazwisko na liście i wpuścił Raven do środka. Już w połowie wysadzanego palmami krętego podjazdu dobiegły ją dźwięki muzyki.

Młodzieniec w białej marynarce podskoczył, by pomóc jej wysiąść z lamborghini. Początkujący aktor, scenarzysta lub operator, pomyślała Raven, obdarzając go przyjaznym uśmiechem.

– Trochę się spóźniłam. Jak pan myśli, uda mi się wślizgnąć tak, by nikt mnie nie zauważył?

– Nie wydaje mi się, pani Williams. Nie z pani wyglądem.

Uniosła brwi, zaskoczona, że w mroku tak szybko ją rozpoznał. Może nie dostrzegł twarzy czy włosów, lecz usłyszał charakterystyczny głos.

– To miał być komplement, prawda?

– Tak, proszę pani – odparł tak żarliwie, że Raven aż się roześmiała.

– Cóż, spróbuję, może mi się uda. Nie lubię efektownych wejść, chyba że na scenę. – Obrzuciła uważnym spojrzeniem rozległy dom z białej cegły. – Musi być boczne wejście.

– Z lewej strony są szerokie szklane drzwi, które prowadzą do biblioteki. Proszę wejść i skręcić w lewo. Nikt pani nie zauważy.

– Dziękuję. – Chciała wyjąć pieniądze i dopiero teraz zauważyła, że nie wzięła z samochodu torebki. Sięgnęła po nią przez okno. Wyjęła dwudziestodolarowy banknot i wręczyła go młodzieńcowi.

– Dzięki, Raven! – zawołał radośnie. Już odchodziła, gdy dobiegło ją jego wołanie. – Pani Williams? – Odwróciła się do niego z lekkim uśmiechem. – Może mi się pani podpisać?

– Na banknocie?

– Mhm.

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Nie, to bez sensu. – Poszukała w torebce i wyjęła kawałek papieru. Kartka ze spisem zakupów, którą Julie dała jej kilka tygodni temu. Po drugiej stronie była czysta. – Jak się pan nazywa?

– Sam. Sam Rheinhart.

– Proszę bardzo. – Złożyła autograf i podała mu kartkę. Ruszyła do wejścia. Chłopak odprowadzał ją wzrokiem z banknotem w jednej ręce i spisem zakupów w drugiej.

Od razu zauważyła boczne wejście. Drzwi były zamknięte, lecz mimo to słychać było gwar rozmów. Goście przysłuchiwali się głośnej muzyce granej przez zespół rockowy, wielu przechadzało się wokół basenu. Zatrzymała się w cieniu. Była w spódnicy do kostek i dopasowanej górze z długimi rękawami, w odcieniu ciemnej śliwki z metalicznymi, pobłyskującymi w świetle księżyca

nitkami. Weszła do biblioteki i odczekała chwilę, aż jej oczy przyzwyczyły się do półmroku.

W holu nikogo nie było. Zadowolona z tego faktu, powoli ruszyła w stronę, skąd dobiegał gwar.

– Raven! – zawołała do niej drobna blondynka. Carly Devers miała dziecienny głos i zdumiewający talent aktorski. Wprawdzie obracały się w różnych kręgach, lecz Raven darzyła ją dużą sympatią. – Nie wiedziałam, że tutaj jesteś.

– Cześć, Carly. – Pocałowały się w policzki. – Mam czego ci gratulować, prawda? Podobno dostałaś drugą główną rolę w „Fantasy”.

– Jeszcze nie zostało przyklepane, ale na to się zanosi. Cieszę się, bo to wspaniała rola, w dodatku u Steve'a, co dziś bardzo się liczy. – Wlepiała w Raven przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu. – Wyglądasz prześlicznie – powiedziała szczerze. – Tobie również należą się gratulacje, prawda?

– Tak. Strasznie się cieszę, że będę współtworzyć muzykę do tego filmu.

– Bardziej miałam na myśli Brandona niż muzykę – z szerokim uśmiechem odparła Carly. Gdy dla odmiany Raven przestała się uśmiechać, Carly uśmiechnęła się jeszcze promienniej. – Uff... Nadal czułe miejsce. – W jej tonie nie było krzty złości. Wzięła Raven pod rękę.

– Tym razem bardziej uważaj. Mnie samą kusi, by się wokół niego zakręcić, a z pewnością nie jestem w tym odosobniona.

– A co z Dirkiem Wagnerem? – zagadnęła jak gdyby nigdy nic.

– To już przebrzmiała sprawa, skarbie. Nie jesteś na bieżąco. – Carly zaśmiała się perliście. – Wiedz jednak, że nie mam zwyczaju wkraczać na cudze terytorium.

– Nic takiego nie ma – lekko odparła Raven.

– Hm. – Carly wzięła od przechodzącego kelnera dwa kieliszki szampana. – Podobno Brandon jest doskonałym kochankiem.

Mówiąc to, nie odrywała ciekawskich oczu od Raven, która jednak nawet nie mrugnęła okiem, tylko spokojnie wzięła kieliszek.

– Tak słyszałaś? Myślę, że to też już przebrzmiała sprawa.

– Punkt dla ciebie! – radośnie wykrzyknęła Carly.

– Brandon jest tutaj? – zapytała Raven, by udowodnić jej i sobie, że to tylko niezobowiązująca rozmowa.

– Widziałam go tu i tam – oględnie rzekła Carly.

– Trudno powiedzieć, czy wymyka się panienom, czy raczej sam próbuje którąś ustrzelić. Umie się przyczać, co?

Raven mruknęła coś niezrozumiałego i wzruszyła ramionami. Uznała, że pora zmienić temat.

– Widziałas Steve'a? Muszę się przedrzeć przez tłum i przywitać się z gospodarzem.

Typowa hollywoodzka impreza, podsumowała w duchu, przyglądając się z zainteresowaniem. Stroje od najdroższych projektantów i z zasobów Armii Zbawienia. Zespół ulokowany przy basenie grał na maksa, muzyka mieszała się z gwarem rozmów i głośnym śmiechem. Przez szeroko otwarte tarasowe drzwi do środka wpadało świeże wieczorne powietrze, więc nie czuło się dymu. Kolorowe lampy rozświetlały wspaniale utrzymane, ogromne trawniki. Najbardziej interesowali ją ludzie, jednak z ciekawością przyjrzała się również wnętrzu.

Całe utrzymane było w bieli: ściany, meble, dywany, do tego kilka jaskrawozielonych akcentów rozrzuconych w artystycznym nieładzie. Pokój robił oszałamiające wrażenie, lecz Raven w życiu by nie mogła w takim

zamieszkać. Jak położyć nogi na tym eleganckim, idealnym w formie szklanym stoliku? Przeniosła spojrzenie na gości.

Popatrzyła na Julie i jej przystojnego włoskiego milionera. Dostrzegła Wayne'a z wychudzoną modelką uwieszoną na jego ramieniu. Chyba więc plotki, że to on będzie robił kostiumy do „Fantasy”, okazały się prawdą. Niektóre z obecnych osób były jej znane z widzenia. Poznała kilku producentów, dwie wielkie gwiazdy, które tyle razy oglądała w kinie, znanego choreografa, scenarzystę, którego kiedyś spotkała na gruncie towarzyskim, i kilku innych, których kojarzyła. Wraz z Carly wpadły w dużą grupę gości. Wymieniła niezliczone uściski dłoni, słowa powitania i zdawkowe pocałunki, nim wreszcie mogła usunąć się na bok. Zawsze lepiej się czuła w niedużym gronie, w towarzystwie jednej czy dwóch osób, niż w tłumie ludzi. Chyba że na scenie. Ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się. Tuż przed nią stał gospodarz przyjęcia.

– Och, witam. – Uśmiechnęła się, ciesząc się, że ma okazję pogadać z nim sam na sam.

– Cześć. Już się bałem, że nie dasz rady wpaść.

Nie zdziwiła się, że zauważył jej nieobecność w tłumie gości. Steve Jarett dostrzegał wszystko. Był niewysokim drobnym mężczyzną o bladej twarzy i intensywnym spojrzeniu, nosił ciemną brodę. Nie wyglądał na swoich trzydzieści siedem lat, a o dziesięć mniej. Miał opinię perfekcjonisty, który podczas zdjęć potrafił doprowadzić ekipę do szału, ale robił przepiękne filmy. Był wyjątkowo cierpliwy, potrafił wielokrotnie powtarzać ujęcia, aż uzyskał oczekiwany efekt. Pięć lat temu objawił się na rynku filmowym. Jego niskobudżetowy film okazał się niebywałym kasowym przebojem, co było absolutnym zaskoczeniem. Steve dostał za niego Oscara, co otworzyło przed

nim wszystkie drzwi, które do tej pory były dla niego zamknięte. Teraz miał do nich klucze i doskonale wiedział, jak z nich korzystać.

Przytrzymał jej dłonie, przyglądając się badawczo. To on nalegał, by do napisania muzyki zatrudnić Carstairsa, i on zaaprobował Raven na jego współpracowniczkę. To był jego pierwszy musical i nie zamierzał popełnić żadnego błędu.

– Lauren jest tutaj – rzekł wreszcie. – Poznałaś ją?

– Nie, ale bardzo bym chciała.

– Zależy mi, byś poczuła, jaką jest osobą. Mam wszystkie jej filmy i nagrania. Mogłabyś je sobie obejrzeć, nim zabierzecie się do pisania muzyki.

Raven uniosła brwi.

– Nie przepuściłam żadnego jej filmu, ale chętnie zobaczę je jeszcze raz.

Cała fabuła kręci się wokół Lauren, ona jest jej rdzeniem.

Steve rozjaśnił się w uśmiechu.

– No właśnie. Znasz Jacka Ladda.

– Tak, już wcześniej razem pracowaliśmy. Nie mogłeś wybrać lepszej osoby do roli Joego.

– Przydusiłem go, by zrzucił z pięć kilogramów – rzekł Jarett, biorąc z tacy tartinkę. – Dlatego nie ma o mnie dobrego zdania.

– Jednak stara się schudnąć – rzekła Raven.

– Drobnymi krokami. Chodzimy razem na siłownię. Wciąż mu przypominam, że Joe jest początkującym pisarzem, a nie sytym hedonistą.

– Jakkolwiek by było, stworzyłeś niesamowity zespół. Nie wiem, jakim cudem namówiłeś Larry'ego Keastona, by zrobił choreografię. Od pięciu lat jest na emeryturze.

– Przekupstwem i wytrwałością – wyjaśnił Jarett, spoglądając na siedzącego w wyściełanym perłową tkaniną fotelu szczupłego siwowłosego

mężczyznę. – Namawiam go na występ w epizodzie. – Uśmiechnął się. – Z godnością odmawia, ale umiera z chęci, by znowu stanąć przed kamerą.

– Jeśli przekonasz go do występu, to przebijesz wszystkich. – Wiedziała, że komu jak komu, ale Jarettowi na pewno to się uda.

– Jest twoim wielkim fanem.

– Moim fanem? Żartujesz! – zawołała szczerze zdumiona. – Różne światy, różne pokolenia, różne historie życia, różne wrażliwości...

– A jednak przepada za tobą i bardzo chce cię poznać. Raven znów zerknęła na Keastona. Wciąż zdarzają się rzeczy, które wprawiają ją w absolutne zdumienie. Ileż razy jako mała dziewczynka oglądała go w czarno-białym telewizorze, czekając w obskurnych mieszkankach na mamę?

– Nie musisz mi tego powtarzać – powiedziała, biorąc Steve'a pod rękę.

Czas mijał szybko, bawiła się coraz lepiej. Larry Keaston, jej idol z dzieciństwa, okazał się uroczym starszym panem, który jak z rękawa sypał anegdotkami i dowcipami wypowiedzianymi z szykownym bostońskim akcentem. Raven zamieniła też kilka zdań z Jackiem Laddem. Pozostało jej tylko odnaleźć Lauren Chase. Rozejrzała się po sali i nagle jej wzrok padł na Wayne'a. Stał w kącie i powoli sączył drinka.

– Taki samotny? – zagadnęła, podchodząc do niego.

– Obserwuję tłum – wyjaśnił, pociągając whisky z wodą. – Zdumiewające, jak niegłupi przecież ludzie z uporem wkładają stroje, które ich ośmieszają. Popatrz choćby na Lelę Marring. – Dyskretnie wskazał wysoką brunetkę w obcisłej różowej minisukience. – Nie mogę pojąć, czemu ta kobieta ubiera się w podkładkę pod nakrycie.

Raven zdusiła chichot, po czym dodała miłosiernie:

– Ma zgrabne nogi.

– Mhm – mruknął szyderczo, przesuając spojrzenie w inną stronę. – Zobacz Marshalla Petersa, chyba chce zainicjować nowy trend. Owłosiona klata i atłas.

Raven podążyła za jego spojrzeniem i tym razem zachichotała.

– Wayne, nie każdy ma twoje wyczucie.

– Jasne, że nie. – Wyjął papierosa. – A już na pewno nie każdy ma mój smak.

– Podoba mi się kreacja, którą stworzyłeś dla swojej najnowszej protegowanej. – Wskazała głową szczupłą modelkę pochłoniętą ożywioną rozmową. Miała na sobie sukienkę z delikatnej, przypominającej pajęczynę czarno–złotej koronki. – Wayne, dam głowę, że ona ma nie więcej jak osiemnaście lat. O czym ty z nią rozmawiasz?

Obrzucił ją swym charakterystycznym drwiącym spojrzeniem.

– To miało być zabawne, kochanie? Raven nie mogła opanować śmiechu.

– Nie miałam takich intencji.

Poklepał ją po policzku i uniósł szklaneczkę.

– Widziałem, że Julie przyszła ze swoim ostatnim łupem, takim w stylu latynoskiego amanta.

– Buty – z roztargnieniem rzuciła Raven, przesuając wzrokiem po sali. Z niedowierzaniem popatrzyła na dziewczynę w niemożliwie obcisłych skórzanych spodniach i bluzie wyszywanej cekinami. Miała okulary w kształcie serc i bardzo mocno podkreślone kredką oczy. Wayne padnie na jej widok. Już miała pokazać mu tę szczególną panienkę, gdy nagle zauważyła Brandona.

Patrzył na nią. Serce zabiło jej żywiej, bo zdała sobie sprawę, że przypatrywał się jej już od jakiegoś czasu. Właśnie tak się poznali. Na hucznym przyjęciu po prostu popatrzyli na siebie.

To było pierwsze hollywoodzkie przyjęcie, w którym brała udział. Wrażenie było ogromne, nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia i poczucia nierzeczywistości. Po raz pierwszy widziała z bliska ludzi, których dotąd znała jedynie z radia czy z ekranu. Przyjechała sama, co okazało się błędem. Była zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, jak sobie radzić.

W pewnym momencie została osaczona przez jakiegoś aktora. Dziwne, bo nie była w stanie przypomnieć sobie jego imienia czy twarzy. Nie miała pojęcia, jak mu się wymknąć, jak się zachować, by się nie wygłupić. Powoli przygwaźdżał ją do ściany, gdy nagle dostrzegła patrzącego na nią Brandona. Musiał zobaczyć coś alarmującego w jej oczach, bo najpierw lekko się uśmiechnął, potem zaczął się przedzierać ku niej przez tłum, a na koniec wdarł się między nią a nachalnego uwodziciela i zaborczym gestem otoczył ją ramieniem.

– Stęskniłaś się za mną? – Musnął jej usta, nim zdążyła odpowiedzieć. – Na zewnątrz są ludzie, którzy chcieliby cię poznać. – Rzucił aktorowi przepraszające spojrzenie. – Proszę wybaczyć.

Nim pechowy amant otworzył usta, Brand pociągnął Raven przez tłum i wyprowadził na taras. Wciąż pamiętała zapach kwitnących drzewek pomarańczowych i poświatę księżycy srebrzącą kamienne płyty.

Oczywiście wiedziała, kim jest jej wybawca, więc tym bardziej czuła się zakłopotana i zdenerwowana. Przesunęła dłonią po włosach.

– Dziękuję – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

– Bardzo proszę. – Wtedy po raz pierwszy przyglądał się jej tak uważnie. Do dziś pamiętała, jakie wywarło to na niej wrażenie. – Nie tak sobie siebie wyobrażałem.

– Nie? – Nie miała pojęcia, co na to powiedzieć.

– Po prostu inaczej. Pójdziemy poszukać kawy? – spytał z uśmiechem.

– Tak – odpowiedziała z miejsca, nie zastanawiając się ani sekundy.

– No dobrze, to chodźmy. – Wyciągnął do niej rękę. Po chwili wahania podała mu swoją. Tak po prostu.

– Raven... Raven.

Głos Wayne'a wyrwał ją z tych wspomnień i przywołał do rzeczywistości. Poczowała na ramieniu jego dłoń.

– Tak... co jest? – Popatrzyła na niego stropiona.

– Wszystkie myśli masz wypisane na twarzy. Uważaj, bo za dużo tu ciekawskich. – Wziął z tacy kieliszek z szampanem i podał go jej. – Napij się.

Dobrze, że będzie miała czym zająć ręce.

– Zamyśliłam się... – Gdy Wayne skrzywił się, zmieniła taktykę: – Czyli wygląda na to, że będziemy pracowali przy tym samym musicalu.

– Powrót do przeszłości? – spytał, uśmiechając się znacząco.

Raven popatrzyła mu prosto w oczy.

– Jesteśmy profesjonalistami – oświadczyła, zdając sobie sprawę, że oboje doskonale wiedzą, do kogo to się odnosi.

– I przyjaciółmi? – zapytał, dotykając palcem jej policzka.

– To niewykluczone. Jestem przyjaźnie nastawiona do ludzi.

– Hm. – Wayne popatrzył ponad jej ramieniem na idącego ku nim Brandona. – Przynajmniej wie, jak się ubrać – wymruczał, z aprobatą taksując ciemnopopielaty garnitur. – Ale jesteś pewna, że nie obejdzie się bez tej Kornwalii? Nie możecie spróbować gdzieś bliżej?

– Czy jest coś, o czym byś nie wiedział? – odparła ze śmiechem.

– Mam nadzieję, że nie. Cześć, Brand, miło cię widzieć. Raven odwróciła się i wspomnienia gdzieś znikły.

– Cześć, Brandon.

– Raven. – Popatrzył na nią. – Nie poznałaś jeszcze Lauren Chase.

Z pewnym wysiłkiem odwróciła od niego wzrok.

– Nie.

Z uśmiechem popatrzyła na stojącą obok niego kobietę. Lauren Chase była szczupłą trzydziestolatką z burzą ciemnokasztanowych włosów i o oczach w odcieniu morskiej zieleni. Miała w sobie coś eterycznego. Może to wrażenie wywoływała jasna, niemal przezroczysta karnacja, a może sposób, w jaki się poruszała, jakby nie dotykając ziemi. Lauren miała wyraziście zarysowane usta i długą szczupłą szyję ozdobioną złotymi łańcuszkami. Była świadoma swej urody i nie musiała ukrywać wieku – i tak była piękną.

Była dwa razy zamężna. Jej rozwód odbił się ogromnym echem, brukowce prześcigały się w wyciąganiu kolejnych rewelacji. Siedem lat temu ponownie wyszła za męża, miała dwójkę dzieci. O jej osobistych sprawach niewiele było wiadomo, bo po przykrych doświadczeniach nauczyła się chronić swą prywatność.

– Brand zapewnił mnie, że do pisania muzyki podejście z sercem. – Miała głęboki, miły głos.

– To odpowiedzialne zadanie. – Raven zerknęła na Brandona. – Ten facet zarzuca mi zbyt sentymentalizm, ale wiadoma sprawa, że przemawia przez niego zimny, obrzydliwy cynizm.

– Świetnie! – uradowała się Lauren. – To dobrze rokuje, na pewno będzie się coś działo. Steve przystał na to, by w odniesieniu do moich partii ostateczna decyzja należała do mnie.

Raven ściągnęła brwi. Nie miała pewności, czy to ostrzeżenie, czy tylko zdawkowa uwaga.

– Skoro tak, to powinniśmy na bieżąco relacjonować przebieg prac – powiedziała pojednawczo.

– Mejl'em i telefonicznie – uzupełniła Lauren, spoglądając na Branda – bo jak słyszałam, jedziecie pracować gdzieś tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Artystyczny temperament – gładko rzekł Brand, tak naprawdę już zły na Lauren za tę kontrolę.

– Brandon, akurat tego ci nie zbywa – odwróciła kota ogonem Raven.

– Już ty to wiesz. – Lauren wbiła w Raven skupione spojrzenie. – Bardzo mi zależy na muzyce do tego filmu. Na coś takiego czekałam – rzekła z naciskiem.

Raven powoli skinęła głową. Lauren Chase jest idealna do tej roli, będzie wymarzoną Tessą.

– Postaramy się.

Aktorka uśmiechnęła się znowu.

– Liczę na to. No dobrze – powiedziała, odwracając się do Wayne'a i biorąc go pod rękę. – To może weźmiesz dla mnie drinka i opowiesz o wspaniałych kostiumach, które już dla mnie obmyślasz?

Raven odprowadzała wzrokiem odchodzącą parę.

– Oto kobieta – wyszeptała, bawiąc się wysmukłym kieliszkiem – która dobrze wie, czego chce.

– A chce Oscara – rzekł kaśliwie Brand. – Jak pamiętasz, była trzy razy nominowana do nagrody i trzy razy przepadła. Wyjdzie ze skóry, by to się nie powtórzyło. I dobrze by się stało, bo jest naprawdę dobra, choć czasami mnie wkurza. – Poruszył ametystowym kolczykiem Raven. – Ty byś nie chciała załapać się na Oscara?

– Dotąd w ogóle nie pomyślałam, że jest taka możliwość, ale byłoby super. Tyle że najpierw musimy napisać te wszystkie songi, a dopiero potem zastanowimy się nad mową dziękczynną podczas oscarowej gali.

– Jak poszły próby?

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Upiła szampana. – Zespół jest zgrany. Niedługo lecisz do Vegas, prawda?

– Tak. Przyjechałaś sama? Zdziwiła się, że o to pyta.

– Tak. Spóźniłam się, bo zapomniałam o imprezie, ale Julie zostawiła mi kartkę. Poznała cię z Lorenzem?

– Nie, jeszcze się na nich nie natknąłem.

Raven zaczęła rozglądać się, szukając Julie, jednak Brand dotknął jej twarzy, zmuszając, by na niego spojrzała.

– Mógłbym cię odwiedzić do domu?

Jej zdziwienie zmieniło się w czujność.

– Jestem samochodem.

– To żadna odpowiedź.

Pokusa była silna, lecz walczyła z nią.

– To nie byłby dobry pomysł.

– Nie byłby? – powtórzył z sarkazmem, po czym pochylił się i pocałował ją lekko, ledwie musnął usta. – Może i masz rację. – Jeszcze raz poruszył jej długim kolczykiem. – Zobaczymy się za kilka tygodni – powiedział z przyjaznym uśmiechem, po czym wmieszał się w tłum.

Raven patrzyła za nim, koniuszkiem języka bezwiednie dotykając warg, jakby szukając smaku Brandona.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sala była pogrążona w ciszy i ciemnościach. Kroki Raven odbijały się głuchym echem, zwielokrotniane przez doskonałą akustykę. Już niedługo w tę ciszę wedrą się typowe odgłosy, gdy obsługa zacznie przygotowania do występu. Pojawią się maszyniści, elektrycy, pracownicy zaplecza i masa innych osób, dzięki którym wszystko, cały ten artystyczny moloch, zadziała. Lubiała zgiełk i przytłumiony gwar, akcentowany uderzeniami w drewno i metal. Przywykła do niego, był zapowiedzią zbliżającego się koncertu.

Lubiła również ciszę i często zdarzało się, że przed próbą przychodziła nawet kilka godzin wcześniej, jeszcze nim przed wejściem zaczynały ustawiać się kolejki fanów czekających na występ. Wiedziała, że pojawi się prasa, znów usłyszy te same co zawsze pytania. Nie miała zbytnej ochoty na udzielanie wywiadów, zwłaszcza teraz, gdy pojawiły się materiały prasowe krzyczące o jej odnowionej znajomości z Brandonem i ich rychłej współpracy nad muzyką do „Fantasy”. Opublikowano ich stare zdjęcia, znów zaczęły się odgrzewane spekulacje. Minęło tyle czasu, lecz dawne rany jeszcze się nie zabiły.

Do tego dochodziły problemy z matką. Dwa razy w tygodniu dzwoniła do Fieldmore Clinic. Rozmowa z doktorem Karterem zawsze była podobna. Przełączał ją potem do pokoju mamy. Wiedziała, że postępuje niemądrze, jednak znów zaczęła wierzyć w płacziwe obietnice i zaklęcia. Zaczęła mieć nadzieję, a zarazem bała się panicznie, że to tylko złudna mrzonka. Taka huśtawka na nikogo nie działa dobrze.

Gdyby nie wyczerpująca trasa, Raven byłaby w fatalnym stanie psychicznym. Nie po raz pierwszy dziękowała losowi, że obdarzył ją takim głosem i dał jej szansę.

Weszła na scenę i obróciła się twarzą do wymyślonej widowni. Rzędy foteli ciągnęły się daleko, ostatnie tonęły w mroku. Nie czuła onieśmienia. Była urodzoną artystką, od pierwszego koncertu na scenie czuła się znakomicie. Jako wokalistka nie miała żadnych oporów, żadnej tremy. To jako kobieta przeżywała wahania i czuła się niepewnie, jak choćby w tej chwili. Słowa i melodia brzmiały jej w uszach, lecz wciąż nie mogła się zdobyć, by zaśpiewać. Wspomnienia mają swój ciężar, niosą zagrożenie. Jednak musi coś sobie udowodnić. Otworzyła usta, zaczęła śpiewać. Głos docierał daleko, aż do najdalszych rzędów. Wyobraźnia była jej jedynym akompaniamentem.

Byłeś tam,

Za chmurami i deszczem.

Słońce przebiło się przez nie,

byśmy się odnaleźli.

Przesłodzone? Kiedy pisała te słowa, odbierała to całkiem inaczej. Tyle lat nie śpiewała tego utworu. Dwie minuty i czterdzieści trzy sekundy, które ich połączyły. Wylączyła radio, gdy nadawano tę piosenkę. I nigdy, choć wciąż ją o to proszono, nie nagrała jej do żadnego albumu ani nie wykonała podczas koncertu. Teraz, gdy ją śpiewała, wciąż miała w pamięci doskonałą harmonię ich głosów. Ona operowała w niskich rejestrach, fascynując przy tym i drażniąc brzmieniem, Brand natomiast miał sterylnie czysty, pozornie chłodny głos.

Otrząsnęła się. Skoro mają razem pracować, musi się przemóc, oderwać od wspomnień, zacząć na nowo. Trasa koncertowa powoli dobiegała końca. Zostały jeszcze tylko dwa tygodnie.

Było lepiej, niż przypuszczała. Odsuwany w zapomnienie utwór nie obudził w niej przeszywającego żalu czy rozpacz. Czuła ćmiący, niemal

przyjemny ból, który przypominał jej chwile, gdy Brand tak niedawno... i po raz ostatni... obejmował ją w samochodzie, kiedy z góry patrzyli na nocne Los Angeles.

– Nigdy nie słyszałem, żebyś to śpiewała.

Gwałtownie szarpnęła się w tył, dotknęła ręką szyi.

– Och, Marc! – Roześmiała się, uspokoiła. – Ale mnie wystraszyłeś! Nie wiedziałam, że tu ktoś jest.

– Nie chciałem, żebyś przerwała. Słyszałem kiedyś ten utwór wykonywany przez ciebie i Branda. – Wynurzył się z cienia. Miał przewieszoną przez ramię akustyczną gitarę, z którą właściwie nigdy się nie rozstawał. – Zawsze uważałem, że to jedna z twoich najlepszych piosenek i wielka szkoda, że jej nigdy więcej nie wykonywałaś. Ale domyślam się, że nie chciałaś jej śpiewać z kimś innym.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Rzeczywiście to był podstawowy powód, ale dopiero teraz to do niej dotarło, choć zdawało się absolutnie oczywiste.

– Masz rację. – Uśmiechnęła się. – I nadal nie chcę. Przyszedłeś poćwiczyć?

– Szukałem cię, a Julie powiedziała, że tu jesteś. – Podeszedł do niej.

Na scenie nie było krzeseł, więc usiadł na podłodze, a Raven obok niego. Skrzyżowała nogi. Była w brązowych spodniach i topazowym swetrze z angory. Rozluźniła się. Chętnie z nim pogada czy pomuzykuje.

Z uśmiechem przysłuchiwała się granej przez niego solówce.

– Cieszę się, że tu jesteś. Lubię przed koncertem przyjść do sali i wczuć się w jej atmosferę. Po tylu występach zaczynam tracić orientację. – Zamknęła oczy, odgarnęła w tył włosy. – Gdzie jesteśmy? Kansas City? Boże, jak

pomyślę, że znów musimy gdzieś lecieć. Kolejny samolot. Na tym etapie trasy zawsze mam doła, ale za kilka dni złapię drugi oddech, obiecuję.

Marc grał cicho, przyglądając się szczupłym dłoniom Raven. Leżały nieruchomo na jej kolanach, opalone i delikatnie. Widział niebieską siateczkę żył tuż pod skórą. Paznokcie pomalowała lekkim różem, na palcach nie było żadnego pierścionka. Raven wydawała się zrelaksowana, choć jeszcze przed chwilą czuł jej napięcie.

– Jak do tej pory wszystko idzie dobrze – powiedziała. – Szkoda, że odszedł Kelly, ale ten nowy bas jest całkiem dobry, co?

– Zna się na rzeczy – rzekł Marc.

Raven uśmiechnęła się i pociągnęła go za brodę.

– Tak jak ty. Daj mi spróbować.

Marc podał jej gitarę. Grała nie najgorzej, choć muzycy z zespołu nie zostawiali na niej suchej nitki, ona zaś groziła im z poważną miną, że zacznie z nimi grać na koncertach.

Lubiła gitarę. Gra ją uspokajała. Przyjemnie było trzymać instrument, czuć wibrujące dźwięki. Dwa razy zafałszowała, na co marszczyła nos, a Marc uśmiechał się pogodnie.

– Wyszłam z wprawy – oświadczyła, oddając mu gitarę.

– Dobry bajer.

– Pewnie jest rozstrojona.

Marc szybko przebiegł palcem po strunach.

– Na pewno nie.

– Mógłbyś się zachować i skłamać. – Wyprostowała nogi i położyła dłonie na kolanach. – Dobrze, że jesteś muzykiem. Politykiem byłbyś do bani.

– Za dużo wyjazdów... – Zaczął grać, z przyjemnością wsłuchując się w powtarzany przez echo śmiech Raven.

– Och, no jasne! Jak wytrzymać te nieustanne jazdy z miasta do miasta?

Poza tym muzyka to pewny fach.

– Jak stół do pokera.

– Niezłe porównanie, masz do tego dryg. – Przyglądała się jego palcom.

– Lubię patrzeć, jak grasz. Wydaje się, że to nie wymaga żadnego wysiłku. Kiedy Brandon zaczął mnie uczyć... – Urwała. Marc popatrzył na nią, lecz nie przestał grać. – Nie było to wcale łatwe – powiedziała, zastanawiając się, czemu podjęła ten temat. – On jest leworęczny, więc gitarę miał dostosowaną do siebie. Kupił mi drugą, ale uczyłam się od niego, więc wszystko musiałam robić odwrotnie. – Zaśmiała się do tych wspomnień. Bezwiednie zaczęła bawić się długim kolczykiem. – Może dlatego teraz tak gram. Zawsze musiałam najpierw przestawić sobie w głowie.

Umilkła, a Marc grał nadal. Siedzieli w wielkim pustym teatrze, i było w tym coś uspokajającego i intymnego. Raven zaczęła śpiewać. Cicho i spokojnie, jakby znów byli w domu, w przytulnym pokoju wyłożonym dywanem.

Trasa ją wyczerpała i znużyła, ale ta przerwa odbudowała jej siły. Nie jak występ przed wielotysięczną widownią, gdy gwałtowny dopływ adrenaliny działa cuda, lecz jak pomocna dłoń, dobry sen czy domowe jedzenie. Uśmiechnęła się, gdy piosenka dobiegła końca.

– Cieszę się, że tu przyszedłeś.

Marc przestał grać i spytał:

– Jak długo jesteśmy razem?

– Cztery... cztery i pół roku – odparła, wracając myślami w przeszłość.

– W lecie minie pięć. Przyszedłem do was w sierpniu, szykowałaś się do drugiej trasy. Byłaś w białych luźnych spodniach i T–shircie z tęczą. Boso. W

twoich oczach zobaczyłem rozpacz i bezradność. Carstairs miesiąc wcześniej wyjechał do Europy.

Wlepiła w niego wzrok. Nigdy nie słyszała, by powiedział za jednym razem aż tyle słów.

– Czy to nie dziwne, że zapamiętałeś mój strój? Raczej nie był szczególnie ciekawy.

– Zapamiętałem, bo od pierwszego wejrzenia zakochałem się w tobie.

– Och, Marc. – Nie wiedziała, co powiedzieć. Wiedziała natomiast, że Marc mówił szczerze, prosto z serca. Wzięła go za rękę.

– Raz czy dwa niewiele brakowało, bym poprosił, żebyś ze mną zamieszkała.

Raven gwałtownie wypuściła powietrze.

– Czemu tego nie zrobiłeś?

– Byłoby ci przykro odmówić, a mnie to usłyszeć. – Położył gitarę, pochylił się do Raven i pocałował ją.

– Nie wiedziałam – wyszeptała, przyciskając do policzków jego dłoń.

– Powinnam była. Przepraszam.

– Nigdy o nim nie zapomniałaś. To cholernie frustrujące mierzyć się ze wspomnieniami. – Uścisnął jej dłoń, puścił je. – Ale też bezpieczne. Wiem, że nie miałem u ciebie szans, więc po co miałbym próbować?

– Wzruszył ramionami. – Chyba zawsze się bałem, że jesteś z tych, dla których mężczyzna robi wszystko, bo o nic nie prosisz.

– A taka jestem? – Ściągnęła brwi.

– Potrzebujesz kogoś zdecydowanego. Ja nie umiałbym się tobie przeciwstawić, odmówić ci czegoś, podnieść głos czy kochać się z tobą jak wariat. A bez tego życie nie ma smaku. Oboje tylko byśmy się ranili.

Podniosła głowę, przyjrzała mu się uważnie.

– Czemu mówisz mi to dopiero teraz?

– Bo gdy ujrzałem cię, gdy śpiewałaś, zrozumiałem, że zawsze będę cię kochać, lecz nigdy nie będziesz moja. Bo gdyby tak się stało, straciłbym coś bardzo cennego.

– Dotknął jej włosów. – Marzenia, które dodają skrzydeł i sprawiają, że wciąż czujesz się młody. Takie gdybania i mrzonki mają swoją wartość.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

– Nie uraziłam cię?

– Nie. – Była absolutnie pewna, że powiedział prawdę.

– Dzięki tobie czuję się wspaniale. A ja? Nie zbiłem cię z tropu?

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego. – Dzięki tobie czuję się wspaniale.

Rozpromienił się, wstał i podał jej rękę.

– Chodźmy na kawę.

W garderobie Brandon zdjął kostium sceniczny i przebrał się w dżinsy. Było po drugiej w nocy, ale czuł się zbyt pobudzony występem, by myśleć o spaniu. Chyba wybierze się na miasto, zagra w blackjacka. Może wyciągnie Eddiego czy innego chłopaka z zespołu i zrobią wycieczkę po kasynach.

Dziewczyny już czekają; doskonale wiedział, że pod jego garderobą kłębi się tłum napalonych fanek. Każda tylko o nim marzy. Nie miał na to ochoty. Woli drinka i hazard, nosi go i chce, żeby coś się działo.

Sięgnął po koszulę. W lustrze widział swoje odbicie. Szczupłe, lecz doskonale umięśnione ciało, mocne ramiona i barki. Jako chłopak często robił z nich użytek na londyńskiej ulicy. Kto wie, jak by skończył, gdyby nie lekcje muzyki, do których zmuszała go mama. Muzyka otworzyła mu oczy, rozszerzyła horyzonty. Grał i wciąż było mu mało. Muzyka stała się dla niego wszystkim.

W wieku piętnastu lat założył swój zespół. Był wygadany i pewny siebie, potrafił wkręcać się do ponurych barów i podejrzanych spelunek. Już wtedy poznał kobiety; pociągała je jego młodzieńcza buńczuczność i arogancka pewność siebie. Życie nie było łatwe, lecz się nie poddawał. Był twardy i wiedział, czego chce. Wciąż parł naprzód, powoli wyrobił sobie markę, zyskał lokalną popularność.

Nie poszło to szybko. Miał dwadzieścia lat, gdy nagrał pierwszą płytę, lecz zrobiła klapę. Wtedy poszedł po rozum do głowy. Nagranie było kiepskiej jakości, marnie poprowadzone, do tego dołożył się nonszalancki stosunek Brandona do pracy. Znalazł łebskiego menedżera, przyłożył się do aranżacji i tak powstała kolejna płyta.

Dwa lata później kupił rodzinie dom na londyńskich przedmieściach, pchnął młodszego brata na uniwersytet, a sam rozpoczął pierwszą trasę koncertową po Stanach.

Dobił trzydziestki. Czasami miał wrażenie, że w jego życiu nic się nie zmieniło i nadal kręci się jak na karuzeli. Kariera wymagała poświęceń, stawiała bezustanne wymagania. Miał dość tułania się po świecie, brakowało mu czegoś stałego, konkretnego. Wiedział, że nigdy nie zrezygnuje z muzyki, jednak przestała mu wystarczać, podobnie jak rodzina, pieniądze czy zachwyty wiernej publiczności.

Wiedział, czego chce. Wiedział to już pięć lat temu, lecz czasem zaczynało brakować mu, tej pewności siebie, jaką miał kiedyś, gdy jako piętnastoletni punk grywał po obskurnych klubach. Ludzie stali w kolejkach na jego koncerty, płacili po trzydzieści dolarów za bilet, a on bez mrugnięcia oka mógł rzucić kostką, tracąc kasę z dwutygodniowych koncertów. I korciło go, by tak zrobić. Nosił go, energia go rozpierała, adrenalina krążyła w żyłach. Czuł się tak samo jak tamtego wieczoru, gdy po wspólnej kolacji

odwoził Raven do domu. Potem widział ją tylko raz, na przyjęciu u Jaretta, a zaraz potem poleciał do Las Vegas.

Odżyły w nim tamto napięcie i tłumione emocje. Może dałby sobie z nią spokój, gdyby między nimi do czegoś doszło? Nie raz zadawał sobie to pytanie i nie znał odpowiedzi. Choć może znał...

Niecierpliwie włożył koszulę i wyszedł z garderoby. Przez godzinę siedział przy stoliku do blackjacka. Trochę przegrał, trochę wygrał, znów stracił. Nie mógł skoncentrować się na kartach. Wydawało mu się, że hałaśliwe otoczenie i kolorowe światła to właśnie to, czego mu trzeba. Obok niego siedziała szczupła kobieta obwieszona naszyjnikami z szafirami, z wielkim brylantem na palcu. Piła i obstawiała, ciągle tracąc. Po drugiej stronie siedziała para młodych ludzi, wyglądali na nowożeńców. Złota obrączka na palcu dziewczyny lśniła nowością. Aż piszczeleli z radości, gdy im się poszczęściło. Wygrali może ze trzydzieści dolarów. Przyjemnie było patrzeć na ich radość i czułe spojrzenia.

Znudziła mu się gra. Znow go nosiło. Zostawił niedopitego drinka i wstał. Miał dość kasyna i strasznie zazdrościł młodemu żonkosiewi, który miał swoją kobietę i żetony na trzydzieści dolarów.

W hotelowym apartamencie powitały go ciemności i cisza. Jaki kontrast z miejscem, w którym przed chwilą był! Nie zapalając światła, poszedł do sypialni. Wyjął papierosa i usiadł na łóżku. Ogień na mgnienie rozjaśnił mrok. Brand palił w ciemności, czując krążącą w nim adrenalinę. Wreszcie zapalił nocną lampkę i sięgnął po telefon.

Raven spała jak kamień. Na dźwięk telefonu ogarnęła ją panika, jeszcze nim całkiem się rozbudziła. Serce podeszło jej do gardła. Bywało już, że telefony budziły ją w środku nocy. Nie wiedziała, gdzie jest. Po omacku wyciągnęła rękę, z lękiem czekając na to, co usłyszy.

– Tak... słucham.

– Raven, wiem, że cię obudziłem. Przepraszam.

Starła się zrozumieć, co się dzieje.

– Brandon? Coś się stało?

– Nie. Wszystko dobrze. Przepraszam, zachowałem się niewybaczalnie.

Odetchnęła, oparła się o poduszki.

– Jesteś w Vegas, prawda? – Za oknem zaczynało się rozjaśniać, pewnie niedługo świt. Między nimi były dwie godziny różnicy czasu. A może trzy? Nie mogła sobie przypomnieć.

– Tak, zostaję tu jeszcze przez następny tydzień.

– Jak występy?

Cała Raven, pomyślał z uśmiechem. Nawet nie zapytała, czemu w środku nocy wyrywa ją ze snu. Po prostu przyjmuje do wiadomości, że chce się komuś wygadać. Szkoda, że jest tak daleko od niego.

– Lepiej niż mi idzie przy stole w kasynie.

Roześmiała się sennie. Połączenie było bardzo dobre, słyszała go wyraźnie. Wcale nie miała wrażenia, że dzieli ich tyle kilometrów.

– Dalej grasz w blackjacka?

– Jestem konsekwentny. Jak w Kansas?

– Gdzie? – Usłyszała, że Brandon się roześmiał. To było miłe. – Publiczność reagowała fantastycznie – opowiadała, wracając myślą do ostatniego koncertu. – Było super. To zawsze dodaje skrzydeł, łatwiej prze-trwać trasę. Będiesz w Nowym Jorku, gdy już tam zjadę? Chciałabym, żebyś poczuł tę atmosferę na koncercie.

– Będę. – Oparł się wygodniej. Powoli zaczynał się odprężyć. – Kornwalia robi się coraz bardziej obiecująca.

– Jesteś zmęczony.

– Nie byłem. Dopiero teraz dopada mnie zmęczenie. Raven...

Czekała, lecz milczał.

– Tak? – ponagliła go wreszcie.

– Stęskniłem się za tobą. Musiałem usłyszeć twój głos. Powiedz mi, co teraz widzisz. Na co patrzysz?

– Zaczyna świtać. Nie widzę budynków, tylko niebo. Nie jest szare, raczej fiołkoworóżowe. Światło jest miękkie i subtelne. Naprawdę jest pięknie. Już zapomniałam, jak wygląda brzask.

– Uda ci się zasnąć? – Zamknął oczy. Już nie walczył z ogarniającym go zmęczeniem.

– Tak, ale przedtem wybiorę się na mały spacer, choć wątpię, by Julie chciała mi towarzyszyć.

Brand zrzucił buty.

– Idź spać, na spacer po klifach o świcie wybierzemy się w Kornwalii. Nie powinienem cię budzić.

– Dobrze, że to zrobiłeś. – Słyszała po jego głosie, że już prawie zasypia.

– Połóż się i odpocznij. Zobaczymy się w Nowym Jorku.

– Dobrze. Dobranoc, Raven.

Usnął niemal natychmiast po odłożeniu słuchawki. Kilka tysięcy kilometrów od niego Raven położyła głowę na poduszce i patrzyła na budzący się dzień.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Starła się nie poruszać, gdy ją czesano i malowano. Garderoba tonęła w kwiatach, bo od dobrych dwóch godzin wnoszono kolejne bukiety. Wokół niej krzątało się mnóstwo ludzi. Drobny niski mężczyzna jeszcze raz musnął różem jej policzki. Fryzjerka, która misternie układała włosy, co i raz mamrotała do siebie francuskie przekleństwa. Wayne, który miał interesy w Nowym Jorku, też nie omieszkał wpaść, by rzucić okiem na jej kostiumy, a teraz z ożywieniem dyskutował z garderobianym. Julie otworzyła drzwi, bo dostarczono następny bukiet.

– Czy mam już wszystko spakowane? Wiesz, właściwie powinnam wymóc na Brandonie jeden dzień dla siebie i przejść się po sklepach. Na pewno brakuje mi masy rzeczy. – Raven odwróciła głowę i pasmo włosów wymknęło się z rąk fryzjerki, która syknęła gniewnie. – Przepraszam, Marie. Julie, czy spakowałam płaszcz? Może będzie mi tam potrzebny. – Wyjęła karnecik przyczepiony do kwiatowej kompozycji. Liścik napisał producent telewizyjny, z którym ostatnio pracowała. – To od Maksa... Wieczorem wydaje przyjęcie.

Może się wybierzesz? Podała karnecik Julie i natychmiast znieruchomiała, bo wizażysta malował jej usta.

Owszem, masz zapakowany zamszowy płaszcz. Wczesną wiosną może ci się przydać. Masz też kilka swetrów – z roztargnieniem odparła Julie, studiując listę rzeczy do załatwienia. – Może i pójdę.

– Wiesz, aż nie chce mi się wierzyć, że to ostatni koncert. To była udana trasa, prawda? – Odwróciła głowę i skrzywiła się, czując szarpnięcie włosów.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałaś takie gorące przyjęcie...

– Ale cieszymy się, że to ostatni koncert – dokończyła Raven.

– Przez tydzień nie wstaję z łóżka – oznajmiła Julie, po czym znów zagłębiła się w lekturę spisu. – Nie każdy ma tyle energii co ty.

– Uwielbiam występować w Nowym Jorku – rzekła Raven, podciągając pod siebie nogi.

– Postaraj się nie ruszać! – z rozpaczą wykrzyknęła fryzjerka.

– Marie, już dłużej nie mogę, zaraz eksploduję. – Uśmiechnęła się do wizażysty, który poprawiał coś w jej makijażu. – Zawsze świetnie wiesz, co zrobić. Już jest super, czuję się piękna.

Julie zaczęła wypychać ludzi z garderoby. Po chwili zostali tylko ona i Wayne, i oczywiście Raven. Z zewnątrz zaczął docierać dźwięk granej na scenie muzyki.

– Nareszcie znów będę wyglądać normalnie – powiedziała Raven, siadając wygodniej. – Gdybyś widział, co on mi rano położył na twarz.

– Co? – Wayne był pochłonięty wyglądaniem dołu jednego z kostiumów.

– Jakąś zieloną maź. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

Wayne roześmiał się i popatrzył na Julie.

– Co będziesz robić, gdy ona wyjedzie na wrzosowiska?

– Wybieram się na rejs na wyspy greckie, muszę odbudować siły. Już mam rezerwację. Te trasy dają w kość.

– Tylko jej słuchaj! – prychnęła Raven, przyglądając się krytycznie swemu odbiciu. – Jest jak ekonom, przez te cztery tygodnie ciągle mnie poganiała. W tym makijażu wyglądam egzotycznie, co? – Skrzywiła nos, psując efekt.

– Wkładaj kostium – popędziła ją Julie.

– Widzisz? Wciąż tylko mi rozkazuje. – Wstała posłusznie.

– Proszę. – Wayne zdjął z wieszaka czerwono–srebrną sukienkę. – Pomogę ci.

– Dzięki. – Zdjęła szlafrok i włożyła sukienkę. –Wiesz, Wayne – mówiła, gdy zapinał jej suwak – miałeś rację z tą czarną kreacją. Robiła wielkie wrażenie. Trudno powiedzieć, czy oklaskiwali mnie, czy też ten strój.

– Czy ja cię kiedyś zawiodłem?

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego przez ramię. – Nigdy. Będziesz za mną tęsknił?

– Rozpaczliwie. – Cmoknął ją w ucho. Ktoś stanowczo zapukał do drzwi.

– Dziesięć minut, pani Williams.

Odetchnęła głęboko.

– Idziesz na widownię?

– Nie, zostanę z Julie. – Popatrzył na nią pytająco.

– Dzięki – rzekła Julie. – Raven, nie zapomnij o tych odpustowych kolczykach. – Obserwowała, jak Raven zakłada pierwszy. – Wiesz, Wayne, aż mam ciarki, gdy na nie patrzę, ale do tej sukienki idealnie pasują.

– Naturalnie.

– Oto męskie ego – ze śmiechem powiedziała Julie do Raven. – Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

– Publiczność w Nowym Jorku jest bezwzględna – powiedziała nagle zdenerwowana Raven. – Okropnie się boję.

– Przed chwilą mówiłaś, że uwielbiasz tu występować. – Wayne wyjął papierosy, zaproponował jednego Julie.

– To prawda, szczególnie na koniec trasy. To mnie trzyma w formie. Od razu wyczują, jeśli nie zaśpiewam na maksa. Jak wyglądam?

– Sukienka jest zabójcza – rzekł Wayne. – Pójdzie ci.

– Też mi pociecha.

– Idź już –popędziła ją Julie. – Spóźnisz się na wejście.

– Nigdy się nie spóźniam. – Zakładała drugi kolczyk. Dlaczego Brandon się nie pokazał? Obiecał, że będzie na koncercie. Może pomylił czas albo utknął w korku. Albo po prostu zapomniał.

Znów pukanie do drzwi.

– Pięć minut, pani Williams.

– Raven. – W głosie Julie zabrzmiało ostrzeżenie.

– Tak, już wychodzę. – Odwróciła się i uśmiechnęła nonszalancko. – Jak wrócę, powiedzcie mi, że było super, nawet jeśli tak nie będzie. Chcę skończyć trasę w doskonałym nastroju.

Wyszła na korytarz i szybkim krokiem ruszyła w stronę sceny. Muzyka grała tak głośno, że aż chodziły ściany.

– Pani Williams! Pani Williams! Raven!

Wołanie wybiło ją z koncentracji. Odwróciła się i popatrzyła na kierownika sceny. Szybko podał jej białą różę.

– Właśnie przyszła dla pani.

Uniosła kwiat do twarzy, zaciągnęła się jego zapachem. Wiedziała, że to od Branda. Na mgnienie się rozmarzyła.

– Raven, zaraz masz wejście. Spóźnisz się.

– Nie. – Cmoknęła zdenerwowanego kierownika, nie bacząc na swój wypracowany makijaż, i pomknęła w stronę sceny. Zespół zaraz zagra, anonsując jej wejście.

Rozbrzmiały mocne dźwięki, oklaski niemal zagłuszały muzykę.

Wybiegła na scenę, a widownia powitała ją entuzjastycznie.

Pierwsza część koncertu była utrzymana w szybkim, gorącym rytmie, by jeszcze bardziej podgrzać atmosferę. Głośna muzyka i tańczące kolorowe

światła dodawały jej ognia, czuła się jak ryba w wodzie. Powtarzała ten występ od czterech tygodni, lecz nigdy się jej to nie znudziło, bo każdy wieczór był nowy i wyjątkowy. Publika szalała.

Po czterdziestu wyczerpujących minutach na scenie pozostawał zespół, zaś ona miała trzy minuty, by przebrać się do drugiej, bardziej refleksyjnej części. Teraz była ubrana na biało. Góra wyszywana dżetowymi paciorkami, do tego cieniutkie haremki. Światło nieco pobladło, delikatnie i nastrojowo rozjaśniało scenę. Przyszła pora na ballady, w których czuła się najlepiej.

W przerwie między piosenkami, kiedy zwyczajowo rozmawiała z publicznością, ktoś na widowni dostrzegł Brandona. Niedługo potem rozległy się pierwsze okrzyki. Raven wyteńczyła wzrok i nagle go zobaczyła. Słuchacze domagali się, by wszedł na scenę.

Potrafiła doskonale wczuć się w nastrój tłumu i znała wagę zainteresowania publiczności. Jeśli nie zaprosi Brandona, będzie miała publiczność przeciwko sobie. Nie miała wyboru.

– Brandon – cicho powiedziała do mikrofonu. W świetle reflektorów nie widziała jego oczu, lecz czuła, że patrzy na nią. – Jeśli przyjdiesz tu i zaśpiewasz – zagadnęła żartobliwie – to może zwrócimy ci za bilet. – Wiedziała, że uśmiechnął się, słysząc jej słowa. Rozległy się oklaski. Brandon wstał z miejsca i podszedł do sceny.

Był ubrany na czarno, miał świetnie skrojone spodnie i luźne polo. Kiedy stanął obok niej, kontrast był uderzający. Zupełnie jakby to sobie zaplanowali. Uśmiechając się do Raven, powiedział cicho, poza zasięgiem mikrofonu:

– Przepraszam. Powinienem pójść za kulisy, ale chciałem popatrzeć na ciebie z widowni.

Pochyliła głowę. Nie przypuszczała, że jego obecność sprawi jej aż taką radość.

– Zmusiliśmy cię do roboty. Co chciałbyś zaśpiewać?

Nim zdążył otworzyć usta, rozległy się wołania z widowni. Były coraz głośniejsze i coraz bardziej zgodne. Uśmiech Raven zbladł. Publiczność domagała się ich wspólnego przeboju.

Brand ujął ją za rękę, podniósł jej rózę.

– Chyba pamiętasz słowa?

To było wyzwanie. Zza kulis wybiegł ktoś z obsługi, niosąc mikrofon dla Brandona.

– Mój zespół tego nie zna – zaczęła.

– Ja znam. – Marc uniósł gitarę i patrzył na nich. Publiczność zagrzewała ich do śpiewu. Marc zaczął grać.

Brand trzymał Raven za przegub, uniósł mikrofon.

Wiedziała, jak powinni zaśpiewać ten utwór – patrząc sobie w oczy. To sentymentalna, przepojona tęsknotą i głębokim uczuciem pieśń miłosna. Na widowni zapadła cisza. Zaczęli śpiewać wpatrzeni w siebie, zasluchani w swe głosy. Raven zapomniała o scenie, zapomniała na mgnienie o tych pięciu latach.

To było niesamowite przeżycie, wrażenie totalnej jedności i całkowitego oddania, wstrząsające i poruszające do głębi. Słuchała jego głosu i czuła się tą jedyną i upragnioną.

Gdy skończyli, ich głosy na moment zawisły w powietrzu. Jej usta drżały. Brandon przygarnął ją do siebie i pocałował.

Stali na scenie w świetle reflektorów, lecz nie docierał do niej gorący aplauz rozentuzjasmowanej widowni. Objęła Branda, w jednej ręce trzymając mikrofon, w drugiej rózę. Błyskały aparaty, lecz wokół niej panowała

aksamitna ciemność. Zatraciła poczucie czasu. Ten pocałunek może trwał całe godziny, a może kilka sekund. Kiedy Brand ją puścił, przepełniło ją poczucie bolesnej straty. Jeszcze nigdy dotąd czegoś takiego nie czuła. Dostrzegł to w jej oczach i uśmiechnął się lekko.

– Jesteś lepsza niż kiedykolwiek. – Pocałował ją w rękę. – Tym bardziej szkoda, że śpiewasz takie ckliwe sentymentalne piosenki.

Uniosła brwi.

– Próbuję popchnąć twoją podupadającą karierę, a ty mnie obrażasz. Żadnej wdzięczności?– Odzyskała równowagę, gdy trzymając się za rękę, skłonili się kilka razy przed publicznością.

– Zobaczmy, jak dalej ci pójdzie, kochanie. Rozgrzałem ich dla ciebie. – Lekko pocałował ją w policzek, pomachał do widowni i zszedł ze sceny.

Raven z uśmiechem odprowadziła go wzrokiem, po czym powiedziała do mikrofonu:

– Szkoda, że jemu to nigdy nie wyszło, co?

Po dwóch godzinach występ dobiegł końca. Powinna być wykończona, ale nie czuła zmęczenia. Dała trzy bisy, a kiedy za kulisami wahała się, bo widownia domagała się więcej, Brandon przytrzymał ją stanowczo.

– Będą cię chcieli w nieskończoność. – Wiedział, jak wyczerpująca jest praca na scenie. Nie dał jej wyjść, tylko pociągnął ją do garderoby.

Przez zatłoczony korytarz trudno było przejść. Sypały się gratulacje i słowa uznania, bardziej przebiegłym reporterom udawało się zadać Raven jakieś pytania. Odpowiadała, a Brandon z wdziękiem dorzucał coś od siebie, zdecydowanym krokiem kierując się z nią w stronę garderoby. Gdy wreszcie tam dotarli, zamknął drzwi.

– Chyba się im spodobałam – z powagą powiedziała Raven, roześmiała się i odwróciła od Branda. – Ale fajnie się czuję! – Jej oczy zajaśniały, gdy jej wzrok padł na wiaderko z lodem. – Szampan?

– Pomyślałem, że po tej klapie będziesz chciała się trochę pocieszyć. – Wyciągnął z lodu butelkę. – Zaraz będziesz musiała otworzyć drzwi i wyjść do ludzi. Postaraj się zrobić dobrą minę, skarbie.

– Postaram się, jak tylko mogę.

Cichutko strzelił korek i odrobina spienionego płynu wylała się z butelki. Brand napełnił szampanem kieliszki, podał jeden Raven.

– Mówię szczerze. – Stuknął się z nią kieliszkiem. – Nigdy nie byłaś lepsza. – Uśmiechnęła się i podniosła trunek do ust, a Brandon poczuł tak mocne, że aż bolesne pragnienie. Ostrożnie wyjął kieliszek z dłoni Raven i oba odstawił na stół. – Coś zacząłem i jeszcze tego nie skończyłem.

Zaskoczył ją. Widział to po jej twarzy, gdy przygarniał Raven do siebie i wolno pochylał ku niej usta. Nie była na to przygotowana. Długi gorący pocałunek smakował szampanem, ciepły dotyk ust Brandona odurzał. Czowała na sobie jego dłonie, błądzące po obcisłym kostiumie. I wiedziała, że Brand z trudem nad sobą panuje.

Oddała mu pocałunek, lecz Brandonowi wciąż było mało. Uległa jego żarowi, przestała kontrolować zmysły. Wirowało jej w głowie. Podekscytowanie występem jeszcze nie opadło, upojny, ciężki zapach kwiatów przesycił powietrze, bliskość pewnego mężczyzny działała na nią jak afrodyzjak.

– Brandon – wyszeptała tuż przy jego ustach. Pragnęła go rozpaczliwie, desperacko. I się bała.

Odsunął ją delikatnie, spojrzał na nią badawczo. Wszystkie emocje odbijały się w jej oczach jak w lustrze.

– Raven, jesteś piękna. Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam.

Miała miękkie kolana; próbowała odzyskać równowagę, nie wspierając się o niego. Zrobiła krok do tyłu, położyła rękę na stoliku.

– Jedną z najpiękniejszych? – powiedziała zadziornie, unosząc kieliszek.

– Znam wiele kobiet. – Uśmiechnął się i też wziął szampana. – Nie zmyjesz tego makijażu? Chciałbym zobaczyć cię naprawdę.

– Masz pojęcie, jak długo muszę siedzieć nieruchomo, kiedy mnie pacykują? – Podeszła do toaletki, wzięła krem i nabrała na palec porządną porcję. Powoli się uspokajała. – Ten makijaż ma robić ze mnie ponętą kusicielkę.

– Nawet w pokutnym worze wyglądałabyś ponętnie.

Popatrzyła na jego odbicie w lustrze. Miał poważną minę.

– Biorę to za komplement – powiedziała, grubo rozsmarowując na twarzy krem. Uśmiechnęła się. – I co, teraz też wyglądam ponętnie?

Brand odpowiedział uśmiechem, powoli przesunął wzrokiem po jej figurze.

– Nie kokietuj mnie. Odpowiedź jest oczywista.

Zaczęła ścierać krem, zmywając sceniczny makijaż.

– Fajnie było znowu z tobą zaśpiewać. – Wyrzuciła ostatni wacik i sięgnęła po kieliszek. – Dla mnie to zawsze było przeżycie. I nadal jest. – Przyglądał się jej w milczeniu. Zagryzła usta, jakby szukając słów. – Podejrzewam, że ten nasz dzisiejszy duet nie przejdzie bez echa. Mocno to roztrąbią, zwłaszcza zakończenie.

– Podobało mi się zakończenie. – Podeszedł i położył ręce na jej barkach.

– Zawsze tak powinno się kończyć.

– Pocałował ją w kark. – Martwisz się, co prasa z tego zrobi?

– Niejasne, że nie. Ale... Brandon...

– Wiesz, że tylko moja mama tak do mnie mówi?

– Odsunął włosy z jej karku i przesuwał ustami po skórze.

– Tyle że w twoich ustach brzmi to inaczej.

– Brandon...

– Kiedy byłem mały i mówiła do mnie „Brandon”, od razu wiedziałem, że jakieś moje przewinienie wyszło na jaw i zaraz spotka mnie kara.

– Domyślam się, że często broiłeś.

Starła się mówić lekko, chciała się odsunąć, lecz obrócił ją ku sobie.

– Zbyt wiele razy, by zliczyć. – Pochylił się. Spodziewała się pocałunku, lecz Brand delikatnie chwycił zębami jej dolną wargę. Złapała go za koszulę, by nie stracić równowagi. Patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

Ogarnęła ją fala namiętności, a wtedy Brand puścił ją i cmoknął w czubek nosa. Przesunęła dłonią po włosach, próbując się otrząsnąć. Bawił się z nią, tak łatwo mu to przychodziło.

– Chcesz się przebrać, nim kogoś tu wpuścimy? – Popijał szampana, nie odrywając od niej wzroku. Miał dziwną minę, jak bokser, który wypatruje u przeciwnika chwili słabości.

– Tak... – Wzięła się w garść. – Tak, chętnie, tylko... – Rozejrzała się po garderobie. – Nie wiem, gdzie upchnęłam ciuchy.

Roześmiał się i ta dziwna mina zniknęła. Raven odetchnęła, zawtórowała mu śmiechem. Przesuwając kwiaty i lśniące kostiumy, zaczęli szukać dżinsów i tenisówek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Była późna noc, gdy wreszcie dotarli na lotnisko. Emocje Raven jeszcze nie opadły, nadal działała na wysokich obrotach. Przez całą drogę trajkotała jak najęta. Gdy wysiadali z limuzyny, by przesiąść się do samolotu, popatrzyła na półksiężyc świecący na czarnym niebie. Widok prywatnego odrzutowca zaskoczył ją. Komfortowo urządzone wnętrze głównej kabiny zapraszało, obiecując przyjemną podróż. Dla niej to kolejny lot, ale może nie będzie taki męczący.

Popatrzyła na podłogę wyłożoną miękką grafitową wykładziną, przepastne skórzane fotele i szeroką pluszową kanapę. Był tu też barek, a za drzwiami mieściła się niewielka kuchnia.

– Wcześniej nie miałeś takiego cuda – powiedziała, zaglądając do kolejnego pomieszczenia i odkrywając łazienkę wyposażoną w wannę.

– Kupiłem go trzy lata temu. – Brand rozsiadł się na kanapie, obserwując zaaferowaną Raven. Wyglądała teraz zupełnie inaczej. Była bez makijażu, co bardzo mu się podobało. Nie musiała dodatkowo podkreślać swej urody. Była w znoszonych dżinsach i luźnym żółtym swetrze.

Mokasyny od razu ściągnęła. Korciło go, by wsunąć rękę pod sweter i dotknąć jej ciała.

– Nadal nie lubisz latać?

– Nadal – odparła ze smętnym uśmiechem. – Niby z czasem powinnam się przyzwycząić, ale... – Dalej buszowała po kabinie, zbyt podekscytowana, by usiąść spokojnie. Mogłaby dać jeszcze jeden koncert, miała nieprzebrane zasoby energii.

– Zapnij pas – polecił Brandon, przyglądając się jej szybkim, nerwowym ruchom. – Zaraz wystartujemy i nim się obejrzysz, będziemy w powietrzu.

– Nawet nie wiesz, ile razy słyszałam takie teksty.

– Jednak usiadła, zapięła pas i cierpliwie czekała, podczas gdy Brand poinformował pilota, że są gotowi. Kilka minut później byli w górze, więc mogła odpiąć pas i znów nerwowo przechadzać się po kabinie.

– Wiem, co teraz czujesz – rzekł Brand, a ona w milczeniu spojrzała na niego. – Rozsadza cię energia i musisz ją rozładować. Tak samo było ze mną w Las Vegas, kiedy zadzwoniłem do ciebie w środku nocy.

Odrzuciła w tył włosy.

– Czuję się tak, że mogłabym przebiec kilka kilometrów. To może by mnie uspokoiło.

– Co powiesz na kawę?

– Chętnie. – Podeszła do okna i przycisnęła nos do szyby, za którą była czarna jak smoła czeluść. – Z przyjemnością napiję się kawy, a potem posłucham, jakie to fantastyczne pomysły masz do tego musicalu. Bo pewnie masz ich masę.

– Kilka. – Z kuchni rozległ się szczeł filizanek.

– Domyślam się, że ty też masz ich trochę.

– Kilka – odpowiedziała, a Brandon zachichotał. Raven odwróciła się od okna. Brand stał w przejściu między kuchnią a główną kabiną. – Jak sądzisz, kiedy zaczniemy się kłócić?

– Niedługo, ale może najpierw dojedźmy na miejsce. Julie wraca do Los Angeles, czy może już domknęłaś swoje sprawy?

Po twarzy Raven przemknął cień. Odżyły wspomnienia krótkiej wizyty w klinice odwykowej, jedynej w czasie tej trasy. W Chicago mieli dzień przerwy w koncertach, więc poleciała do Kalifornii i jeszcze tego samego dnia wróciła. Nie obyło się bez rozmowy z doktorem Karierem, po niej zajrzała na chwilę do mamy. Odetchnęła, widząc, że jej twarz straciła niezdrowy żółtawy

odcień, nie była też już tak wymizerowana. Jak zwykle nie obyło się bez przeprosin, obietnic i łez. I jak zwykle Raven zaczęła w nie wierzyć.

– Niektórych spraw nie da się domknąć – wyszeptała.

– Powiesz mi, co jest nie tak?

Pokręciła głową. Nie chciała teraz przywoływać smutnych tematów.

– To nic takiego, naprawdę. – Zaczął gwizdać czajnik.

– Ktoś cię woła – powiedziała z uśmiechem.

Brand przez chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym wszedł do kuchni i zaczął szykować kawę.

Usiadła na kanapie i oparła wygodnie głowę. Zaczynało ogarniać ją zmęczenie, cała energia gdzieś znikła. Brand doskonale znał ten stan. Postawił napełnione kubki, po czym zaczął badawczo obserwować Raven. Poczula na sobie jego wzrok i powoli podniosła powieki. Przez chwilę trwała cisza.

– Co robisz? – wymamrotała, walcząc ze znużeniem.

– Przestań – dodała, zamykając oczy.

Upił długi łyk, nadal wpatrując się w Raven. Nie ufała mu stuprocentowo, nigdy tak nie było. Na tym polegał ich problem. Przyglądał się jej w skupieniu. Zaróżowione policzki, senne oczy. Siedziała na podwiniętych nogach, jak to miała w zwyczaju, z rękami na kolanach. Wydawała się rozluźniona, lecz zdradzały ją nerwowo poruszające się palce.

– Nadal cię pragnę. Wiesz o tym, prawda?

Pozostawiła pytanie bez odpowiedzi, lecz dostrzegł pulsowanie tętna na jej szyi. Wreszcie powiedziała spokojnym, wyważonym tonem:

– Brandon, mamy razem pracować. Lepiej nie komplikujmy sprawy.

Roześmiał się bez cienie drwiny, za to z autentycznym rozbawieniem.

– Masz rację, niczego nie komplikujmy. – Dopił kawę, podszedł do kanapy, usiadł obok Raven i przygarnął ją do siebie. – Zrelaksuj się – powiedział, marszcząc czoło, gdy zaczęła się opierać. – Zaufaj mi choć trochę. Wiem, jaka jesteś padnięta. Raven, kiedy mi wreszcie zaczniesz ufać?

Uniosła głowę, popatrzyła na niego wymownie. Po chwili oparła się na jego ramieniu i niemal natychmiast usnęła. Przez długą chwilę siedział nieruchomo. Raven przytuliła się mocniej. Odczekał i ostrożnie ułożył ją na kanapie, przyglądając się jej rozsypanym włosom.

Zgasił światło, usiadł w głębokim fotelu i zapalił papierosa. Wsłuchując się w ciemnościach w miarowy oddech Raven, przyglądał się gwiazdom za oknem. W końcu wstał, podszedł do kanapy i położył się obok Raven. Poruszyła się, gdy odgarniał jej włosy z twarzy, i przytuliła się do niego. Jak wielką to mu sprawiło przyjemność!

Otoczył ją ramieniem i też zaraz zasnął. Obudził się pierwszy, jak zwykle od razu całkiem przytomny. Przez chwilę leżał nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Raven spała mocno wtulona w jego pierś.

Widział zarys jej twarzy, delikatne rysy, czarne włosy, jedwabistą zasłoną okrywającą ją. Spała z podkurczonymi, przyciśniętymi do niego nogami. Była miękka, ciepła i kusząca. Mógłby ją delikatnie rozbudzić, roznamiętnić, pozostając na granicy jawy i snu. Nawet by nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Za oknami niebo powoli zaczynało szarzeć. Widział Raven coraz lepiej, obserwował, jak ciemne, gęste rzęsy rzucają cień na policzki. Pragnął jej, lecz nie w taki sposób. Nie tak powinien się odbyć ten pierwszy raz. Raven westchnęła i poruszyła się. Znowu przeszło go dzikie pragnienie. Ostrożnie odsunął się od niej i wstał.

Poszedł do kuchni i zaczął przyrządzać kawę. Zerknął na zegarek. Niedługo powinni lądować. Z przyjemnością pomyślał o śniadaniu. Zajmie trochę czasu, nim dojadą do domu, a po drodze jest sprawdzony zajazd z pysznym jedzeniem i dobrą kawą, nie taką jak ta.

Usłyszał, że Raven zaczęła się ruszać. Wyjrzał z kuchni, gdy z cichym westchnieniem przekreśliła się na bok i po omacku szukała ręką poduszki. Powoli otworzyła oczy, przesunęła wzrokiem po kabinie. Przyglądał się temu z uśmiechem. Nie wiedziała, gdzie jest, lecz w końcu rzeczywistość do niej dotarła.

– Dzień dobry – zagadnął z promiennym uśmiechem.

Przesunęła spojrzenie w jego stronę. Miała się na baczności przed takimi szczygielkami.

– Kawy – wymamrotała i znów zamknęła oczy.

– Za minutkę. – Czajnik już zaczynał szumieć. – Jak ci się spało?

Zanurzyła palce we włosach i heroicznie próbowała usiąść. W kabinie panował półmrok, lecz z każdą chwilą światło stawało się coraz jaśniejsze. Przycisnęła palce do oczu.

– Jeszcze nie wiem. – mruknęła. – Zapytaj mnie później.

Zagwizdał czajnik i Brand zniknął w kuchni. Raven przyciągnęła kolana do brody, wtuliła w nie twarz. Słyszała, że Brand coś mówi, lecz jego słowa jeszcze do niej nie docierały. Nawet nie próbowała słuchać czy odpowiadać.

– Proszę, kochanie. – Ostrożnie podniosła głowę. Brand podawał jej kubek z parującą kawą. – Napij się, to ci dobrze zrobi. – Gdy coś mruknęła jako podziękowanie, usiadł obok niej. – Mój brat zawsze jest gotów przyłożyć, kiedy się go budzi. To ponoć sprawa metabolizmu.

Raven znów zamruczała coś niezrozumiałego i zaczęła powoli pić. Kawa była mocna i gorąca. Przez długą chwilę oboje pili w milczeniu, wreszcie Raven podniosła głowę i uśmiechnęła się blado.

– Przepraszam, że jestem taka trafiona. Rano długo się budzę. Szczególnie wczesnie rano. – Poruszyła głową, by spojrzeć na zegarek Brandona, i próbowała porachować w duchu, lecz musiała się poddać. – W sumie nie ma znaczenia, która teraz godzina. – Uniosła kubek do ust.

– I tak musi minąć dobrych parę dni, nim się przestawię z czasem.

– Porządny posiłek postawi cię na nogi – oznajmił Brandon. – Czytałem gdzieś, że dobrym sposobem jest picie rozpuszczonych drożdży i jogging, ale ja wierzę w ożywczą moc śniadania.

– Drożdże? – Skrzywiła się. – Dla mnie najlepsze jest spanie do oporu. – Wreszcie zaczynała się rozbudzać.

– Chyba niedługo lądujemy? – Odgarnęła włosy na plecy.

– Za niecałą godzinę.

– To dobrze. Stresuje mnie świadomość, że jestem w powietrzu, dlatego staram się jak najwięcej czasu przespać. A tu po prostu zważyło mnie z nóg. – Przeciągnęła się. – Nie jestem najlepszą towarzyszką podróży.

– Powoli się rozkręcała.

– Byłaś wykończona. – Obserwował ją znad krawędzi kubka. Luźny sweter maskował kształt jej ciała.

– Nawet nie pamiętam, jak zasnęłam. Czasem mi się to zdarza po koncercie. – Wzruszyła ramionami. – Dziś powinno być lepiej. Gdzie ty spałeś?

– Z tobą.

Zamarła na moment, po czym spytała:

– Słucham?!

– Powiedziałem, że spałem z tobą, tu, na kanapie.

– Pokazał ręką. – Przytulałaś się.

Widziała po jego niebieskich oczach, że jej reakcja go bawi.

– Nie miałeś prawa...

– Zawsze chciałem być pierwszym mężczyzną, z którym spędzisz noc. –

Opróżnił do końca kubek. – Może jeszcze kawy?

Policzki jej płonęły, oczy ciskały ogień. Poderwała się z kanapy. Brand wyjął jej z dłoni kubek, nim zdążyła rzucić nim na koniec kabiny. Przez chwilę stała, oddychając głośno i mierząc go gniewnym spojrzeniem.

Mimo tych groźnych oznak Brand zachował stoicki spokój.

– Nie pochlebiaj sobie! – rzuciła, patrząc na niego jak na robaka. – Nie wiesz, z iloma facetami spałam.

Pieczołowicie odstawił oba kubki, po czym podniósł wzrok na Raven.

– Jesteś tak niewinna, jak w dniu, kiedy przyszedłaś na świat. Nie tknął cię żaden mężczyzna, tym bardziej z tobą nie spał.

Zagotowało się w niej.

– Nie masz bladego pojęcia, z kim byłam przez tych pięć lat. – Starła się zachować zimną krew, choć chciało się jej krzyżeć na całe gardło. – Nie twój interes, z iloma mężczyznami się przespałam.

Brandon uniósł brwi, przypatrując się jej w głębokim zamyśleniu.

– Raven, niewinność nie jest czymś, czego człowiek powinien się wstydzić.

– Nie jestem... – Urwała, zacisnęła pięści. – Nie miałeś prawa... – Przełknęła ślinę, ze złością i zakłopotaniem potrząsnęła głową. – Kiedy ja spałam...

– Czego nie miałem prawa, kiedy ty spałaś? – zapytał, siadając na kanapie. – Zniewolić cię? – dokończył, celowo używając staroświeckiego

określenia. – Myślisz, że mogłabyś wtedy spokojnie spać i o niczym nie wiedzieć? Akurat...

– Nie natrzęsaj się ze mnie. – W jej głosie brzmiały z trudem tłumione emocje.

– No to nie zachowuj się tak beznadziejnie. – Wziął papierosa, lecz nie zapalił go, tylko nerwowo stukał w blat. Wpatrywał się w Raven, ale już bez rozbawienia. – Mógłbym cię mieć, gdybym tylko chciał, zapamiętaj to sobie.

– Masz tupet! A ty zapamiętaj, że nie zamierzam wprowadzać cię w moje prywatne sprawy, i że na pewno nie będziesz mnie miał, bo ja ciebie nie chcę. Sama wybieram sobie kochanków.

Nie przypuszczała, że Brandon potrafi poruszać się tak szybko. Dopiero co siedział wygodnie rozparty na kanapie, a w mgnieniu oka poderwał się, chwycił ją mocno za nadgarstek i popchnął na plecy, przyciskając swoim ciężarem. Nawet nie zdążyła zipnąć.

Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Zimny strach dławił ją w piersi. Była zbyt przerażona, by walczyć, bała się nawet poruszyć. Nie podejrzewała, że czai się w nim taka gwałtowność, nieokiełznana furia. Wbijał palce w jej przegub, a drugą rękę zacisnął jej na gardle.

– Myślisz, że ile wytrzymam? – wycedził ostro z wyraźnym irlandzkim akcentem. – Nie wyjeżdżaj mi ze swymi kochankami, bo zaręczam, że zaraz jednego będziesz miała naprawdę. I nieważne, czy mnie chcesz, czy nie. – Jeszcze mocniej zacisnął palce na jej szyi. – Kiedy przyjdzie czas, nie będę uciekać się do spicia cię szampanem, nie będę czekać, aż będziesz padała ze zmęczenia. Mógłbym cię wziąć teraz, w tej sekundzie. Po pięciu minutach sama byś tego chciała. – Jego gniewne słowa atakowały ją z ogromną siłą. – Wiem, jak cię rozbudzić, Raven. Nie zapominaj o tym.

Jego twarz była tuż przy jej twarzy. Oboje oddychali płytko, pośpiesznie, w tle słychać było miarowy szum silników. Dopiero teraz Brand ujrzał panikę malującą się w oczach Raven. Zaklął, puścił ją i wstał. Nie odrywała od niego wzroku, jakby czekając, jaki będzie jego kolejny ruch. Brand przez chwilę przyglądał się jej, odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna.

Raven leżała nieruchomo, masując skórę na przegubie. Patrzyła, jak Brand przeciąga ręką po czuprynie.

– Położyłem się obok ciebie, bo chciałem być blisko. – Zaczerpnął powietrza. – Tylko to, nic więcej. Nawet cię nie dotknąłem. Spałem przy tobie, to wszystko. To było absolutnie niewinne i miłe. – Zacisnął palce w pięści, przypominając sobie, jak zadudniła krew na jej szyi, gdy mocniej zacisnął dłoń. Był na siebie wściekły, że tak ją wystraszył. – Ani przez chwilę nie pomyślałem, że mogłabyś poczuć się tym dotknięta. Przepraszam.

Zakryła oczy dłońmi, łzy popłynęły jej po policzkach. Starła się zdusić szloch. Już nie czuła lęku, tylko wstyd i wyrzuty sumienia. Tak niesprawiedliwie oceniła jego miły gest, skrzywdziła go swymi podejrzeniami. Zareagowała emocjonalnie, bo czuła się zażenowana, ale było jeszcze coś więcej. Brandon pociągał ją, dlatego chciała go sprowokować. Co się jej udało, tyle że przy okazji go zraniła. Podniosła się z kanapy, zdecydowana prosić o wybaczenie.

Stanęła za nim, lecz nie ośmieliła się go dotknąć. Gdyby zeszywniał czy cofnął się, odczułaby to jak cios.

– Brandon, strasznie cię przepraszam. – Zagryzła wargę, by zapanować nad drzeniem głosu. – Zachowałam się głupio i nieładnie. Naprawdę mi wstyd. Chciałam cię wkurzyć, bo poczułam się nieswojo i... – Umilkła,

szukając właściwych słów, by opisać swój stan. Bo nawet teraz robiło się jej ciepło na sercu na myśl, że w nocy spali tuż obok siebie.

Zaklął cicho, przesunął dłonią po karku.

– Podpuściłem cię.

– Jesteś w tym dobry – powiedziała, chcąc nadać rozmowie lżejszy ton.

– Znacznie lepszy niż ja. Gdy jestem zła, gadam bez zastanowienia, co mi ślina na język przyniesie.

– Ze mną, jak widać, jest podobnie. Raven... – Odwrócił się i popatrzył na jej rozszerzone oczy, ślady łez na rzęsach. Nie dokończył zdania, tylko podszedł do stolika po papierosa. Zapalił go i znów popatrzył na Raven. – Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą. Rzadko mi się to zdarza, ale akurat ty umiesz wsadzić mi szpilę. Co przypomina mi nasze przejścia sprzed pięciu lat, zwłaszcza ten ostatni raz.

Poczuła, jak zaciska się jej żołądek.

– Myślę, że nie powinniśmy do tego wracać.

– Owszem, nie powinniśmy... – Wpatrywał się w Raven z tak wielką powagą, jakby starał się przeniknąć jej myśli. – W każdym razie nie teraz. – Uśmiechnął się, a ona natychmiast zaczęła się odprężać. – Wygląda na to, że nie możemy się doczekać, żeby znów skoczyć sobie do oczu.

– Na to wygląda. – Odwzajemniła jego uśmiech. – Zawsze byłam niecierpliwa. – Podeszła bliżej, wspięła się na palce i pocałowała go. – Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Już mnie przeprosiłaś.

– Mhm. To na przyszły raz ty będziesz się przede mną płaszczyć.

– Zrobię jeszcze kawy. Zdażymy wypić przed lądowaniem.

Zniknął w kuchni, a Raven zadumała się głęboko, jako że Brand przywołał wspomnienia sprzed pięciu lat.

Wszystko pamiętała, tak jakby to było wczoraj, każde słowo i każdy gest. Sama nie była bez winy, musiała to przyznać. Byli razem, tylko we dwoje, bardzo siebie spragnieni. I nagle coś poszło nie tak. Zaczęła krzyczeć na Brandona, była bliska hysterii. On zaś wykazał się wielką cierpliwością, lecz do czasu. Nie wybuchł, tak jak dzisiaj, tylko stał się przerażająco zdystansowany i chłodny. Gdyby miała wybierać, wolałaby tę zapalczywą gwałtowność niż lodowatą pogardę.

Miała przed oczami tamtą scenę. Bliskość Brandona roznamiętniła ją i rozпалиła... i nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczęła krzyczeć, by nie ważył się jej dotknąć. Wywrzeszczała, że już sama ta myśl jest dla niej nie do zniesienia. Brand potraktował to serio i odszedł. Przepęłniły ją rozpacz, żal i wyrzuty sumienia, a nade wszystko obłędna miłość do niego.

Nazajutrz rano poszła go poszukać, lecz było za późno. Brand wyprowadził się z hotelu i wyjechał z Kalifornii. Zostawił ją bez słowa i nie odezwał się przez pięć lat. Za to gazety rozpisywały się o nich. Na przyjęciach czy w restauracjach słyszała urywane szept, w prasie nie ustawały komentarze i spekulacje na temat ich rozstania, nie brakowało też doniesień o kolejnych miłosnych podbojach Brandona.

Postanowiła wymazać go z pamięci. Pozostawił po sobie pustkę, którą wypełniała pracą i muzyką. Doszła do siebie, zbudowała swoje własne życie. I nie chciała tego zmieniać. Lepiej działać samodzielnie i liczyć na siebie. Zdanie się na Brandona okazało się ryzykowne. I być może to się nie zmieniło...

Potrząsnęła głową. Brandon miał rację: powinni skoncentrować się na tym, co jest teraz. Mają pracę do wykonania, muzykę do napisania. Odetchnęła głęboko, po czym ruszyła do kuchni, by pomóc mu robić kawę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kornwalijski krajobraz oczarował ją. Stało się dla niej jasne, dlaczego w tej właśnie bajecznej krainie król Artur zbudował swój zamek. Wyobrażała sobie dawne bitwy, błysk broni, szczęk mieczów, tętent galopujących wierzchowców.

Nadchodząca wiosna już dawała o sobie znać. Widać ją było w zieleni ozywających wrzosowisk, gdzieniegdzie przetykanych różowymi kwiatkami. Siąpiący deszczyk potęgował to romantyczne wrażenie. Mijali domy, a raczej proste chaty, otoczone sennymi ogrodami. W zielonej trawie żółciły się pierwsze żonkile, przyciągały wzrok niebieskie hiacenty. Brand kierował się na południe, w stronę klifowego wybrzeża. Celem ich podróży był przylądek Land's End.

Zatrzymali się na wiejskie śniadanie. Zjedli jajka na bekonie i owsiane ciasteczka, po czym znów ruszyli w drogę. Brand zadbał, by samochód czekał na nich na lotnisku.

– Jak wygląda twój dom? – zapytała, szukając w torebce czegoś do upięcia włosów. – Nigdy mi o nim nie opowiadałeś.

– Cierpliwości, zaraz sama go zobaczysz. Już jesteśmy blisko.

Znalazła dwie kolorowe gumki.

– Próbujesz być tajemniczy? A może wolisz nie zdradzać, że dach przecieka?

– Może i przecieka, choć nie przypominam sobie, by mi się lało na głowę. Państwo Pengalleyowie nigdy by do czegoś takiego nie dopuścili.

– Pengalleyowie? – Zaczęła zaplatać warkocze.

– Mieszkają w pobliżu i opiekują się domem, a kiedy przyjeżdżam, korzystam z ich usług. Ona dogląda wszystkiego i gotuje, on robi drobne naprawy.

– Pengalleyowie – mruknęła w zadumie.

– Prawdziwi Kornwalijczycy, z krwi i kości.

– Już wiem! – Odwróciła się do niego z uśmiechem. – Ona jest niewysoka i raczej krągła, nie tęga, ale mocnej budowy. Z ciemnymi włosami upiętymi z tyłu, z surową miną. On szczuplejszy od żony, lekko siwiejący, pociąga sobie ukradkiem, gdy myśli, że ona tego nie widzi.

– Bardzo trafny opis – zdumiał się. – Jak na to wpadłaś?

– Po prostu nie mogą być inni. – Wzruszyła ramionami. – Chyba że te gotyckie powieści, których się nazywałam, bezczelnie kłamią. Masz sąsiadów?

– W pobliżu nikt nie mieszka. Między innymi to mnie skłoniło, by kupić ten dom.

– Taki jesteś nietowarzyski? – spytała z uśmiechem.

– To instynkt samozachowawczy. Czasami muszę pobyć sam, bo inaczej zwariuję. Potem, kiedy już naładuję akumulatory, znów chętnie wracam do ludzi. – Gdy poczuł na sobie jej uważne spojrzenie, uśmiechnął się.

– Mówiłem ci, że złagodniałem.

– Owszem, mówiłeś. – Zaczęła zakładać gumkę na koniec drugiego warkocza. – Złagodniałeś, lecz to nie przeszkodziło ci sporo zdziałać. Wydałeś kilka albumów, w zeszłym roku nawet podwójny, do tego prawie wszystkie utwory są twego autorstwa, a te, które napisałeś dla Cala Ripleya, są najlepsze z całej jego płyty.

– Tak uważasz?

– Przecież dobrze wiesz, że tak jest – powiedziała, kończąc zawiązywać warkocz.

– Pochwał nigdy dosyć, kochanie.

– Swoją porcję już dostałeś. – Przerzuciła warkocz na plecy. – Jedno, co mnie zaskakuje, że jak na kogoś, kto stracił werwę, jesteś bardzo produktywny.

– Większość rzeczy zrobiłem tutaj albo w drugim moim domu, w Irlandii. Więcej tutaj, bo jestem dalej od rodziny, więc mam spokój.

– Myślałam, że nadal mieszkasz w Londynie.

– Generalnie tak, ale gdy mam coś szczególnego do zrobienia albo chcę pobyć sam, przyjeżdżam tutaj. W Londynie też mam rodzinę.

– Aha. – Popatrzyła na mglisty widok za oknem. – Czyli duża rodzina ma swoje minusy.

Zaintrygowało go coś w tonie jej głosu. Spojrzał na Raven, lecz z jej twarzy niczego nie dało się wyczytać. Powstrzymał się od komentarza. Wiedział doskonale, że rodzina to dla niej temat tabu. Niegdyś próbował ją o to zagadywać, lecz zawsze go zbywała. Wiedział o niej tylko tyle, że jest jedynaczką i w wieku siedemnastu lat zaczęła żyć na własny rachunek. Julie, która z pewnością знаła przeszłość Raven, milczała jak grób. To była kolejna tajemnica, która intrygowała go i frustrowała jednocześnie. Oczywiście nie zamierzał teraz naciskać Raven, tylko dodał:

– Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzać. Ani sąsiedzi, ani rodzina. Pani Pengalley ma bardzo negatywny stosunek do ludzi z show–biznesu, więc będzie ich trzymać na odległość.

– Ludzi z show–biznesu? – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Nadal urządzasz tu orgie?

– Na pewno nie przez ostatnie trzy miesiące. – Skreślił w boczną drogę. – Powiedziałem ci, że się zmieniłem. Rzecz w tym, że pani Pengalley jest doskonale zorientowana w życiu gwiazd i gwiazdeczek. Jej mąż zdradził mi, że czyta wszystko na ten temat, co jej tylko wpadnie w ręce. A muzycy, zwłaszcza muzycy rockowi... – Znacząco zawiesił głos.

– Z pewnością wyobraża sobie to wszystko, co najgorsze – powiedziała pogodnie.

– Najgorsze? To znaczy?

– Że mamy z sobą gorący potajemny romans.

– To jest dla ciebie najgorsze? Bo dla mnie bardzo kuszące.

– Dobrze wiesz, co miałam na myśli – powiedziała speszona.

Brand ujął jej dłoń i pocałował lekko.

– Wiem, co miałaś na myśli. – W jego głosie brzmiała nuta rozbawienia, na co Raven się odprężyła. – Nie chcesz mieć etykietyki upadłej kobiety? To byłby dla ciebie problem?

– Od lat mam taką etykietykę – odparła z uśmiechem. – Za każdym razem, gdy sięgnę po kolorową gazetę, dowiaduję się, jak bardzo jestem upadła. Czy wiesz, ile mam na koncie romansów z facetami, z którymi nawet nie zamieniłam słowa?

– Celebryci muszą mieć rozbuchane libido – oznajmił z powagą Brand. – To należy do ich standardowego wizerunku.

– Ciebie też nieźle podsumowali.

– Niestety. – Brand zadumał się na moment. – Jak się dowiedziałem, w zeszłym roku obstawiano, ile panienek zaliczę przez trzy miesiące. Brytyjczycy już tacy są, zakładają się dosłownie o wszystko.

Raven przez moment milczała, wreszcie spytała:

– Jaki był największy typ?

– Dwadzieścia siedem – odparł z uśmiechem. – Jakiś koleś postawił sporą kasę na to, że w trzy miesiące zaliczę dwadzieścia siedem pańienek. Dziewięć na miesiąc, dwie z kawalkiem na tydzień...

Roześmiała się, bo to w sumie było zabawne, chociaż... chociaż Brand rzeczywiście mógł tak szaleć. Wciąż zostało w nim wiele z zuchwałego chłopaka z londyńskiej ulicy.

– Raczej nie powinnam dociekać, czy ten koleś zgarnął pulę.

– Raczej nie.

Droga pięła się w górę, aż tuż przed nimi wyrósł samotny dom. Dwupiętrowy, zbudowany z tutejszego kamienia, z zielonymi, wyblakłymi od deszczu okiennicami i masywnymi kominami. Z niektórych wydobywał się dym, który nikł na tle ołowianych chmur.

– Och, Brandon! Jest zupełnie taki jak ty! – wykrzyknęła oczarowana. – Wcale się nie dziwię, że go sobie wybrałaś. – Wyskoczyła z samochodu, nim zdążył odpowiedzieć. Spozrzegła, że budynek stoi tyłem do morza. Od klifu odgradzał go dość niski murek. Podekscytowana popatrzyła w dół, jak urzeczona wpatrując się w spienioną wodę z mocą uderzającą o poszarpane skały. Fale huczały gniewnie. Raven stała nieruchomo i chłonęła ten widok, nie zważając na siąpiący deszcz. – Niesamowite! Wspaniale! – Znów popatrzyła na dom. Miał boczne wejścia, u po kamiennym murze pięło się dzikie wino, niżej kłębiły się polne róże i wiciokrzewy. Dopiero zieleń się liście i widać było pierwsze nieśmiałe pąki, lecz Raven już wyobrażała sobie ich zapach. Obok, na skalniaku, wśród zielonych źdźbeł jaśniały kolorowe kwiatki.

– W środku też powinno ci się spodobać – oznajmił z uśmiechem. – No i tam jest sucho – dodał, gdy obróciła się ku niemu i ujrzał jej wilgotną od deszczu twarz.

– Och, Brand, bądź bardziej romantyczny. – Rozglądała się wokół z zachwytem. – Zupełnie jak z „Wichrowych Wzgórz”.

Ujął jej dłoń.

– Romantyczny czy nie, teraz marzę o gorącej kąpieli i herbacie.

– Brzmi zachęcająco. – Cofnęła się jednak, gdy pociągnął ją do wejścia, jako że klif po prostu ją zafascynował. – Dostaniemy angielskie ciasteczka? Polubiłam je, gdy kilka lat temu byłam na koncertach w Anglii. Ciasteczka i gęsta śmietana, czemu dla wielu to coś strasznego?

– Pogadasz o tym z panią Pengalley.

Położył dłoń na klamce, lecz drzwi otworzyły się, nim zdążył ją nacisnąć.

Pani Pengalley idealnie pasowała do opisu Raven. Rzeczywiście była masywnie zbudowana, a ciemne włosy upinała w ścisły koczek na karku. Byстрыm spojrzeniem przesunęła po Raven, bez wątpienia zauważając jej war-kocze i przemoczone ciuszki, potem przeniosła wzrok na Brandona. Jej twarz niczego nie zdradzała.

– Dzień dobry, panie Carstairs, jest pan nieco wcześniej – odezwała się z wyraźnym lokalnym akcentem.

– Witam, pani Pengalley, miło mi panią widzieć. To pani Williams, która się u mnie zatrzyma.

– Jej pokój jest przygotowany. Dzień dobry, pani Williams.

– Dzień dobry, pani Pengalley. – Raven poczuła się nieco stropiona. Surowa mina gospodyni mogła onieśmielić. – Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu.

– Nie miałam wiele do zrobienia. – Pani Pengalley znów popatrzyła na Branda. – Jest napalone, spiżarnia zaopatrzona, tak jak pan sobie życzył. Przygotowałam zapiekankę na wieczór, wystarczy tylko podgrzać. Mąż zadbał

o zapas drewna do kominka, bo noce są chłodne, a powietrze wilgotne. Zaraz przyniesie państwa bagaże. Słyszeliśmy, jak przyjechaliście.

– Dziękuję. – Brand popatrzył w dal; Raven krążyła po pokoju, rozglądając się ciekawie. – Najpierw zrobimy sobie gorącą kąpiel i poprosimy o herbatę, to wystarczy. Czy może życzysz sobie czegoś jeszcze, Raven?

Popatrzyła na niego. Nie słuchała, o czym rozmawiał z gospodynią.

– Przepraszam, o co pytałeś?

Uśmiechnął się do niej.

– Czy coś ci potrzeba, nim pani Pengalley pójdzie po herbatę?

– Nie. – Uśmiechnęła się do gospodyni. – Jestem pewna, że wszystko jest super.

Pani Pengalley pochyliła głowę, mimo to nadal stała sztywno.

– W takim razie idę zaparzyć herbatę.

Gdy wyszła, Raven posłała Brandowi porozumiewawcze spojrzenie. Uśmiechnął się i rozprostował plecy.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać – wyszeptała, po czym znów zaczęła oglądać pokój.

Domyślała się, że to tutaj będą pracować przez najbliższe tygodnie. Przy dwóch wąskich oknach stał wiekowy fortepian. Sprawdziła, że miał świetne brzmienie. Na dębowej podłodze leżało kilka szmacianych dywaników. Okna zdobiły firanki z kremowej koronki, z pewnością ręcznie robione. Dwie wygodne, jasnobezowe kanapy i kilka stolików w stylu chippendale dopełniało wystroju.

W wielkim kamiennym kominku płonął ogień. Raven podeszła bliżej, by przyrzeć się ustawionym na kominku zdjęciom.

Wystarczył jej rzut oka, by zorientować się, że na fotografiach jest jego rodzina. Nastolatek w czarnej skórzanej kurtce miał takie same rysy jak

Brand, włosy też ciemne, choć proste. I ten sam zadziorny uśmiech. Obok stało zdjęcie bardzo ładnej blondynki. Miała koło dwudziestu pięciu lat, jasną cerę i zielonkawe oczy, jednak podobieństwo między nią a Brandonem było uderzające. Jego siostra. Na innym zdjęciu stała z jasnowłosym mężczyzną i dwójką ciemnowłosych chłopców o zuchwałych, roześmianych oczach. Siostra Branda ma co robić z takimi urwisami.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się zdjęciu rodziców Branda. To po ojcu dzieci są wysokie i szczupłe, choć tylko siostra odziedziczyła jego typowo angielską urodę. Zdjęcie musiało być zrobione dawno temu, może z ćwierć wieku. Starannie upozowane postacie, w niedzielnych strojach. Ładna ciemnowłosa kobieta uśmiechała się do obiektywu, mężczyzna był poważny i zdystansowany. Ten psotny uśmiech dzieci miały po matce.

Przesunęła wzrokiem po kolejnych zdjęciach. Niektóre były pozowane, inne zrobione z nienacka. Brand też był na kilku. Carstairsowie są bardzo zżyci, pomyślała z zazdrością. Otrząsnęła się, odwróciła do Branda i uśmiechnęła.

– Fajna rodzinka. – Wskazała kominek. – Jesteś najstarszy, prawda? Chyba gdzieś to przeczytałam. Jesteście bardzo do siebie podobni.

– To geny mamy – wyjaśnił Brand, patrząc na zdjęcia. – Tylko Alison trochę się wyróżnia. – Przesunął palcami po wilgotnej czuprynie i stanął obok Raven. – Chodźmy na górę, pokażę ci twój pokój. – Otoczył ją ramieniem.

– Cieszę się, że tu przyjechałaś. Nigdy nie widziałem cię w takim otoczeniu. Hotelowe pokoje, choćby nie wiem jak luksusowe, to jednak nie dom.

Później, kiedy już wygrzewała się w gorącej kąpieli, przypomniała sobie te słowa Brandona. Artystyczna profesja pociągała za sobą nieustanne podróże, przenoszenie się z hotelu do hotelu. Nawet najbardziej luksusowe

apartamenty, a przecież z takich korzystali, nadal były hotelowymi pokojami. Dom kojarzył się z wytchnieniem i odpoczynkiem, co Raven z biegiem lat coraz bardziej sobie ceniła. Im wyżej wznosiła się jej kariera, tym bardziej potrzebowała czegoś stałego. Z Brandem na pewno było podobnie.

Oboje od kilku tygodni koncertowali. Brand wreszcie przyjechał do siebie; w jakiś sposób ona też czuła, że odnajdzie tu swoje miejsce. Ten dom, choć stary i wielki, miał w sobie coś relaksującego. Być może właśnie dlatego, że jest stary i wielki, pomyślała. Ceniła tradycję i ciągłość pokoleń, bo została tego pozbawiona. Z tego samego powodu lubiła otwartą przestrzeń.

Od razu poczuła się tu dobrze. Urzekł ją szum morza, oszałamiał wspaniały widok. Podobała się jej staroświecka porcelanowa wanna na wygiętych nóżkach i owalne lustro w mahoniowej ramie nad niedużą umywalką na postumencie.

Wyszła z wanny i sięgnęła po ręcznik wiszący na grzejniku. Wytarła się, potem owinęła nim i odpięła spinkę przytrzymującą warkocze. Zadumana ruszyła do sypialni, rozplatając włosy.

Jej torba stała nierozpakowana, lecz nie zamierzała się teraz tym zajmować. Podeszła do okna i przyklękła na miękkim siedzisku.

Na dole pchane wiatrem fale uderzały o ciemnoszare skały, rozpryskując się spienionymi kaskadami, dudniąc i hucząc. Białe grzywy odcinały się od ciemnej toni, z ołowianych chmur spadał deszcz, krople wody rozbijały się na szybie i powoli spływały w dół. Raven położyła ręce na parapecie, oparła na nich głowę i z rozmarzeniem kontemlowała widok.

Rozległo się pukanie.

– Raven – powiedział przez drzwi Brandon.

– Proszę – powiedziała w zamyśleniu.

– Myślałem, że już jesteś gotowa, żeby zejść na dół.

– Za minutkę. Jaki niesamowity widok! Chodź i popatrz. Z twojego pokoju też jest taki? Mogłabym tak siedzieć i patrzeć w nieskończoność.

– To prawda, jest niesamowity. – Podszedł bliżej i stanął za Raven. – Nie wiedziałem, że morze cię tak pociąga.

– Zawsze mi się podobało, ale nigdy nie miałam takiego pokoju. Jakby morze było tuż pode mną. Będę je słyszeć przez całą noc. – Uśmiechnęła się przez ramię. – Dom w Irlandii też masz nad samym brzegiem?

– Nie. To zresztą bardziej farma niż dom. Chętnie bym cię tam zabrał. – Przesunął palcami po jej włosach. Były gęste, miękkie, trochę jeszcze wilgotne. – Znajduje się w zielonej, sielskiej okolicy, też pięknej, choć na inny sposób niż te strony.

– Tam ci się najbardziej podoba i tam cię najbardziej ciągnie, co? – zapytała z uśmiechem. – Mieszkasz w Londynie, tu przyjeżdżasz pracować, lecz dom w Irlandii jest dla ciebie najważniejszy.

– Gdyby nie to, że wszędzie mam masę krewnych i pociotków, tam byśmy pojechali pracować. To rodzina mojej mamy. Nadzwyczaj przyjaźni i towarzyscy ludzie. Jeśli praca nad musicaliem nam pójdzie dobrze i w miarę szybko, możemy tam pojechać na krótkie wakacje.

– Hm... chętnie – powiedziała z wahaniem.

– Świetnie. – Uśmiechnął się szerzej. – Podoba mi się twoja sukienka.

Podążyła za jego wzrokiem, kurczowo zacisnęła palce na zatkniętym na piersi ręczniku i poderwała się jak oparzona.

– Nie wiedziałam... zapomniałam. – Czują, że policzki jej płoną. – No wiesz, powinienes mi coś powiedzieć!

– Właśnie to zrobiłem. – Teraz kontemplował jej uda.

– Bardzo zabawne. – Uśmiechnęła się pogodnie. – No, pogapiłeś się, a teraz wyjdź, a ja się przebiorę.

– Musisz się przebierać? Jaka szkoda. – Dotknął ręcznika na jej piersi. – Naprawdę podoba mi się ta kreacja, i to bardzo. – Pochylił się do jej ust. – Pięknie pachniesz – wyszeptał, całując ją. – Jeszcze masz deszcz we włosach.

Zadudniło jej w głowie, instynktownie oddała pocałunek. Podsunęła się do Brandona i wspięła na palce. Całowała go żarliwie, lecz panował nad sobą, choć czuła, jak wiele go to kosztuje.

Przesunął dłoń niżej, do jej piersi. Z jej ust wydarł się zduszony okrzyk, ciało omdlewało. Brand podniósł głowę i poczekał, aż Raven otworzyła oczy.

– Mam posunąć się dalej?

Wlepiła w niego wzrok, rozpalona do bólu. To jej pozostawiał decyzję. Powinna być mu wdzięczna, cieszyć się, że do niczego jej nie przymusza, dlaczego jednak po prostu nie porwie jej w ramiona? Przez mgnienie nie chciała mieć wyboru, nie chciała o niczym decydować, tylko poddać się, ulec.

– Musisz być pewna – powiedział cicho, patrząc na nią z namysłem. – Niczego ci nie ułatwię. – Opuścił rękę. – Poczekał na dole, choć nadal uważam, że nie powinnaś się przebierać. W ręczniku wyglądasz rewelacyjnie.

– Brandon – powiedziała, gdy już dochodził do drzwi. Odwrócił się, znacząco uniósł brwi. – A gdybym powiedziała „tak”? – Uśmiechnęła się, czując się nieco pewniej, bo dzieliło ich kilka metrów. – Czy to nie byłoby trochę krępujące, skoro na dole jest pani Pengalley?

Brand oparł się o framugę, po czym oznajmił:

– Raven, gdybyś powiedziała „tak”, nie obchodziłoby mnie, że ktoś jest na dole, pani Pengalley czy pułk Jej Królewskiej Mości podczas manewrów. – Ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Już nazajutrz zabrali się do dzieła. Szybko ustalili rytm dnia. Skowronek Brand wstawał pierwszy, gimnastykował się, brał prysznic i zjadał porządne śniadanie. Gdy kończył, sowa Raven schodziła na dół. Kiedy mocna kawa wreszcie przywracała jej jasność umysłu, zasiadali do pracy. Kolo południa zjawiała się pani Pengalley. Robili wtedy przerwę i wychodzili na długi spacer, a przez ten czas gospodyni zajmowała się domem.

Dni stawały się coraz cieplejsze, w powietrzu przesyconym morską wilgocią czuło się zapach nadchodzącej wiosny. Okolica była piękna, lecz surowa. Jałową ziemię miejscami porastały skromne wrzosy, ani na chwilę nie ustawał miarowy huk fal rozbijanych o granitowe klify, na jego tle słychać było krzyk ptaków zamieszkujących urwiste skały. Patrząc z góry na ląd, widać było pobliską osadę, równo stojące domki i białą wieżę kościoła.

Po południu znów zabierali się do pracy. W kominku palił się ogień, jego ciepło przyjemnie grzało w plecy. Wieczorem, już po kolacji, robili przegląd całodziennych dokonań. Pod koniec tygodnia mieli ogólny zarys całości i gotowy utwór tytułowy.

Oczywiście nie cały czas szło im gładko. Każde z nich miało swoje zdanie, więc dochodziło do spięć, ale szybko osiągalni porozumienie. Dyskusje były ożywcze i inspirujące, dzięki nim efekt okazał się doskonały. Świetnie im się współpracowało.

Ich relacje były wyłącznie przyjacielskie. Brand nie naciskał ani nie prowokował, choć czasami Raven przyłapywała go, jak wpatrywał się w nią z napięciem. Takie chwile poruszały ją mocniej niż dotyk czy pocałunek. Brand zachowywał dystans, a to działało na nią mocniej niż zaloty. Gdyby próbował podchodów, mogłaby się opierać. Wiedziała, że to jej pozostawia decyzję. I

choć zachowywali się normalnie, pracując i żartując, atmosfera wyraźnie gęstniała.

Popołudnie się dłużyło, za oknami wciąż padał deszcz. Pogoda nie sprzyjała spacerom, więc darowali sobie wyjście na dwór. W przestronnym domu rozbrzmiewała muzyka, kolejne akordy odbijały się echem, wędrowały po kątach i zapomnianych strychach. Rozpalili w kominku, by przegnać wilgoć przesączającą się przez mokre od deszczu okna. Na stoliku stała taca z herbatą i ciasteczkami, lecz zacierzewieni dyskusją zupełnie o niej zapomnieli.

– Musimy podkreślić tempo – przekonywała Raven. – To jakoś nie brzmi.

– Przecież to nastrojowy utwór – stanowczo zaproponował Brandon.

– Ale nie pieśń żałobna, a tak to wychodzi. Ludzie zasną, nim Lauren dojdzie do końca piosenki.

– Gdy ona śpiewa, na pewno nikt nie zaśnie – zareplikował Brand. – To gorący, seksowny utwór, a ona potrafi go sprzedać.

– Wiem, że potrafi, ale nie z takim tempem. – Raven okręciła się przy fortepianie, by patrzeć Brandowi prosto w oczy. – Posłuchaj. Joe usypia przy maszynie do pisania, jest w połowie rozdziału. Śni o stworzonej przez siebie bohaterce. Zdaje sobie sprawę, że zaczyna tracić poczucie rzeczywistości, bo zakochał się w niej, choć wie, że Tessa nie istnieje, tylko jest wytworem jego wyobraźni. W środku dnia znowu zaczyna o niej marzyć, a ona obiecuje, że w nocy do niego przyjdzie.

– Raven, znam fabułę – rzekł sucho.

Zwężała oczy, lecz zachowała spokój. Czy jej się tylko wydało, że w jego głosie było skrywane zmęczenie? Raz czy dwa obudziła się w nocy, słysząc dochodzącą z dołu muzykę.

– Masz rację, to bardzo seksowny utwór, a tekst, który do niego napisałeś, jest po prostu fantastyczny. Jednak trzeba czegoś więcej. To musi poruszać.

– I tak będzie. – Pociągnął papierosa, zdusił go. – Chase potrafi wyśpiewać każdą nutę.

Raven prychnęła pod nosem. Brand miał świetne wyczucie, zwykle doskonale się sprawdzał, jednak była przekonana, że w tym przypadku to ona wie lepiej jako autorka i kobieta jednocześnie. Wiedziała, jak powinna zabrzmieć ta piosenka, by wywołać maksymalny efekt. Jak tylko przeczytała napisane przez Branda słowa, słyszała ją w głowie.

– Wiem, że Lauren wyśpiewa każdą nutę i poradzi sobie z choreografią. Zrobi jedno i drugie, pilnując tempa. Posłuchaj. – Nacisnęła klawisze. Brandon podniósł się i wstał.

Raven przyśpieszyła do *andante* i śpiewała, akompaniując sobie. Muzyka poniosła ją. Brand podszedł do okna i zapatrzył się w deszcz. W ciszy brzmiała gorąca, pełna niewypowiedzianych, namiętnych obietnic piosenka.

Głos Raven wzniósł się jeszcze wyżej, zaskakując nieoczekiwaną zmianą nastroju, kusząc i mamiąc, zdawał się przeskakiwać kolejne rejestry, tworząc muzykę z innego wymiaru. Szybkie tempo dawało ostry kontrast, który mocniej przemawiał niż łagodność zaplanowana przez Branda. Raven skończyła raptownie, zniżając głos do szorstkiego szeptu, nie wytłumiając go. Odrzuciła włosy do tyłu i przez ramię spojrzała na Brandona.

– I co? – zapytała z półuśmiechem.

Stał odwrócony tyłem, z rękami w kieszeniach.

– Zawsze musisz mieć rację, co?

Raven roześmiała się, obróciła na taborecie i popatrzyła na stojącego przy oknie Brandona.

– Umiesz prawić kobiecie komplementy. Aż serce mi zadrgało.

– Ona nie ma twojego zakresu. – Niecierpliwie podszedł do stolika i sięgnął po dzbanek z herbatą. – Nie wydaje mi się, by zdołała wydobyć te niskie tony.

– Hm. – Wzruszyła ramionami. – Lauren ma świetny styl, więc wyciągnie z tego wszystko, co tylko się da.

– Brand postawił nietkniętą filiżankę i podszedł do kominka, na co Raven ściągnęła brwi. – O co chodzi? Co się stało?

Dorzucił nowe polano do ognia.

– Nic się nie stało.

– To ten deszcz jest taki dołujący. – Podeszła do okna.

– Chociaż mnie nigdy deszcz nie przygnębiał. Czasami nawet był mi na rękę. W takie deszczowe ponure dni leniuchuję bez wyrzutów sumienia. Może i tobie to by dobrze zrobiło. Daj sobie dziś trochę luzu. W bibliotece masz szachy, może nauczysz mnie grać? – Położyła dłonie na jego barkach i czując napięte mięśnie, bezwiednie zaczęła je uciskać. – Z góry uprzedzam, że to będzie niewdzięczna robota. Julie uczyła mnie grać w tryktraka, ale się poddała. Orzekła, że nie mam drygu do strategii.

Urwała, bo Brand obrócił się raptownie i zdjął jej ręce ze swoich barków. Nie odzywając się, podszedł do barku, wyjął butelkę whisky, nalał sobie drinka i wypił go duszkiem.

– Nie mam dziś nastroju do gier – powiedział, nalewając sobie drugą szklaneczkę.

– W porządku, żadnych gier. – Raven podeszła do niego i popatrzyła mu w twarz. – Czemu się na mnie złościsz? Przecież nie z powodu piosenki.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Ogień w kominku zasyczał, przepalone polano rozpadło się, wzniesając iskry.

– Może nadeszła pora, byśmy wyjaśnili sobie parę spraw – powiedział Brand, poruszając szklaneczką z resztką drinka. – Nie jest dobrze, gdy pozostają niedopowiedziane przez tyle lat, bo nigdy nie wiadomo, kiedy wychyną na powierzchnię.

Przeszył ją niepokój, powiedziała jednak szczerze:

– Może masz rację.

– Postąpimy jak cywilizowani ludzie, usiądziemy i spokojnie porozmawiamy, czy raczej damy sobie po kilka szybkich ciosów?

– Możemy darować sobie cywilizowane podejście. – Wzruszyła ramionami. – Lepiej powiedzieć wszystko raz a dobrze.

– Zgoda – zaczął, lecz w tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Brand odstawił szklaneczkę, posłał Raven szybkie spojrzenie i wyszedł.

Chciała wykorzystać chwilę i uspokoić nerwy. Wiedziała, że zanoszą się na porządną burzę. Brand rwał się do walki, choć trudno powiedzieć dlaczego. Co więcej, chętnie stawia mu czoło. Od tylu dni atmosfera gęstniała. Starali się tego nie zauważać i koncentrować na muzyce, jednak Raven też już miała tego dość. Czas rozładować sytuację, oczyścić atmosferę.

Słyszając kroki Branda, podeszła do stolika i sięgnęła po filiżankę.

– Przesyłka dla ciebie – rzekł Brand, wchodząc do pokoju. – Od Hendersona.

– Ciekawe, co też mi przysłał. – Niecierpliwie zerwała taśmę oklejającą paczkę. – To próbne okładki do albumu, który wyjdzie w lecie. – Nie patrząc na Brandona, podała mu jedną, a sama zaczęła czytać napisy na odwrocie.

Przez kilka minut w milczeniu przyglądał się zdjęciu na stronie tytułowej. Raven siedziała po swojemu, ze skrzyżowanymi nogami, zwrócona do obiektywu. Na jej ustach igrał ledwie widoczny uśmiech, szare oczy patrzyły przed siebie, czarne włosy spływały na kolana, stanowiąc wyraźny

kontrast z miękkim, białym tłem. Niby przypadkowe ujęcie, lecz wprawne oko doceniłoby rękę profesjonalisty, który doskonale upozował Raven. Robiła wrażenie całkowicie nagiej, a efekt był piorunujący, innymi słowy, niebywale seksowny.

– Zaakceptowałaś to zdjęcie?

– Słucham? – Odgarnęła włosy. – Tak, widziałam próbne odbitki, nim wyjechałam w trasę. Nie jestem do końca przekonana co do kolejności piosenek, ale już za późno, by coś zmienić.

– Zawsze sądziłem, że Henderson nie zniży się do tego, by robić ci taki wizerunek.

– Jaki wizerunek? – zapytała z roztargnieniem.

– Dziewicy podsuwanej tłumom. – Podał jej okładkę.

– Brandon, no wiesz... to śmieszne.

– Ja tak nie uważam – oznajmił chłodno. – Wszystko idealnie dobrane: niewinna biel, miękkie światło, a na środku twoja naga postać.

– Nie jestem naga! Nie pozuję na golasa.

– Ale nabywca tego nie wie, prawda? – Oparł się o fortepian, patrząc na Raven zwięzonymi oczami.

– Zdjęcie jest prowokujące, oczywiście. Takie było założenie. – Zmarszczyła czoło, przyglądając się okładce.

– Nie ma w tym nic złego. Nie jestem dzieckiem i nie muszę być w nobliwej princesce. To jest biznes. W tej okładce nie ma nic złego. A na zdjęciu jestem bardziej okryta, niż gdybym była na plaży.

– Ale mniej przyzwoicie. I to robi różnicę.

Raven oblała się rumieńcem, ogarnęło ją zażenowanie.

– Tu nie ma nic nieprzyzwoitego. Nigdy nie pozowałam do wyuzdanych zdjęć. Karl Straighter jest jednym z najlepszych fotografików. Nie robi nieprzyzwoitych zdjęć.

– Co dla jednego jest sztuką, dla drugiego jest zwykłym pornosem.

Oczy się jej rozszerzyły, odłożyła okładkę.

– Jak mogłeś coś takiego powiedzieć? – wyszeptała.

– Specjalnie jesteś taki okropny.

– Powiedziałem tylko, co o tym myślę. – Uniósł brwi. – Nie musisz dzielić mojej opinii.

– Nie potrzebuję twojej opinii. Ani twojej aprobaty.

Zgniół papierosa.

– To prawda, nie potrzebujesz, jednak i tak ją usłyszysz. – Złapał ją za ramię, gdy chciała się odwrócić. Mocno zaciskał palce, choć mówił z lodowatym spokojem, mroząc ją wzrokiem.

– Puść mnie – wycedziła, daremnie próbując się oswobodzić.

– Dopiero gdy skończę.

– Już skończyłeś. – Mówiła cicho, powoli. Już się nie wrywała. Patrzyła mu prosto w oczy, na jej twarzy malowały się gwałtowne emocje. – Nie muszę cię słuchać, gdy mnie obrażasz. I nie zamierzam cię słuchać. Możesz mnie przyblokować, bo jesteś silniejszy, lecz nie zmusisz mnie, bym ciebie słuchała. – Przełknęła ślinę. – Mam własne życie. Możesz mieć swoje zdanie, ale nie masz prawa mi ubliżać. Nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Pozwól mi odejść.

Milczał tak długo, że już się bała odmowy, jednak rozluźnił uścisk, a Raven uwolniła ramię, po czym bez słowa wyszła z pokoju.

Spała, lecz dręczyły ją dziwne sny. Może przywołał je deszcz tłukący o szyby, może gwałtowny grzmot i oślepiający błysk, a może napięte nerwy.

Napłynęły mgliste wspomnienia z dzieciństwa, nie jakieś konkretne obrazy, a jedynie strzępy zatrzymanych w pamięci fragmentów zdarzeń, niejasne poczucie winy, nieokreślonego lęku i rozpacz. Przewracała się z boku na bok, chcąc się obudzić, wrócić do rzeczywistości, wyrwać z tego świata zapisanego w podświadomości. Huk pioruna eksplodował niemal w jej głowie, błyskawica rozświetliła pokój upiornym światłem. Raven z przejmującym krzykiem usiadła na łóżku.

Gdy Brand wpadł do pokoju, w pokoju znów zaległa nieprzenikniona ciemność. Po omacku znalazł drogę do łóżka, gdzie Raven szlochała rozdzierająco.

– Kochanie, już dobrze. – Nim jeszcze wyciągnął do niej ręce, przywarła do niego. Drżała na całym ciele, skórę miała zimną jak lód. Brand otulił ją kołdrą i przytulił. – Nie płacz, kochanie. Tu nic ci nie grozi. – Gładził ją, poklepywał czule. – Burza zaraz się skończy.

– Trzymaj mnie. – Przycisnęła twarz do jego nagiego ramienia. – Proszę, trzymaj mnie mocno. – Oddychała płytko, nierówno. – Miałam okropny sen.

Kołysał ją łagodnie. Musnął ustami jej skroń.

– Co ci się śniło? – Pamiętał z dzieciństwa, że opowiedziany sen przestawał budzić lęk.

– Ona znowu zostawiła mnie samą – wyszeptała Raven, wzdrygając się lekliwie. Brand przygarnął ją mocniej. Słowa wydobywały się same, bez jej woli, bezładne i pogmatwane jak ten sen. – Nienawidziłam zostawać sama w tamtym pokoju. Było ciemno, tylko neon na sąsiednim budynku zapalał się na czerwono i gasł, i tak bez końca. Ciemno i zaraz robiło się czerwono. I było tak głośno, nawet przy zamkniętych oknach, ten hałas z ulicy. Było gorąco, za gorąco, żeby spać – szeptała z ustami przy jego barku. – Wpatrywałam się w neon i czekałam, kiedy wreszcie przyjdzie do domu. Znowu była pijana. –

Zadrzała, zaciskała i rozprostowywała palce. – Przyprowadziła jakiegoś pana. Zasłoniłam głowę poduszką, żeby niczego nie słyszeć. – Urwała, by ochłonać i uspokoić oddech. W ramionach Branda otulały ją miękka ciemność i cisza. Na dworze huczała burza. – Spadła ze schodów i złamała rękę. Musiałyśmy się wyprowadzić. Wciąż się przeprowadzałyśmy. I za każdym razem było tak samo: ciasne, duszne pokoiki, wszechobecny zapach alkoholu, którego nie dało się niczym zagłuszyć, ściany, przez które wszystko było słychać. Wciąż mi obiecywała, że to ostatni raz i na pewno będzie inaczej. Zaczynała nową pracę, ja szłam do szkoły... lecz zawsze kończyło się tak samo. Wracałam do domu, a tam był jakiś facet. I butelka. – Nie wtulała się już w Branda; opierała się o niego znużona, jakby opuściły ją siły. Znowu rozbłysła błyskawica, lecz Raven nawet nie drgnęła.

Brand odsunął ją delikatnie i uniósł jej głowę. Z jej oczu płynęły łzy, ale oddech stał się równiejszy. W ciemności widział tylko zarys jej twarzy.

– Gdzie był twój ojciec?

Podniosła na niego oczy. Lśniły w mroku. Z jej piersi wydarł się cichy dźwięk, jakby dopiero teraz się obudziła. To, co przed chwilą usłyszał, mówiła na granicy jawy i snu, lecz było już za późno, by się wycofać. Westchnęła ciężko.

– Nie wiem, kto nim był. – Powoli uwolniła się z objęć Branda i się podniosła. – Za dużo ich było.

Nic na to nie powiedział. Sięgnął do kieszeni, wyjął pudełko zapalek i zapalił świecę stojącą na nocnej szafce. Płomyk zamigotał, na ścianie pojawiły się drżące cienie.

– Jak długo tak mieszkałaś?

Raven przeciągnęła palcami po włosach, skrzyżowała ramiona. Zbyt dużo mu powiedziała, by teraz się wykręcić.

– Nie pamiętam czasów, kiedy mama nie piła, ale gdy byłam bardzo mała, miałam pięć, może sześć lat, jeszcze nad tym panowała. Występowała w klubach, miała wielkie plany i przeciętny głos, ale była śliczną kobietą... kiedyś. – Umilkła, przycisnęła palce do oczu, ocierając łzy. – Lecz podła whisky robiła swoje. Gdy miałam osiem lat, matka już nad nią nie panowała, no i zawsze kręcili się koło niej mężczyźni. Nie mogła się bez nich obyć, tak jak bez alkoholu, lepsi i gorsi, i całkiem źli... Jeden z tych dobrych kilka razy zabrał mnie do zoo... – Urwała, odwróciła się. Brand wpatrywał się w tańczący płomyk świecy odbijający się na cienkiej nocnej koszuli. – Mama staczała się coraz niżej. Stresowała się, bo zaczynała tracić głos. Sama była temu winna, bo wciąż piła i paliła. Im słabiej śpiewała, tym bardziej się odurzała. Zniszczyła głos i zdrowie, straciła szansę na zrobienie kariery. Czasami naprawdę jej nienawidziłam. Ona siebie też, wiem o tym. – Załkała, po chwili opanowała się i zaczęła krążyć po pokoju. Słowa wylewały się z niej, jakby w końcu pękła jakaś tama: – Płakała, przytulała mnie i błagała, żebym jej nie nienawidziła. Snuła marzenia, robiła wielkie plany. Zwykle kończyło się tym, że zaczynałam wierzyć w te mrzonki. – Westchnęła. – Gdy nie piła, była kochającą mamą, a po drinku zapominała o moim istnieniu. Jakbym mieszkała z dwiema zupełnie różnymi osobami, a z żadną z nich nie było łatwo. Kiedy była trzeźwa, traktowała mnie surowo. Sprawdzała, czy mam odrobione lekcje, dopytywała się, czemu przyszłam ze szkoły pięć minut po czasie. Gdy popiła, musiałam schodzić jej z oczu. Kiedyś, skończyłam wtedy dwanaście lat, miała okres abstynencji. Przez trzy miesiące i szesnaście dni. Skończyło się, gdy wróciłam ze szkoły, a ona leżała na łóżku nieprzytomna. Potem tłumaczyła się, że miała iść na przesłuchanie do podrzędnego klubu i wypiła drinka na odwagę. Tylko jednego... – Wzdrygnęła się, objęła się ramionami. – Zimno tu – wyszeptała.

Brand podszedł do kominka, dołożył drewna do węgla, podpalił je. Raven zatrzymała się przy oknie i zapatrzyła się na morze. Jeszcze błyskało, ale burza zaczynała cichnąć.

– Bywało bardzo różnie. Mieszkałyśmy w Houston, mama była kelnerką w niewielkiej knajpce. Miałam wtedy szesnaście lat. W dzień wypłaty zawsze tam przychodziłam. Pilnowałam, żeby mama nie roztrwoniła pieniędzy, nim kupię jedzenie. To był dobry okres. Mama pracowała od sześciu tygodni, nie piła, miała romans z szefem baru. Dobrze mnie traktował. Gdy bar był pusty, mogłam grać na pianinie. Jeden z facetów mamy był muzykiem i nauczył mnie podstaw. Powiedział, że mam dobry słuch. Mama lubiła słuchać mojej gry. – Znow umilkła. Brand obserwował, jak przesuwa palcem po ciemnej tafli okna. – Ben, szef baru, zaproponował, bym grała w czasie lunchu. Mogłam też śpiewać, choć z uwagi na mój wiek nie wolno mi było rozmawiać z klientami, by się nie domyślili, ile mam lat. I tak to się zaczęło. – Westchnęła, potarła dłonią oczy. Zatrzeszczał ogień w kominku, zrobiło się jaśniej. – Z Houston pojechałyśmy do Oklahoma City. Dodałam sobie lat i zaczęłam śpiewać w klubie. Z mamą było już naprawdę kiepsko. Bałam się zostawić ją samą, ale nie pracowała, więc... – Urwała, potarła skroń. Chciała nic więcej nie mówić, lecz nie mogła już się wycofać. Oparła czoło o szybę, próbując uporządkować myśli. – Potrzebowałyśmy pieniędzy na życie, więc musiałam ryzykować i zostawiać ją w domu. Na jakiś czas zamieniłyśmy się rolami – wyszeptwała. – Od dziecka wiedziałam, że alkoholik zawsze znajdzie sposób, by zdobyć coś do wypicia, choć komuś może się to wydać niemożliwe. Któregoś wieczoru, podczas drugiej części występu, mama wtoczyła się do baru. Wayne pracował tam jako kelner. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji i nie dopuścił matki do mnie. Uciszył ją, nim doszło do skandalu. Potem pomógł mi zaprowadzić ją do domu i położyć do łóżka.

Zachował się wspaniale. Nie pouczał mnie, nie litował się nade mną, nie dawał dobrych rad. Po prostu mnie wspierał. – Odwróciła się od okna i podeszła do kominka. – Do mamy niewiele z tego docierało. Znowu któregoś wieczoru przysłała do baru, potem jeszcze raz. W końcu podziękowali mi za współpracę. Przeprowadziłyśmy się do innego miasta, śpiewałam w kolejnych klubach, ale wciąż było tak samo. Teraz to już nie ma znaczenia. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, zostawiłam ją i odeszłam. – Głos jej się łamał.

– Wróciłam w nocy do domu. Mama siedziała przy kuchennym stole spita do nieprzytomności. Przed nią stała wielka butla po tanim winie. Wiedziałam, że jeśli zostanę z nią, to po prostu zwariuję. Położyłam ją do łóżka, spakowałam trochę rzeczy, zostawiłam jej tyle pieniędzy, ile mogłam, i wyszłam z domu. Tak to było.

– Zakryła oczy palcami i trwała tak przez chwilę. – Poczułam się, jakbym po raz pierwszy w życiu wreszcie zaczęła oddychać.

Weszła do kuchni. Przechodząc, pochwyciła swoje niewyraźne odbicie. Zapatrzyła się na nie, wsłuchując się w bębnienie deszczu.

– Wreszcie dotarłam do Los Angeles, gdzie zobaczył mnie Henderson. To on mnie popchnął. Sama nie wiem, jakie wtedy miałam ambicje, pewnie zależało mi tylko na przeżyciu. Zaczęłam współpracę z Hendersonem. Podpisałam pierwsze kontrakty, zaczęły się sesje nagraniowe, otwierały się przede mną kolejne drzwi. Niektóre wiodły prosto na stracenie – dodała z cichym śmiechem – ale jakoś je omijałam. Nowy świat był zachwycający i przerażający zarazem. Nie wiem, czy mogłabym przejść przez te pierwsze miesiące jeszcze raz. Tak czy inaczej Henderson wydobył mnie z cienia, zyskałam rozgłos, a pierwszy singiel stał się prawdziwym początkiem mojej kariery. To stało się niebywale szybko. Wtedy dostałam telefon ze szpitala w Memphis. – Zaczęła krążyć po pokoju. Jedwabna koszulka przywarła do jej

ciała, zafalowała. – Pojechałam do niej. Była w fatalnym stanie. Jej ostatni facet pobił ją i okradł ze wszystkich pieniędzy. Niewiele ich miała, ale zawsze. Płakała i znowu powtarzała te same obietnice. Zaklinała się, że żałuje, mówiła, jak bardzo mnie kocha, przysięgała, że już nigdy więcej nie sięgnie po alkohol.

Powtarzała, że ma tylko mnie, że jestem tym jedynym, co dobrego spotkało ją w życiu. – Z oczu Raven znów popłynęły łzy, lecz już ich nie powstrzymywała. – Jak tylko doszła do takiego stanu, że mogła ze mną pojechać, Julie wyszukała klinikę odwykową i bardzo zaangażowanego młodego lekarza. Był mocno przejęty swą misją. Zabrał mnie do luksusowo urządzonego gabinetu i zaczął wyjaśniać, jakiemu leczeniu poddadzą moją matkę. – Popatrzyła na Branda. Szlochała, ramiona jej drżały. – Nie chciałam tego słuchać, nie chciałam niczego wiedzieć! Chciałam tylko, żeby coś z nią zrobili. Gdy ostrzegł mnie, bym nie obiecywała sobie zbyt wiele, powiedziałam, że nie mam absolutnie żadnej nadziei. Chyba uznał mnie za bezduszną i cyniczną, bo zasugerował kilka sprawdzonych organizacji, gdzie mogłabym poszukać wsparcia, kogoś, kto by ze mną pogadał. Przypomniał, że alkoholizm jest poważną chorobą, a moja matka ofiarą. Podczas gdy to ja uważałam się za ofiarę! Wykrzyczałam mu to! – dodała z mocą. – Bo to ja byłam ofiarą. Ja musiałam z nią żyć, znosić jej kłamstwa, niedyspozycje, facetów. Temu świętoszkowatemu doktorkowi w nieskalanym białym fartuchu łatwo było tak gadać, bo sam tego nie przeżył. Nienawidziłam jej. – Łkając, zacisnęła pięści i przycisnęła je do oczu. – I kochałam. – Głos jej się łamał. Napłynęły wspomnienia tych ostatnich tygodni, gdy mama znów była na detoksie. – I nadal ją kocham... – wyszeptała. – Doktor Karter dał mi się wykrzyczeć, a potem, gdy para ze mnie uszła i całkiem się załamalam,

porozmawiał ze mną długo, od serca. Wróciłam do domu, a oni rozpoczęli terapię. Dwa dni później poznałam ciebie.

Nie słyszała jego kroków, nie wiedziała, że stanął tuż za nią. Położył ręce na jej barkach. Odwróciła się i padła mu w ramiona. Tulił ją, czując, jak cała drżała, i wpatrywał się w tańczące płomyki. Na zewnątrz burza ustała i tylko deszcz miarowo bębnił o szyby.

– Raven, gdybyś mi wtedy powiedziała, może mógłbym ci jakoś pomóc.

Potrząsnęła głową, a potem wtuliła twarz w jego tors.

– Nie rozumiesz? Chciałam odepchnąć to wszystko od siebie. Nie czułam się na siłach, by się z tym mierzyć. – Cofnęła się, by popatrzeć mu w oczy. – Bałam się, że jeśli się dowiesz, nie będziesz chciał mieć ze mną nic wspólnego.

– Raven... – powiedział cicho, z urazą.

– Wiem, że to było głupie, ale postaw się na moim miejscu. Moje życie radykalnie się odmieniło, wszystko działo się naraz. Potrzebowałam czasu. Musiałam zastanowić się nad tym, co chcę robić, jak planować moją karierę, jak będzie z mamą, ze wszystkim. – Zacisnęła palce na jego ramionach. – Popatrz na to moimi oczami. Jednego dnia byłam nikim, a następnego oblegały mnie setki fanów. Gdzie się nie obejrzałam, były moje zdjęcia. Za każdym razem, gdy włączyłam radio, słyszałam siebie. Dobrze wiesz, jak to jest.

Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów.

– Tak, wiem, jak to jest. – Czuł, że Raven zaczyna się powoli rozluźniać.

– Nim zdążyłam trochę ochłonąć, mama znów wdarła się w moje życie.

W jakimś stopniu nienawidziłam jej, ale zamiast zrozumieć, że to normalna reakcja, z którą muszę sobie poradzić, czułam się winna. Miałam wyrzuty sumienia. I było mi wstyd. Nie – potrząsnęła głową, uprzedzając jego słowa –

nie mów mi, że nie miałam powodu do wstydu. Nie przeżyłeś tego, nic nie wiesz. To moja matka. Nie mogę zdystansować się do niej, nawet wiedząc, że nie ponoszę odpowiedzialności za to, co się z nią stało i że sama sobie zgotowała ten los. – Popatrzyła na niego wymownie. – Jakby tego było mało, zakochałam się w tobie. – Patrzyła na tańczące płomienie. – Kochałam cię – wyszeptała tak cicho, że Brand pochylił się, by lepiej słyszeć – ale nie mogłam zostać twoją kochanką.

Wyciągnął do niej rękę, opuścił je bezwolnie.

– Dlaczego?

– Bo wtedy byłabym taka jak ona...

– Raven, nie wierzysz w to, co mówisz. – Gdy w milczeniu potrząsnęła głową, zmusił ją, by na niego spojrzała. – Masz zwyczaj potępiać dzieci za błędy popełnione przez rodziców?

– Nie, ale...

– Nie masz prawa oceniać siebie w ten sposób. Z westchnieniem zamknęła oczy.

– Wiem. Wiem o tym, ale...

– Raven, w tym wypadku nie ma żadnego „ale”. – Zaciśnął palce i nie puszczał jej, nim nie otworzyła oczu.

– Wiesz, kim jesteś.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko szum morza, bębnienie deszczu i trzaskanie ognia w kominku.

– Pragnęłam cię – wyszeptała drżącym głosem – kiedy mnie obejmowałeś, dotykałeś. Nigdy wcześniej nie pragnęłam żadnego mężczyzny. I wtedy przypominałam sobie te ponure pokoiki, facetów, z którymi była moja mama...

Puścił jej ramiona, a potem powoli, nie odrywając od niej oczu, ujął w dłoń jej twarz.

– Przespanie się z kimś obcym to nie to samo co pójście do łóżka z kimś, kogo kochasz.

– Wiem, ale... – Zwilżyła językiem wargi.

– Wiesz? Nie, nie wiesz... Pokazać ci, jak to jest?

– Przytrzymał jej wzrok.

Wiedziała, że wystarczy, by pokręciła głową, a Brand puści ją wolno. Czuła igiełki strachu na skórze. Krew się w niej gotowała. Dotknęła jego nadgarstków.

– Tak.

Delikatnie odsunął włosy opadające jej na policzki, a potem pochylił się i ucałował zamknięte oczy. Czuł, jak Raven drży w jego ramionach. Nadal trzymała go za przeguby. Zaciśnęła palce mocniej, gdy dotknął ustami jej warg. Całował ją lekko, z czułością.

Te spokojne, nieśpieszne pocałunki oszalały ją. Poddawała się pieścizocie najpierw nieśmiało, a potem coraz odważniej reagując na pocałunki, ciesząc się dotykiem dłoni Brandona błędzących po jej szyi i ramionach. Ciepłe światło migoczących płomieni oblewało ich czerwonożłotym blaskiem, cienie tańczyły na ścianach. Czuła ciepło bijące od kominka, lecz to wewnętrzny żar palił ją coraz mocniejszym ogniem.

Brand przesuwiał rękami po jej ramionach, masując napięte mięśnie, muskając zębami jej usta. Ramiączka zsunęły się niżej, cienka tkanina spłynęła na podłogę. Raven poruszyła się niespokojnie, lecz zdusił jej opór pocałunkiem. Jego dłonie coraz śmieiej błędziły po niej, rozbudzając jeszcze bardziej, potęgując pulsujące w Raven dzikie pragnienie. Porwał ją na ręce i położył na łóżku. Wezbrał w niej lęk, lecz żarliwe pocałunki Branda roztopiły

jej wątpliwości. Poddawała mu się z radością, rozluźniając się coraz bardziej, rozkosznie ociążała, delektując się każdą sekundą i każdą pieszczotą. Nigdy w życiu nie doświadczała takich emocji i takich uniesień. Brandon potrafił poruszyć w niej każdą czułą strunę, odkryć wszystko, czego wcześniej nawet nie przeczuwała. Gdzieś w tle migotały płomyki. Widziała ich blask przez opuszczone powieki, na skórze czuła miękki dotyk pościeli, z kominka dochodził przyjemny zapach palonego drewna, wśród syku ognia i szumu deszczu słyszała szept Brandona powtarzającego jej imię.

Oddychała coraz szybciej, przyciągając do siebie jego twarz, obejmując go coraz mocniej, zatracając się w pieszczotach, płonąc i pragnąc jeszcze więcej i więcej, aż do utraty tchu, do całkowitego zapomnienia. Jak przez mgłę poczuła błysk bólu, po którym zalała ją fala rozkoszy. Brand zagłuszył jej krzyk, przykrywając usta pocałunkiem, i świat przestał istnieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leżąc z głową opartą na ramieniu Brandona, wpatrywała się w ogień. Jej dłoń spoczywała na jego piersi. W pokoju było cicho, tylko deszcz za oknem szumiał cichutko. Brand obejmował ją ramieniem, czuła jego ciepło. Nie poruszał się, chyba spał. Przyjemnie było leżeć w jego objęciach, patrzeć na migoczące płomyki i wsłuchiwać się w melodię kropli bębniących w szyby. Uniosła głowę i popatrzyła na Branda. Nie spał, miał wzrok wbity w sufit. Dotknęła dłonią jego policzka.

– Myślałam, że śpisz.

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

– Nie, ja tylko... – Popatrzył na nią, umilkł, po chwili delikatnie otarł łzę z jej rzęs. – Sprawilem ci ból.

– Nie. – Wtuliła twarz w jego szyję, otulając się jego ciepłem i zapachem. – Sprawileś, że czuję się wspaniale. Czuję się... wolna. – Podniosła na niego wzrok, uśmiechnęła się. – Czy to głupio zabrzmiało?

– Skądże. – Przesunął dłonią po jej długich włosach, odgarnął je na bok. Miała zaróżowioną buzię, w oczach odbijały się migoczące ogniki. – Jesteś taka piękna.

– Zawsze tak myślałam o tobie. – Pocałowała go.

Roześmiał się, przygarnął ją do siebie.

– Naprawdę?

Przyjemnie było leżeć na jego ciepłej piersi.

– Zawsze myślałam, że byłaby z ciebie śliczna dziewczyna. I się nie myliłam, sądząc po zdjęciu twojej siostry.

– Ciekawe, że nigdy mnie nie tknęło, w jakim kierunku szybują twoje myśli. Może to i lepiej.

Roześmiała się. Uwielbiała, gdy zaczynał mówić jak typowy Brytyjczyk.

– Ale facetem jesteś jeszcze lepszym.

– I całe szczęście. – Zaczął gładzić ją po plecach. – Zwłaszcza w takiej sytuacji.

– Wolę, że jesteś mężczyzną. – Pocałowała go w szyję, potem w ucho. – Brandon... – szepnęła – jesteś dla mnie taki wyrozumiały, taki delikatny i czuły.

Z dzikim pomrukiem przetoczył się na nią, jego zielone oczy zaśniły. Przez mgnienie wyglądał tak jak wtedy w samolocie. Serce zatrzepotało jej w piersi, lecz tym razem to nie był strach.

– Raven, miłość nie zawsze jest delikatna – powiedział chrapliwie. – Nie zawsze jest czuła.

Zmiażdżył jej usta wargami. Już nie był taki opanowany i uważny jak wcześniej; miała wrażenie, że tama powstrzymująca szalejące w nim emocje nagle pękła i teraz kierowała nim jedynie dzika, nieokiełznana namiętność. Co na nią niesamowicie podziałało.

– Tyle czasu – mruknął. – Tyle czasu o tobie marzyłem. – Jego usta paliły jej skórę, zmysłowy dotyk uwodził i oszalał. Ogień, który w nim buzował, udzielił się również jej. Pragnęła Brandona całą sobą, całym swym jestestwem, on zaś niczego nie przyśpieszał, rozkoszując się każdą chwilą, każdą pieszczotą. Nie opierała się, przeciwnie, radośnie podążała drogą, którą ją prowadził, rozpalona i roznamiętniona, otwarta na te nowe doznania, chętna do odkrywania mrocznych miłosnych sekretów. Oboje wznieśli się ponad przestrzeń i czas, zatracając się w uniesieniu, a potem, splątani uściskiem, powoli powracali na ziemię.

Polano przewróciło się w kominku, sypiąc iskry. Brand uniósł głowę, popatrzył na Raven i delikatnie pocałował jej usta. Zaczął wstawać.

– Nie odchodź – poprosiła, przytrzymując go za ramię.

– Tylko dołożę do ognia.

Przycisnęła kolana do piersi i patrzyła, jak podkłada nowe polana. Płomienie tańczyły na jego skórze. Był szczupły, lecz już poznała siłę jego twardych mięśni. Odwrócił się i popatrzył na nią. Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem, jeszcze nie wierząc w to, co przed chwilą przeżyli. Nagle Brand potrząsnął głową.

– Boże, Raven, ja znowu ciebie chcę.

Wyciągnęła do niego ramiona.

Obudził ją jasny promień słońca. Raven powoli otworzyła oczy i odwróciła się do Branda. Jeszcze spał, oddychał równo i głęboko. Korciło ją, by odgarnąć niesforne pasemko włosów opadające mu na twarz, lecz zwalczyła pokusę. Niech jeszcze pośpi. Po raz pierwszy obudziła się, patrząc na śpiącego obok niej mężczyznę. Było jej cudownie, po prostu bosko.

Jest piękny, pomyślała, przypominając sobie jego zakłopotanie, gdy wczoraj mu to powiedziała. I kocham go. Omal nie powiedziała tego na głos. Zawsze go kochałam, od samego początku. I przez te wszystkie lata. A teraz kocham go jeszcze mocniej. Tylko tym razem nie popełnię błędu. Zamknęła oczy, zdjeta nagłym lękiem, że znów mogłaby go stracić. Nie, żadnych nalegań, myślała gorączkowo. Żadnej presji. Po prostu będziemy razem, niczego więcej nie chcę.

Popatrzyła na jego usta. Potrafiły być takie czułe i takie spragnione, niemal brutalne. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Brand jej pragnął, jak szaleńczo pożądał. I ona jego. Tej nocy otworzyły się jej oczy, pękły bariery. Pięć lat, pięć straconych lat! Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie ma już przeszłości, nie ma jutra, liczy się tylko to, co jest teraz.

Uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie obfite śniadania, które szykował sobie Brand. Zwykle schodziła na dół, gdy sprzątał ze stołu talerze. Niespecjalnie radziła sobie w kuchni, ale nasza ją chęć, by zrobić mu niespodziankę i przygotować śniadanie. Ostrożnie oswobodziła się spod jego ramienia, sięgnęła po szlafrok i po cichutku zeszła na dół.

Kuchnia tonęła w słonecznym blasku. Pierwsze, co zrobiła, to nastawiła ekspres. Wszystko po kolei. Dziwne, ale wcale nie była senna, przeciwnie, rozpierała ją energia. Zupełnie jak po koncercie. Może coś w tym jest. Na scenie też otwiera się przed publicznością, ujawnia emocje, burzy bariery. Tak jak teraz z Brandem. Uśmiechnęła się na tę myśl, po czym sięgnęła po patelnię.

Na górze Brand wyciągnął rękę, po omacku szukając Raven. Otworzył oczy. Raven zniknęła. Pośpiesznie usiadł, rozejrzał się po pokoju. W kominku jeszcze płonął ogień, przez rozsunięte zasłony wlewało się słońce. Na podłodze leżała nocna koszulka Raven, tam, gdzie wczoraj upadła.

To nie był sen, uświadomił sobie, przeciągając palcami po czuprynie. Byli z sobą, kochali się szaleńczo, aż do utraty tchu, a potem usnęli w swoich ramionach. Popatrzył na puste miejsce. Gdzie ona się podziała? Poczł panikę. Poderwał się z łóżka, włożył dżinsy i wyszedł z pokoju.

Nim doszedł do schodów, usłyszał śpiew:

Każdego ranka, budząc się,

ujrzę twoje oczy.

I będzie już tylko miłość,

żadnych pożegnań.

To o tej piosence mówił, gdy przekomarzał się z Raven podczas wieczornej przejażdżki po Los Angeles. Odetchnął. Zszedł na dół, wsłuchując

się w nieco chrapliwy głos. Zatrzymał się w progu kuchni i patrzył na krzątającą się Raven.

Była rozradowana. W kuchni cichutko perkotał ekspres, na patelni skwierczały kielbaski, brzdękały naczynia. Raven była w szlafroku, miała rozpuszczone, potargane włosy. Wspięła się na palce, by sięgnąć na najwyższą półkę szafki.

Zakłęła zabawnie, z trudem dosięgając talerza. Kiedy stanęła i odwróciła się, spostrzegła Branda. Zaskoczona jego widokiem, upuściła widelec, w ostatniej chwili zaciskając palce na talerzu.

– Brandon! – Złapała się dłonią za gardło. – Ale mnie przestraszyłeś! Nie słyszałam, jak zszedłeś.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Nie poruszył się. Stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w Raven.

– Kocham cię – powiedział wreszcie.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami, usta jej drżały. Powtarzała sobie w duchu, że to tylko słowa i nie powinna przypisywać im nadmiernego znaczenia. Schyliła się po widelec.

– Ja też ciebie kocham – powiedziała spokojnie.

Zmarszczył czoło, nie odrywając od niej oczu. Raven odkręciła wodę, by opłukać widelec.

– Mówisz jak moja siostra. Mam już dwie, nie potrzeba mi następnej.

Starła się panować nad emocjami. Uśmiechnęła się z wymuszonym spokojem.

– Nie myślę o tobie jak o bracie. – Odwróciła się, by wyjąć filiżanki i spodeczki. – Nie jest mi łatwo opisać, co czuję. Potrzebowałam twojego współczucia i wsparcia. Naprawdę bardzo mi wczoraj pomogłeś.

– Teraz mówisz, jakbym był jakimś cholernym lekarzem. Raven, powiedziałem, że cię kocham. – Jego głos zabrzmiał inaczej, ostrzej.

Odwróciła się, popatrzyła na niego wymownie.

– Nie musisz poczuwać się do... – Urwała, bo w jego oczach zapalił się gniewny blask.

Brand wpadł do kuchni, wyłączył gaz pod patelnią i wyrwał z kontaktu kabel od ekspresu.

– Nie mów mi, co mam robić! – ryknął. – Bo sam to wiem. – Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął. – Muszę cię kochać. To silniejsze ode mnie. Po prostu tak już jest.

– Brandon...

– Zamilcz! – Przygarnął ją, zgniół jej usta pocałunkiem. – Nie mów, że mnie kochasz, tym chłodnym, spokojnym tonem. Chcę od ciebie więcej, o wiele więcej.

– Jego palący wzrok przeszywał ją do głębi. –I tak będzie!

– Brandon. – Brakowało jej tchu, wirowało w głowie. Zaśmiała się. To nie sen. – Uważaj, bo te filiżanki zrobią mi dziurę w brzuchu. Puść mnie, muszę je odstawić.

– Zamruczał coś, lecz zdołała na chwilę się oswobodzić i postawić naczynia na blat. – Brandon! – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Będziesz miał więcej, masz wszystko. Bałam się, byłam głupia, ale bałam się powiedzieć ci, jak bardzo cię kocham. – Ujęła jego twarz, by patrzeć mu prosto w oczy. – Brandon, kocham cię.

Przypadli sobie do ust.

– Musisz na chwilę wstrzymać się z kawą – wyszeptał, całując jej szyję i niosąc w stronę sypialni.

– To za daleko – szepnęła.

– Masz rację. – Skręcił do pokoju muzycznego, gdzie opadli na kanapę.
– A tutaj? – Wsunął rękę pod jej szlafrok, by dotknąć skóry.

– Tu zawsze dobrze nam szło – skomentowała ze śmiechem, przesuając ręką po jego ramionach, jakby jeszcze nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę.

– Tajemnica polega na tym – zaczął Brand, muskając ustami jej kark – by mieć odpowiednią melodię.

– Melodia nie wystarczy, jeśli nie będzie dobrego tekstu.

– W muzyce słowa nie zawsze są konieczne. – Przesuwał dłonie ku jej piersiom.

– To prawda – przyznała, gładząc go po ramionach i plecach. – Istotna jest harmonia, by dwie wyraziste nuty pasowały do siebie i wzajemnie się wzmacniały.

– Łączyły się – dopowiedział szeptem. – Jestem jak najbardziej za. – Rozwiązał pasek jej szlafroka.

– Och! – wykrzyknęła. – Pani Pengalley... niedługo się tu zjawi.

– To ostatecznie przypieczętuje jej opinię na temat ludzi z show-biznesu. – Zniżył usta do jej dekoltu.

– Brandon, nie, och, przestań! – Śmiała się, jęczała i wyrywała jednocześnie.

– Nie mogę – odparł z powagą, całując jej szyję. – To jest dzika żądza. Nie mogę nad nią zapanować, aż taka jest dzika. – Pocałował Raven. – Poza tym dziś jest niedziela, więc gospodyni ma wolne.

– Niedziela? Wolne? Dzika żądza? – wyrzucała z siebie pytania.

– Oczywiście. Udowodnić ci?

– Tak – wyszeptała, przyciągając do siebie jego twarz. Dużo później siedziała na dywaniku przed kominkiem

i przyglądała się, jak Brand rozpala ogień. Podgrzała kawę i przyniosła ją wraz z kiełbaskami. Brandon włożył džinsy i sweter, ona nadal była w szlafroku. Trzymając filiżankę, ziewnęła z zadowoleniem. Czuła się jak kot wylegujący się w plamie słonecznego światła.

– O czym myślisz? – zapytał, wyciągając się na podłodze obok niej.

– Jaka jestem szczęśliwa. – Podała mu kawę, pochylając się i muskając jego usta. Było tak zwyczajnie i dobrze.

– Jaka szczęśliwa? – dociekał z uśmiechem.

– Niewyobrażalnie. Na granicy ekstazy i delirium.

– Splotła z nim palce. – Jest cudownie.

Brand ucałował jej dłoń.

– Wiesz, że wczoraj omal nie doprowadziłaś mnie do szaleństwa?

– Wczoraj? – Odrzuciła włosy na plecy. – O czym mówisz?

– Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jak seksownie brzmi twój głos.

Niewinny, a jednocześnie przesycony erotyzmem.

– Ładnie to ująłeś. – Postawiła pustą filiżankę. Przy tym ruchu jej szlafrok rozchylił się nieco na piersiach.

– Chcesz kiełbaskę? Domyślam się, że smakują okropnie.

Brand przeniósł wzrok z jej dekoltu, potrząsnął głową i się roześmiał.

– Pięknie je zachwalasz.

– Człowiek głodny nie powinien wybrzydzać. – Podała mu kiełbaskę. –

Pewnie są bardzo tłuste.

Brand uniósł brwi, jednak ugryzł kęs.

– Ty nie zjesz?

– Wolę nie jeść tego, co sama przyrządzam. – Podała mu serwetkę.

– Możemy coś przekąsić w miasteczku.

– Użyj wyobraźni. – Oparła dłonie na kolanach.

– Wmów sobie, że już zjadłeś. Na mnie to zawsze działa.
– Nie mam aż tak bujnej wyobraźni. – Skończył kielbasę. – Więc opisz, co już zjadłem.

– Wielką porcję jajecznicy – zaczęła, mrużąc oczy.
– Co najmniej z pięciu czy sześciu jaj. Naprawdę powinieneś zacząć zwracać uwagę na cholesterol. Trzy tosty grubo posmarowane tą okropną marmoladą.

– Nawet jej nie spróbowałeś.
– Wyobraziłam sobie jej smak. Zjadłeś też pięć kawałków bekonu.
Brand uśmiechnął się szeroko.
– Rano mam bardzo dobry apetyt.
– Nie wiem, jak po tym wszystkim mógłbyś jeszcze coś zjeść. Kawy? –
Sięgnęła po dzbanek.

– Nie. Wyobraziłem sobie, że wypilem już dość. Objęła go za szyję.
– Naprawdę doprowadziłam cię do szaleństwa? – Ta myśl sprawiała jej niewypowiedzianą radość.

– Tak. – Potarł jej nos swoim nosem. – Nie mogłem być z tobą w tym samym pokoju, tak się do ciebie wyrywałem. A potem jeszcze ta piosenka. – Zaśmiał się cicho. – Muzyka nie zawsze ucisza namiętność. W dodatku pokazałeś mi tę cholerną okładkę. Musiałem się wściec, bo inaczej pociągnąłbym cię na podłogę i sama wiesz, jak to by się skończyło.

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie; po chwili chyba dotarł do niej sens jego słów, bo zaczęła się uśmiechać.

– To dlatego... – Odrzuciła głowę, przesunęła koniuszkiem języka po zębach. – Czyli teraz, skoro wreszcie dopiąłeś swego, już nie będę na ciebie tak działać.

– No właśnie. – Musnął jej usta. – Mogę cię wziąć albo zostawić. – Przeciągnął palcami po włosach Raven, rozbawiony jej stropioną miną, po czym spojrzął na zegarek. – Dochodzi południe. Lepiej bierzmy się do roboty, bo czas zaczyna nas gonić. Mam pewien pomysł na utwór dla drugiej aktorki.

– Tak? – Zdjęła ręce z jego szyi. – Jaki?

– Możemy trochę podbić tempo, trochę w stylu muzyki z lat czterdziestych. To byłby ciekawy kontrast z pozostałymi piosenkami.

– I dobry utwór taneczny. – Wsunęła dłonie pod jego sweter i błądziła nimi po jego torsie. – Coś takiego bardzo by się przydało.

– Właśnie o tym myślałem. – Subtelny dotyk jej dłoni poruszył go i pobudził.

Wyciągnął do niej ręce, lecz Raven wstała i podeszła do fortepianu.

– Coś takiego? – Zagrała kilka taktów melodii, nad którą ostatnio pracowali, zmieniając tempo. – Trochę jak boogie-woogie?

– Tak. – Zmusił się, by skupić się na muzyce. Krew zaczęła pulsować mu w rytm szybkich taktów. – O to mi chodziło.

Popatrzyła na niego przez ramię, uśmiechnęła się.

– W takim razie potrzeba nam tylko słów. – Pograła jeszcze chwilę i podeszła do stolika. – Fajnych i wpadających w ucho. – Zaczęła pić kawę, uśmiechając się do Branda. – Przyda się też chórek.

– Masz jakieś pomysły?

– Tak. – Odstawiła filiżankę. – Mam. – Usiadła obok niego i w zamyśleniu odgarnęła pasmo włosów z czoła Branda. – Jeśli zatrudnią Carly, a na to się zanosi, musimy napisać coś odpowiedniego dla jej głosu. To będzie świetny kontrast z Lauren. – Znów wsunęła rękę pod jego sweter. – Co o tym myślisz?

Chciał przyciągnąć ją do siebie, lecz Raven odwróciła głowę i tylko musnął ustami jej policzek.

– Raven, litości! – błagał ze śmiechem.

Przesunęła palcem po jego brzuchu. Głośno zaczerpnął powietrza, wyszeptał jej imię i przygarnął do siebie. Całował ją żarliwie, desperacko. Chciał pociągnąć ją w dół, lecz to ona opadła na niego i przycisnęła się mocno, gdy chciał rozplatać pasek jej szlafroka.

– Raven – wyszeptał nisko, chrapliwie. – Boże, chcę cię poczuć, pozwól się dotknąć.

– Doprowadzam cię do szalu? – wyszeptała, upojona władzą, którą nad nim miała. Nim odpowiedział, pocałowała go mocno. Powoli, nie śpiesząc się, ściągnęła z niego sweter. Czują dreszcze przebiegające po jego skórze. Ta świadomość dodawała jej skrzydeł, odurzała.

Był jak wosk w jej dłoniach, tak jak wcześniej ona. Teraz chciała wypróbować swoje talenty, przejąć inicjatywę, ciesząc się każdą chwilą i każdym dotykiem. Wcześniej to on wprowadzał ją w tę nieznaną krainę, teraz ona otworzy przed nim nowe horyzonty. Zagra *pianissimo*, zmieniając tempo, bawiąc się nim, dostrajając je do kolejnego kroku. Czują, że Brand stara się panować nad sobą, tak jak wczoraj. Myśl, że zburzy tę jego kontrolę, podniecała ją, była rozkosznym wyzwaniem.

Nie spodziewała się, że te pieszczoty podziałają i na nią. Jej spokój przysł, drżała z pragnienia. Splątane włosy opadały jej na piersi, oczy lśniły pożądaniem. Nie mogli już dłużej czekać.

Westchnęła, gdy opadły emocje i spleceni uściskiem wsłuchiwali się w ciszę.

– Brandon – wyszeptała, bo chciała usłyszeć jego imię.

– Tak? – Poglądził ją po głowie, jeszcze zagubiony między jawą a snem..

– Nie wiedziałam, że może tak być.

– Ja też nie wiedziałem.

Poruszyła się, by spojrzeć na jego twarz.

– Przecież miałeś tyle kobiet. – Wtuliła się w niego, by ułożyć głowę na jego ramieniu.

Uniósł się na łokciu, delikatnie przekręcił jej głowę i popatrzył na zaróżowione policzki, nabrzmiące od pocałunków usta, zamglone oczy.

– Ale nigdy wcześniej żadnej nie kochałem – powiedział cicho.

Na mgnienie zapadła cisza. Raven się uśmiechnęła.

– Cieszę się. Bo do tej pory tego nie wiedziałam.

– No to już wiesz. – Pocałował ją mocno, zaborczo. Ułożyła się tuż przy nim, zadrżała, roześmiała się.

– Jeszcze kilka minut temu dałabym głowę, że już nie będzie mi zimno.

Brand z uśmiechem sięgnął po jej szlafrok.

– Ubierz się, bo inaczej nic nie zrobimy. I w ogóle wkładaj jakieś nieatrakcyjne ciuchy.

Włożyła szlafrok i położyła ręce na barkach Branda. Oczy się jej śmiały.

– Czy ja cię rozpraszam?

– Można to tak ująć.

– Teraz, gdy to wiem, wciąż będzie mnie korcić, żeby to robić. – Pocałowała go. – Nie będę się mogła powstrzymać.

– Trzymam cię za słowo. – Uniósł brwi. – Zaczynasz już teraz?

Pociągnęła go za włosy.

– No wiesz! Lepiej poszukam tych nieciekawych ciuchów.

– Później. – Pociągnął ją ku sobie.

Roześmiała się urzeczona tym, co ujrzała w jego oczach.

– Brandon, no nie!

– Później – powtórzył i delikatnie przygniótł ją do podłogi.

TTLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiosna powoli przechodziła w lato. Po rześkich porankach następowały ciepłe popołudnia wypełnione brzęczeniem pszczoł. Nocny ziąb złagodniał. W powietrzu coraz częściej unosił się zapach rozkwitającego wiciokrzewu, z czasem dołączył do niego aromat dzikich róż. Wszystko zaczynało kwitnąć. Raven też przepełniały podobne odczucia: rozkwitała w blasku miłości. Bo czuła się kochana.

Przez całe życie marzyła o miłości. O tym, by być kochaną. Tego pragnęła najbardziej. Ta potrzeba miłości była w niej od najmłodszych lat. Brakowało jej ciepła i czułości, poczucia głębokiej więzi z bliskimi. Nie czuła się kochana, gdy była dzieckiem; później los rzucał ją z miejsca na miejsce i nie miała szans na nawiązanie młodzieńczych przyjaźni czy trwalszych kontaktów, choć tak tego pragnęła. Ta głęboka potrzeba bycia kochaną przysłużyła się jej karierze; to dzięki niej potrafiła tak otworzyć się na słuchaczy, by zyskać sobie ich podziw i miłość. W światłach rampy nigdy nie czuła dystansu przed publicznością, identyfikowała się z nią, a odbiorcy doskonale to wyczuwali. Ich sympatia i entuzjazm sprawiały jej ogromną satysfakcję, zaspokajały potrzebę miłości. Choć naprawdę tę wielką pustkę wypełniło dopiero uczucie Branda.

Przez ostatnie tygodnie coraz mniej postrzegała siebie jako wokalistkę. Przede wszystkim widziała w sobie kobietę. Coś, na co wcześniej nigdy sobie nie pozwalała. Teraz, po raz pierwszy w życiu, koncentrowała się na swej kobiecości. Poznawała ją, odkrywała, cieszyła się nią.

Brand był wymagającym kochankiem, również w sensie emocjonalnym. Chciał jej całej; nie chodziło mu jedynie o ciało, lecz o umysł i uczucia, całkowite wzajemne oddanie. Nie była na to gotowa, nie mogła do końca się

przed nim otworzyć. Jej świat już kiedyś legł w gruzach i wiedziała, jak wielką cenę można zapłacić, kochając kogoś bezgranicznie. Mama tyle razy złamała jej serce, zasypując ją później obietnicami, których nigdy nie dotrzymała. Nauczyła się sceptycyzmu.

Przed laty pokochała Branda. Być może naiwnie, lecz całym sercem. Gdy od niej odszedł, długo nie mogła się pozbierać. Myślała, że już nigdy się po tym nie podniesie, nigdy nie odzyska poczucia własnej odrębności. Przez tych pięć lat nie nawiązała bliskiej więzi z żadnym mężczyzną. Poprzestawała na przyjaźni. Czas zaleczył rany, lecz blizny pozostały. I były jak memento. Poprzysięgła sobie, że już żaden mężczyzna nie zrani jej tak jak Brand Carstairs, i tego się trzymała. Tym bardziej teraz, bo już wiedziała, że tylko ten jeden człowiek mógł ją pogięć. Ta wiedza jednocześnie upajała i przerażała.

Brand rozbudził ją jako kobietę. Przepelniająca ją miłość zmiotła wcześniejsze obawy i lęki. Świadomość, jak bardzo na niego działa, dodała jej pewności siebie. Siła i intensywność jej uczuć zaskoczyły ją i zdumiały; uzmysłowiła sobie, że do tej pory zawsze je w sobie tłumiała. Wystarczyło jedno spojrzenie Branda, by krew w niej wrzała, zresztą z nim było podobnie. W niczym nie przypominał chłodnego, opanowanego Brytyjczyka, przy niej odzywała się w nim gorąca irlandzka natura.

Któregoś ranka obudził ją, obsypując łóżko pączkami dzikich róż. Wieczorem, gdy kąpała się w staroświeckiej wannie, zrobił jej niespodziankę, przynosząc schłodzonego szampana. Nocami kochał się z nią jak szalony, nieprzytomnie, nie dając jej szansy na zastanowienie czy protest. Czasami wydawał się bezgranicznie szczęśliwy, kiedy indziej przyłapywała go na wpatrywaniu się w nią z zagadkowym, skupionym wyrazem twarzy.

Kochała go, lecz jeszcze nie doszła do takiego etapu, by ślepo mu zaufać. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. I oboje woleli nie poruszać tego tematu.

Usiadła obok Branda przy fortepianie, zagrała kilka pierwszych taktów, po czym orzekła:

– Taka tonacja, do tego smyczki, dużo smyczków. Skrzypce i wiolonczele. – Znow uderzyła w klawisze, wsłuchując się w muzykę, która grała jej w duszy. – Co ty na to? – Odwróciła się i popatrzyła na Branda.

– Graj dalej – poprosił, zapalając papierosa. – Zobaczymy, co z tego wyniknie. – Gdy jednak zaczęła grać, Brand jej przerwał: – Nie, to się nie komponuje z tym, co mamy.

– Z tym, co ty napisałeś – rzekła z uśmiechem.

– Geniusz ma prawo skorygować swój błąd. – Gdy Raven prychnięciem skomentowała tę frazę, Brand zmierzył ją wyniosłym spojrzeniem. – Masz jakieś uwagi?

– Kto, ja? Nie ośmielam się przerywać geniuszowi.

– Bardzo mądrze. – Położył palce na klawiaturze. – Raczej powinno być tak. – Zagrał tę samą melodię, zmieniając jedynie kilka nut. – To co, moglibyśmy spróbować jeszcze raz?

– Uwielbiam, gdy zachowujesz się z taką godnością.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – To co miałem zagrać?

– Początek II symfonii Czajkowskiego.

– Aha. – Skinął głową, popatrzył na klawisze i przebiegł po nich palcami, bezbłędnie wykonując trudny fragment klasycznego dzieła.

Raven z wrażenia potrzęsnęła głową.

– Ale pozer! – podsumowała, gdy z teatralnym rozmachem zakończył grę.

– Zazdrość przez ciebie przemawia.

Raven z westchnieniem zwiesiła ramiona,

– Niestety masz rację.

Brand roześmiał się, przyłożył rozpostartą dłoń do jej dłoni.

– Mam większy rozstaw, to mi daje przewagę. Popatrzyła na swoją wąską, szczupłą rękę.

– Całe szczęście, że nigdy nie marzyła mi się kariera pianistki.

– Piękne dłonie. – Uniósł jej palce do swych ust. – Jestem w nich po uszy zakochany.

– Brandon. – Rozbroił ją kompletnie. Popatrzyła na niego z czułością.

– Zawsze pachną lotionem, który masz w tym białym słoiczku na toaletce.

– Nie sądziłam, że zwracasz uwagę na takie rzeczy. – Poczowała dreszczyk na plecach, gdy Brand przesunął ustami po jej przegubie.

– Zwracam uwagę na wszystko, co się z tobą wiąże.

– Pocałował jej drugi nadgarstek. – Lubisz zbyt ciepłą kąpiel, zostawiasz buty w najbardziej niespodziewanych miejscach. I zawsze wybijasz rytm lewą nogą. – Patrzył na nią, jedną ręką przytrzymując jej dłoń, drugą odgarniając włosy z ramienia. – A kiedy cię tak dotykam, oczy zachodzą ci mgłą. – Delikatnie przesunął palcami po jej piersiach, nie odrywając spojrzenia od jej pociemniałych, rozmarzonych oczu, po czym pocałował ją w usta.

Czekała na tę pieszczotę. Lekko odchyliła głowę, pragnąc więcej. Brand przygarnął ją do siebie.

– Czuję, jak topniejesz. – Całował ją coraz namiętniej. – Wariuję od tego.

– Sięgnął palcami do guzika jej bluzki. Ledwie go rozpiął, zadzwonił telefon.

Brand zaklął, Raven roześmiała się i uścisnęła go mocno.

– Nie przejmuj się, skarbie – powiedziała bez tchu.

– Tym razem też ci przypomnę, na czym skończyłeś.

– Wyślizgnęła się z jego ramion i przeszła przez pokój, by odebrać telefon.

– Halo.

– Mogę prosić Brandona Carstairsa?

Raven uśmiechnęła się, słysząc ten melodyjny ton. Ciekawe, w jaki sposób ta fanka zdobyła numer Branda.

– Pan Carstairs jest w tej chwili zajęty. – Posłała mu uśmiech.

Brand odpowiedział tym samym i z aprobatą skinął głową. Podszedł do niej i zaczął rozpraszać ją, całując w kark.

– Może mu pani przekazać, by w wolnej chwili zadzwonił do mamy?

– Słucham? – Przestała chichotać i daremnie próbowała uwolnić się z uścisku Brandona.

– Żeby oddzwonił do swojej matki, gdy znajdzie chwilę. Zna numer.

– Och, pani Carstairs, chwileczkę! Proszę poczekać.

– Rozszerzonymi oczami popatrzyła na Brandona. – Brandon jest tutaj. Twoja mama – wyszeptała z przejęciem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, przytulił ją mocno i odebrał słuchawkę.

– Cześć, mammo! – Cmoknął Raven w czubek głowy. – Owszem, byłem zajęty. Całowałem się z piękną kobietą, w której jestem szaleńczo zakochany.

– Roześmiał się głośno na widok rumieńców, które pojawiły się na policzkach Raven. – Nie, nic się nie stało, zaraz do tego wrócę. Jak się miewasz? I jak reszta rodziny?

Raven oswobodziła się z jego objęcia.

– Pójdę zrobić herbatę – wyszeptała i wyszła z pokoju.

Pani Pengalley zostawiła kuchnię w nieskazitelnym porządku. Czekaając, aż zagotuje się woda, Raven krzątała się bezcelowo, póki nie uświadomiła

sobie, że umiera z głodu. Pracowali od wielu godzin. Sięgnęła po chleb, postanawiając zrobić grzanki do herbaty.

Brand nie wyobrażał sobie dnia bez popołudniowej herbatki, ona też polubiła ten angielski rytuał. Przyjemnie było posiedzieć przy kominku, popijając herbatę i pogryzając herbatniki, ciasteczka czy grzanki z masłem, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

Zaparzyła herbatę, posmarowała grzanki masłem. Jej myśli wciąż szybowały do Brandona. Gdy rozmawiał z mamą, w jego głosie było tyle ciepła i serdecznej miłości. Poczula ukłucie zazdrości. Jak wtedy, gdy była dzieckiem. I później, już jako nastolatka. Nie przypuszczała, że znowu zazna tamtych uczuć. Przecież jest dorosła, ma dwadzieścia pięć lat.

Kuchenna krzątająca złagodziła jej napięcie. Z zastawioną tacą ruszyła do pokoju. Na progu się zawahała. Brand nie skończył rozmowy, może więc powinna poczekać. Jednak taca ciążyła. Weszła do pokoju.

Brand siedział w fotelu przy kominku. Na widok Raven przywołał ją do siebie zapraszającym gestem. Podeszła i postawiła tacę na niskim stoliku.

– Tak, mamó. Może w przyszłym miesiącu. Pozdrów wszystkich ode mnie. – Uśmiechnął się, ujął Raven za rękę. – Ma wielkie szare oczy, dokładnie w takim odcieniu jak gołębice Shawna. Dobrze, powiem jej. Cześć, mamó. Kocham cię. – Rozłączył się i popatrzył na zastawioną tacę. – Nieźle podziałałaś.

Zaczęła nalewać herbatę.

– Poczulałam, że jestem głodna jak wilk. – Pokręciła głową, obserwując, jak Brand dolewa sobie mleka do herbaty. Był to jeden z tych angielskich zwyczajów, których nigdy nie pojmie.

– Mama powiedziała, że masz bardzo miły głos. Chciała, żebym ci to powtórzył. – Sięgnął po grzankę.

– Nie musiałeś jej mówić, że się całowaliśmy – powiedziała zakłopotana, a gdy roześmiał się, popatrzyła na niego ostro. – To nie uchodzi.

– Mama dobrze wie, że mam zwyczaj całować kobiety

– wyjaśnił. – Domyśla się też, ale już tak po cichu, w dyskrecji, że nie zawsze poprzestaję tylko na buziakach.

– Odgryzł kolejny kęs. – Chciałaby cię poznać. Jeśli praca nadal będzie nam tak dobrze szła, to może w przyszłym miesiącu byśmy wybrali się do Londynu.

– Rodzinne kontakty nie są moją mocną stroną.

Sięgnęła po filiżankę, lecz Brand położył dłoń na jej ręce.

– To naprawdę sympatyczni ludzie. Dla mnie bardzo ważni. Tak jak ty. Chciałbym, by cię poznali. Gdy spłoszona opuściła wzrok, dodał z westchnieniem: – Raven, kiedy wreszcie ze mną porozmawiasz?

Nie mogła udawać, że nie wie, o czym mowa. Chciała odsunąć ten moment, nie poruszać jeszcze tych tematów.

Może po powrocie do Kalifornii, gdy i tak będzie musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie. Chciałabym coś o nich wiedzieć, nim się z nimi spotkam. Coś więcej niż można wyczytać w plotkarskich gazetach – dodała z uśmiechem. Jej oczy prosiły, by jej nie naciskał. Jeszcze nie teraz.

Nie był tym zachwycony, lecz się poddał. Skoro tak jej na tym zależy, da jej czas.

– Jestem najstarszy z piątki rodzeństwa. – Wskazał fotografie na kominku. – Michael, ten poważny facet z jasnowłosą żoną, jest prawnikiem. – Uśmiechnął się do swych wspomnień. Jaki był z siebie dumny, gdy udało mu się posłać brata na dobre studia. Był pierwszym z rodu, który skończył prawo. – W młodości wcale nie był taki stateczny. Patrzył tylko, komu przyłożyć.

– Czyli miał świetne predyspozycje na prawnika – podsumowała Raven.

– Mów dalej.

– Po nim jest Alison. Skończyła Oksford, była najlepsza na roku. – Patrzył, jak Raven przygląda się zdjęciu delikatnej blondynki. – Jest niesamowicie zdolna – dodał z uśmiechem. – Robi coś niemożliwego z komputerami i ma niewytłumaczalną słabość do meczów rugby. Tak poznała swego męża.

Raven pokręciła głową, próbując wyobrazić sobie tę kruchą blondyneczkę w roli fanatycznego kibica, który wraca do domu i pisze skomplikowane programy komputerowe.

– Domyślam się, że drugi brat jest fizykiem.

– Nie, Shawn jest weterynarzem. – W głosie Branda zabrzmiała czuła nuta.

– To twój pupilek?

– Można tak powiedzieć. Shawn jest fantastycznym człowiekiem, najlepszym, jakiego znam. Nie skrzywdziłby muchy. Gdy był mały, wciąż przynosił do domu ptaka ze złamanym skrzydłem, psa ze zranioną łapą i tak bez końca. Znasz ten typ.

Nie знаła, lecz wymamrotała coś pod nosem i dalej popijała herbatę. Rodzina Branda coraz bardziej ją fascynowała. Zawsze myślała, że ludzie wychowani pod jednym dachem są do siebie podobni. Okazuje się, że prawda bywa inna.

– A najmłodsza siostra?

– Moray. – Uśmiechnął się. – Jeszcze chodzi do szkoły. W przyszłości chciałaby studiować finanse albo aktorstwo. Lub, kto wie, antropologię. Jeszcze się nie zdecydowała.

– Ile ma lat?

– Osiemnaście. Aha, uwielbia twoje nagrania. Kiedy ostatni raz byłem w domu, miała cały komplet.

– Już ją lubię. – Znów popatrzyła na kominek. – Wasi rodzice pewnie są z was bardzo dumni. Co robi twój tata?

– Jest stolarzem. – Zastanawiał się, czy Raven zdaje sobie sprawę, jak wyrazista jest tęsknota malująca się w jej oczach. – Nadal pracuje sześć dni w tygodniu, choć pieniądze już nie są problemem. Jest bardzo dumnym człowiekiem. Mama do dziś rozwiesza pranie, mimo że z dziesięć lat temu kupiłem jej porządną suszarkę. Tacy właśnie są.

– Szczęściarz z ciebie. – Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

– Wiem. – Przypatrywał się jej szybkim, nerwowym ruchom. – Chociaż w młodości tego nie wiedziałem. Uważałem, że tak po prostu jest, nie zastanawiałem się nad tym. Tobie nie było tak lekko.

Wyprostowała się, po chwili zwiesiła ramiona.

– Jakoś przeżyłam. – Podeszła do okna i zapatrzyła się na klif i morze. – Brandon, chodźmy się przejść. Jest taka ładna pogoda.

Podszedł do niej. Ujął ją za ramiona i obrócił do siebie.

– Życie to coś więcej niż tylko przetrwanie.

– Wyszłam z tego bez szwanku, co nie każdemu się udaje.

– Raven, wiem, że dwa razy w tygodniu dzwonisz do domu, ale nic więcej mi nie zdradziłaś. – Potrząsnął nią delikatnie, z czułością. – Powiedz mi.

– Nie teraz. I nie tutaj. – Objęła go i wtuliła twarz w jego pierś. – Niech będzie, jak jest. Ani przeszłości, ani przyszłości. Za dużo się wydarzyło. Chcę na chwilę zapomnieć, nie wracać do tego, co było. Czy to coś złego? – Objęła go jeszcze mocniej. – Pozostańmy w świecie fantazji, proszę. Tylko my dwoje, nic więcej. Jeszcze choć trochę.

Musnął ustami jej włosy.

– Dobrze, jeszcze trochę. Ale pamiętaj, że ta fantazja niedługo się skończy, a mnie zależy również na rzeczywistości.

Popatrzyła na niego, ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Tak jak Joemu z musicalu – skomentowała z uśmiechem. – I ta rzeczywistość wreszcie mu się objawia.

– Tak. – Pocałował ją. – Co potwierdza, że sny się spełniają...

– Ja nie jestem snem. A ty już przywróciłeś mnie do życia.

– I to bez czarów.

– Ejże, dla mnie to wciąż są czary. – Powoli położyła jego dłoń na swoim dekolcie. – Na tym skończyłeś, gdy zadzwonił telefon.

Rozpiął guzik bluzki.

– A co ze spacerem?

– Spacer? W takim deszczu? – Popatrzyła na zalane słońcem okno. – Nie ma mowy. – Przeniosła wzrok na Branda. – Lepiej przeczekajmy w domu, aż się rozpuści.

Z uśmiechem zaczął bawić się kolejnym guzikiem.

– Co racja, to racja.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pani Pengalley miała zasadę, by sprzątanie zaczynać od pokoju muzycznego. Zabierała się do roboty, gdy tylko Raven i Brand wychodzili z domu. W tym pomieszczeniu spędzali najwięcej czasu, niby na pracy, oczywiście pod warunkiem, że to, czym zajmowali się ludzie z show—biznesu, można nazwać pracą. Co do tego pani Pengalley miała wyrobione zdanie. Gospodyni jak co dzień pozbierała filiżanki, obwąchując je starannie. Herbata. Czasami udało się jej wywąchać wino, a nawet whisky, choć raczej rzadko, jednak musiała przyznać, że pana Carstairsa trudno byłoby nazwać skończonym pijusem, mimo że dla ludzi tej profesji było to typowe. Trochę ją tym rozczarował.

Przybysze w ogóle zachowywali się bardzo spokojnie. Gdy Brand zawiadomił, że przyjeżdża na trzy miesiące, była przekonana, że teraz dopiero zacznie się dziać. Artysta z pewnością zechce się dobrze zabawić. Doskonale orientowała się, jakie rozrywki cenią sobie ludzie z tej branży. Czekala tylko, kiedy pod posiadłość zaczną podjeżdżać szpanerskie samochody z celebrytami w odjazdowych strojach. Zapowiedziała mężowi, że to tylko kwestia czasu.

Jednak do tej pory jej przewidywania się nie sprawdziły. Nikt nie przyjechał, nie było żadnych skandalizujących imprez, nic się nie działo. W domu mieszkał jedynie właściciel i ta dziewczyna o wielkich gołębich oczach, która tak pięknie śpiewała. Choć, o czym nie można zapominać, ona również była z tej branży.

Pani Pengalley podeszła do okna, by poprawić fałdki na zasłonie. Stąd doskonale widziała Raven i Branda spacerujących wzdłuż klifu. Jak zwykle razem, papużki nierozłączki, pomyślała. Prychnęła, by się nie uśmiechnąć. Poprawiła zasłonę i zaczęła odkurzać meble.

Co oni sobie myślą? Jak można porządnie odkurzyć, skoro wszędzie rozkładają kartki z zapiskami? I tak jest ciągle! Podniosła jedną z kartek, przebiegła ją wzrokiem. Nie знаła się na nutach, więc skoncentrowała się na tekście.

Kochać cię to nie sen /Tak pragnę, byś był przy mnie /Chcę cię i niczego więcej /Wróć do mnie.

Gospodyni cmoknęła i odłożyła kartkę. Piękna piosenka, nie ma co, podsumowała w duchu, wracając do odkurzania. Nawet się nie rymuje.

Silny i porywisty wiatr wiał od morza. Brand otoczył Raven ramieniem, obrócił ją ku sobie i pocałował przeciągle. Uchwyciła się jego barków, by utrzymać równowagę. Wlepiała w niego wzrok.

– Co to było? – zapytała bez tchu.

– To dla pani Pengalley – wyjaśnił. – Obserwuje nas przez okno.

– Brandon, jesteś niemożliwy!

Znowu nakrył ustami jej usta. Nie mogła mu się oprzeć. Czowała na skórze ciepły dotyk słońca i chłodny powiew wiatru. W powietrzu niósł się aromat wiciokrzewu i róż.

– A to – wyszeptał, przesuając ustami po jej policzkach – było dla mnie.

– Masz więcej znajomych?

Roześmiał się i wypuścił ją z objęć.

– Myślę, że już do końca dnia będzie miała nad czym kiwać głową.

– Aha, czyli po to ci jestem potrzebna. Żeby szokować.

– Między innymi.

Podeszli do kamiennego muru na krawędzi klifu i zapatrzyli się w morze na dole. Raven lubiła patrzeć na ten surowy, pierwotny widok, wsłuchiwać się w nieustający huk rozbijających się fal, krzyk mew.

Praca nad muzyką do filmu już prawie się zakończyła, pozostało im tylko kilka fragmentów i trochę poprawek. Kopie gotowych utworów wysłali do Kalifornii. Trochę przeciągali końcowy etap, mogliby zrobić to szybciej. Raven miała swoje powody, by się nie śpieszyć. Ciekawe, jakie powody miał Brand. Tego nie była do końca pewna.

Nie wiedziała, czego się po niej spodziewał, zresztą niejako na własne życzenie, bo zawsze ucinała ten temat. Wiedziała, że to działanie na krótką metę, lecz jeszcze nie chciała tej rozmowy, postawienia wszystkiego jasno. I tak przyjdzie pora, gdy nie będzie już można dłużej tego odwlekać.

Czy wypracują jakieś rozwiązanie? Czy przy ich pracy da się sensownie ułożyć wspólne życie? Uciekała przed tymi pytaniami, wołała na nie nie odpowiadać. Życie w biegu, na walizkach, w dodatku tak mało prywatności. Przed prasą nic się nie ukryje, zaczną się spekulacje, zdjęcia, informacje wyssane z palca. Z tym sobie poradzą, jeśli uczucie okaże się wystarczająco mocne. W to akurat nie wątpiła, lecz są jeszcze inne sprawy.

Czy zdoła uwolnić się od lęku przed kolejnym ciosem? Wyzbyć obaw, że Brand może znowu od niej odejść? To, co wtedy przeżyła, nadal w niej tkwiło jak bolesny cierń.

Do tego dołączał się strach o mamę, poczucie odpowiedzialności za jej los. O tym nigdy nikomu nie mówiła, nie czuła się na siłach, by podzielić się tym nawet z Brandonem, na którym najbardziej ze wszystkich ludzi jej zależało. Już dawno poprzysięgła sobie, że będzie liczyć tylko na siebie i na zawsze pozostanie panią własnego losu. Bo wystarczająco napatrzyła się na mamę.

Gdyby tak mogła przedłużyć to lato! Niestety, jego koniec zbliżał się nieubłaganie i coraz częściej zadręczała się tą myślą. Idylla wkrótce się

skończy. Preludium do pięknej fantazji. Oby tylko ta fantazja okazała się rzeczywistością.

Oparła łokcie na murku i patrzyła w dal. Brand w zadumie obserwował jej niewidzące spojrzenie. Chmura przesłoniła słońce, zrobiło się ciemniej. Raven westchnęła.

– O czym myślisz? – zapytał, ujmując w palce pasemko jej włosów poruszane przez wiatr.

– Że to najlepsze miejsce ze wszystkich, w jakich byłam. – Popatrzyła na niego z uśmiechem. – Kiedyś wybrałyśmy się z Julie do Monako i uznałam, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Teraz wiem, że jest dopiero drugie.

– Byłem pewien, że ci się spodoba, jeśli tylko uda mi się cię tutaj ściągnąć – powiedział Brand, bawiąc się jej włosami. – Choć kilka razy wpadałem w czarną rozpacz, gdy bałem się, że odmówisz. Pewnie już bym nie wymyślił nowego planu.

– Plan? – Zmarszczyła czoło. – Nie bardzo rozumiem. Jaki plan?

– Jak cię tu ściągnąć, żebyśmy mogli być sami. Wyprostowała się, lecz nadal patrzyła na morze.

– Myślałam, że przyjechaliśmy tworzyć muzykę do filmu.

– Owszem. – Śledził wzrokiem mewę lądującą na falach. – Akurat dobrze się złożyło.

– Dobrze się złożyło? – Poczowała ucisk w żołądku. Kolejna chmura przesłoniła słońce.

– Mała szansa, byś zgodziła się ze mną pracować, gdyby to nie był taki fantastyczny projekt. – Popatrzył na chmurę. – A już na pewno nie zgodziłabyś się ze mną zamieszkać.

– Więc podsunąłeś mi pod nos ten musical, żeby mnie skusić?

– No skąd. Oczywiście, że nie. Gdy zaproponowano mi tę pracę, od razu wiedziałem, że powinienem zrobić to z tobą. Po prostu wszystko idealnie zagrało.

– Aha... Jak w szachach, doskonale zaplanowane. Julie miała rację. Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o strategię.

– Odwróciła się, lecz Brand złapał ją za ramiona, nim zdążyła odejść.

– Raven?

– Jak mogłeś?! – Piorunowała go wzrokiem, jej policzki pałały.

Brand przyglądał się jej zwężonymi oczami.

– O co ci chodzi? – zapytał chłodno, cofając ręce.

– Jak mogłeś mnie tak podprowadzić, zwabić tu pod pretekstem pracy nad filmem?!

– Nie cofnąłbym się przed niczym, żeby cię odzyskać – powiedział. – I wcale cię nie zwiodłem. Wszystko, co powiedziałem, było prawdą.

– Częściową prawdą!

– Być może... Oboje jesteśmy w tym dobrzy, czyż nie?

– Patrzył na nią inaczej, jakby chciał przeniknąć do jej wnętrza. – Dlaczego jesteś zła? Dlatego, bo cię kocham, czy dlatego, że dzięki mnie zdałaś sobie sprawę, że też mnie kochasz?

– Nie potrzeba mi niczyjej pomocy! – Zacisnęła pięści, obróciła się na pięcie. – Boże, jak ja tego nienawidzę! Nienawidzę, gdy ktoś mną manipuluje. Sama odpowiadam za swoje życie i sama o wszystkim decyduję.

– O niczym za ciebie nie decydowałem.

– Nie, jasne, że nie. Ty tylko sprytnie mnie podprowadziłeś. Bym miała poczucie, że sama wybrałam to, co jest dla mnie najlepsze. – Znów odwróciła się do niego. Jej głos był nabrzmiąły gniewem. – Dlaczego nie mogłeś być ze mną szczerzy?

– Gdybym pozwolił sobie na taką szczerość, do niczego byśmy nie doszli. Nie miałbym szans, by się do ciebie zbliżyć. Już raz to przerabialiśmy, nie pamiętasz?

Jej oczy błysnęły furia.

– Nie opowiadaj mi, co bym zrobiła. Nie czytasz w moich myślach.

– Bo nigdy mnie do nich nie dopuściłaś. – Wyjął papierosa, osłonił go dłonią i zapalił. Zaciągnął się i powoli wypuścił obłoczek dymu. – Powiedzmy, że nie byłem w nastroju, by iść na ryzyko. To ci wystarczy?

Jego chłodny, opanowany ton głosu tylko spotęgował jej złość.

– Nie miałeś prawa! – rzuciła mu prosto w twarz. – Nie miałeś prawa ingerować w moje życie, aranżować mi je. Kto powiedział, że powinnam tańczyć, jak mi zagrasz? Kiedy doszedłeś do wniosku, że nie jestem w stanie sama zadbać o siebie, sama je sobie zaplanować?

– Jeśli chcesz być traktowana jak rozsądna osoba, to zachowuj się jak człowiek dorosły – oznajmił chłodno. – A nie jak rozkapryszone dziecko. Raven, opanuj się. Nie zarzucaj mi, że cię zwiodłem czy podprowadziłem. Nie ściągnąłem cię tutaj pod fałszywym pretekstem. Była praca do zrobienia, a to miejsce jest do tego wymarzone. Owszem, liczyłem, że być może tutaj się do mnie przekonasz. Chciałem cię odzyskać.

– Liczyłeś! Chciałeś! – Odrzuciła włosy na plecy.

– Nie widzisz, jaki to niewyobrażalny egoizm z twojej strony? A co z moimi uczuciami? Uważasz, że możesz pojawiać się w moim życiu i znikać, gdy najdzie cię taka ochota?

– Jak sobie przypominam, to ty mnie odrzuciłaś.

– To ty mnie zostawiłeś! – Gorące łzy zapiekły ją pod powiekami. – To był dla mnie największy cios w życiu. Najgorszy ze wszystkich! – Łzy popłynęły jej z oczu. – Odszedłeś ode mnie bez słowa!

– Wątpię, czy chciałabyś usłyszeć, co ci wtedy miałem do powiedzenia.
– Rzucił niedopałek za mur. – Nie tylko ty cierpiałaś. Myślisz, że było mi łatwo? Gdy byłem przy tobie, krew we mnie wrzała, a ty potrzebowałaś czasu. Musiałem się wycofać, inaczej bym nie zdzierzył.

– Potrzebowałam czasu? – powtórzyła zaskoczona i poruszona. – Chciałeś dać mi czas?

– Kiedy wyjechałem, byłaś jeszcze dzieckiem. Miałem nadzieję, że gdy wrócę, staniesz się już kobietą.

– Miałaś nadzieję... – Głos się jej załamał. – Chcesz powiedzieć, że wyjechałeś, by dać mi szansę... dorosnąć?

– Uznałem, że to jedyny sposób. – Wsunął ręce do kieszeni, ściągnął brwi. – Innego nie widziałem.

– Nie? – Przypomniała sobie swą rozpacz po jego wyjeździe, pustkę, której nie zdołała wypełnić przez lata. – Jasne, niby czemu miałeś pytać mnie o zdanie? Sam o wszystkim zdecydowałeś. Również za mnie.

– Nie chodziło o to, kto decyduje. – Odwrócił się od niej. Czuł, że traci panowanie nad sobą. – Nie mogłem być przy tobie i cię nie mieć. To mnie doprowadzało do szaleństwa.

– Więc wyjechałeś na pięć lat, a potem ni stąd, ni zowąd znów pojawiłeś się w moim życiu, wykorzystując muzykę jako pretekst, by zwabić mnie do łóżka. Ani trochę nie obchodził cię musical. Posłużyłeś się nim dla swoich egoistycznych celów.

– Teraz już przegięłaś – rzekł lodowatym tonem, po czym odwrócił się i odszedł.

Po chwili przez huk fal przebił się warkot silnika.

Raven stała nieruchomo, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód. Chciała dopiec Brandonowi najboleśniej, jak to możliwe. I udało

się jej. Sama jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Wciąż brzmiały jej w uszach gorzkie oskarżenia skierowane do Brandona. Zacisnęła powieki.

Trafiła go celnie. Na jego twarzy widziała furję. Drżącą ręką przegarnęła włosy. Czowała narastające pulsowanie w skroni. Powoli otworzyła oczy i popatrzyła na zielone, sfalowane morze.

Wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie, było efektem misternego planu, pomyślała. Złość powoli z niej wyparowała, pozostały tylko smutek i żal.

Wszystko to sobie obmyślił za jej plecami. Miała mu za złe, że manipulował nią, pociągał za sznurki. Zaproponował jej pracę nad tym fantastycznym projektem tylko po to, by się do niej zbliżyć. Mimo to... Potrząsnęła głową, stropiona i przybita. Odwróciła się i zaczęła wracać do domu.

Pani Pengalley czekała na nią przy wejściu do pokoju muzycznego.

– Jest telefon do pani, z Kalifornii. – Wcześniej z ciekawością obserwowała przez okno scenę kłótni. Widok zgnębionej miny Raven obudził w niej macierzyńskie uczucia. Ledwie się powstrzymała, by nie pogłodzić jej po głowie. – Zaparzę pani herbaty.

Raven weszła do pokoju, wzięła słuchawkę.

– Tak, słucham.

– Raven, tu Julie.

– Julie. – Raven opadła na fotel. Dźwięk znajomego głosu pobudził ją do łez. – Wróciłaś z wysp greckich?

– Raven, wróciłam stamtąd już kilka tygodni temu.

No tak. Oczywiście.

– Jasne. Co słychać? Coś się stało?

– Zadzwoił do mnie Karter, bo rano nie mógł dodzwonić się do ciebie. Były problemy z połączeniem czy coś takiego.

– Znowu uciekła? – martwym głosem spytała Raven.

– Wszystko na to wskazuje. To stało się zeszłej nocy. Nie odeszła daleko... – Zawahała się.

– Julie? – ponagliła ją już bardzo niespokojna.

– Zdarzył się wypadek. Byłoby dobrze, gdybyś przyjechała.

Raven zamknęła oczy.

– Ona nie żyje?

– Żyje, ale nie jest z nią dobrze. Dobija mnie, że taką wiadomość przekazuję ci przez telefon. Gospodyni powiedziała, że Brandona nie ma w domu.

– Nie. – Otworzyła oczy i przesunęła wzrokiem po pokoju. – Nie ma go tutaj. – Wzięła się w garść. – Julie, co z nią? Jest w szpitalu?

– Raven, ona z tego nie wyjdzie – powiedziała cicho Julie. – Strasznie mi przykro. Karter mówi, że to kwestia godzin.

– O Boże. – Przez tyle lat żyła w ciągłym lęku, jednak to był dla niej szok. Znowu rozejrzała się po pokoju, desperacko próbując odzyskać równowagę.

– Wiem, jak to na ciebie podziało, i strasznie mi żal, że nie potrafię przekazać ci tego lepiej.

– Słucham? – Z trudem skupiła myśli. – Nie, nie mów tak. Trzymam się. Zaraz jadę.

– Wyjść po ciebie i Brandona na lotnisko?

– Nie. Z lotniska pojadę prosto do szpitala. W którym leży?

– W St. Catherine. Na intensywnej opiece.

– Powiedz doktorowi Karierowi, że będę najszybciej, jak się da. Julie...

– Tak?

– Bądź przy niej.

– Oczywiście. Nie odejdę od niej.

Raven rozłączyła się i wlepiła wzrok w milczący telefon.

Pani Pengalley weszła do pokoju z filiżanką herbaty. Popatrzyła na pobladłą twarz Raven, odstawiła filiżankę i bez słowa podeszła do barku. Wyjęła butelkę brandy i nalała alkoholu do kieliszka.

– Proszę, niech pani wypije – powiedziała, przyciskając szkło do jej ust.

Raven podniosła na nią oczy.

– Co?

– Proszę pić.

Posłusznie wypiała łyk i zakrztusiła się, po czym upiła jeszcze trochę.

– Dziękuję. – Popatrzyła na panią Pengalley. – Już mi lepiej.

– Brandy dobrze robi – z przekonaniem podsumowała gospodyni.

Raven podniosła się, z trudem zbierając myśli. Jest sporo do zrobienia, a czasu ani trochę.

– Pani Pengalley, muszę natychmiast lecieć do Stanów. Mogłaby zapakować mi pani trochę rzeczy, a ja przez ten czas zadzwonię na lotnisko?

– Jasne. – Zmierzyła Raven przenikliwym spojrzeniem. – Pojechał, bo musi ochłonać. Oni tacy są. Ale niedługo wróci.

Nie od razu pojęła, że gospodyni mówi o Brandonie. Przesunęła palcami po włosach.

– Nie jestem tego pewna. Jeśli nie przyjedzie w miarę szybko, to czy pan Pengalley mógłby odwieźć mnie na lotnisko? Sprawa jest naprawdę bardzo pilna.

– Jak sobie pani życzy. – Pociągnęła nosem. Młodzi zawsze są tacy. – W takim razie idę spakować pani rzeczy.

– Dziękuję. – Raven przesunęła wzrokiem po pokoju i sięgnęła po słuchawkę.

Godzinę później zatrzymała się przy schodach. Wszystko dzieje się tak szybko. Żałowała, że Brand jeszcze nie wrócił, ale cóż. Powinna zostawić mu liścik, lecz jakie słowa wystarczą, by wybaczył jej rzucone w złości oskarżenia? I jak w kilku zdaniach wyjaśnić, że jej mama jest umierająca i musi natychmiast do niej lecieć?

Nie może na niego czekać. Wyjęła notes i pośpiesznie skreśliła kilka słów:

Brandon, musiałam wyjechać do domu. Proszę, wybacz mi. Kocham cię, Raven.

Wbiegła do pokoju muzycznego i położyła kartkę na stosie papierów na fortepianie. Potem chwyciła walizki i wypadła na dwór. Pan Pengalley już czekał, by odwieźć ją na lotnisko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dopiero po pięciu dniach Raven powoli zaczęła dochodzić do siebie. Doktor Karter nie mylił się, przewidując, że życie mamy wisi na włosku. Do rozpaczy, która ogarnęła Raven, dochodziło jeszcze przytłaczające poczucie winy, że nie zdążyła na czas. Jak zwykle bywa w podobnych sytuacjach, musiała zmierzyć się z masą prozaicznych drobiazgów, dzięki czemu nie mogła bez reszty pogрузić się w żalu i wyrzutach sumienia. Podczas tych pierwszych godzin nie raz myślała, że być może dlatego śmierć wiąże się z tyloma rytuałami i komplikacjami, by ludzie musieli zmobilizować się do w miarę sprawnego funkcjonowania.

Była wdzięczna Karierowi, że wziął na siebie rozmowy z policją i dopilnował, by nic nie przedostało się do mediów.

Po tych kilku pierwszych dniach, gdy wciąż była zajęta i zaaferowana, nastąpił całkowity spokój. Już nic więcej nie było do zrobienia. Jedyne, co pozostało, to pogodzić się w faktem, że kobieta, którą kochała i którą pogardzała, na zawsze odeszła z tego świata. Choroba ją pokonała. Choroba, z którą przegrała. Powoli zaczynała przyjmować do wiadomości, że śmierć matki była wynikiem długiej, osłabiającej choroby. Nie opłakiwała mamy, bo już wcześniej ją straciła. Nigdy nie miała wpływu na jej życie, a teraz potrzebowała siły, by zapanować nad swoim.

Przez te dni wiele razy dzwoniła do Kornwalii, lecz nikt nie odbierał. W wyobraźni słyszała dźwięk telefonu odbijający się echem w pustych pokojach. Zastanawiała się, czy nie wsiąść do samolotu i nie polecieć tam, lecz co by jej to dało? On na nią nie czeka.

Gdzie on jest? Dokąd pojechał? Nie wybaczył mi. I nigdy nie wybaczy. Zadręczała się takimi myślami. Wciąż do niej powracały, znowu i znowu.

Odkładając telefon, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Była przeraźliwie blada. Blada i bezradna. Potrząsnęła głową i sięgnęła po róz. Poprawi urodę, to lepsze niż ta skóra biała jak papier. Od czegoś trzeba zacząć.

Przycisnęła pędzel do policzka. Tak, pora zacząć działać. Wyrwać się z odrętwienia. Odwróciła się od lustra i znów sięgnęła po telefon.

Pół godziny później zeszła na dół. Była w sukience z czarnego jedwabiu, włosy upięła. Wkładając prosty czarny kapelusz, weszła do holu.

– Raven? – Julie wychyliła się z gabinetu. – Wychodzisz?

– Tak, jeśli tylko znajdę czarną kopertówkę, w której powinny być kluczyki – odparła, przeszukując półki w szafie.

– Dobrze się czujesz?

Raven odchyliła głowę i popatrzyła na Julie.

– Już lepiej – powiedziała, wiedząc, że przyjaciółka nie zadowoli się zdawkową odpowiedzią. – Pamiętam twoją przemowę po pogrzebie. Mówiłaś, że nie powinnam mieć do siebie pretensji. Staram się wziąć to sobie do serca.

– To nie była żadna przemowa – skontrowała Julie – ale stwierdzenie faktu. Zrobiłaś dla mamy wszystko, co mogłaś. Niczego nie zaniedbałaś.

– Zrobiłam wszystko, co myślałam, że mogę dla niej zrobić – powiedziała ze smutkiem. – Naprawdę czuję się lepiej. Będzie dobrze. – Uśmiechnęła się. Nagle tuż za Julie dostrzegła jakiś ruch. – Cześć, Wayne. Nie wiedziałam, że tutaj jesteś.

Wayne podszedł bliżej.

– No proszę, bardzo ładna sukienka – rzekł na powitanie. – Naprawdę mi się podoba.

– Inaczej być nie może, przecież nieźle mnie za nią skasowałeś.

– Skarbie, daruj sobie ten sarkastyczny ton. Sztuka nie ma ceny. – Przesunął palcem po jej ramieniu. – Dokąd się wybierasz?

– Do restauracji Alphonso's. Umówiłam się z Hendersonem na lunch.

Wayne musnął palcem policzek Raven.

– Trochę za dużo różu – skrytykował.

– Mam już dość wyglądanego jak śmierć na chorągwi. Daj spokój. – Pocałowała go. – Byłeś dla mnie ostoją, Wayne. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczyło, że byłeś przy mnie przez te ostatnie dni.

– Musiałem na trochę uciec z pracowni. To mi było potrzebne.

– Uwielbiam cię. – Uścisnęła go serdecznie. – Ale już przestań się o mnie martwić. – Popatrzyła na Julie. – Ty też. Idę pogadać z Hendersonem o nowej trasie koncertowej.

– Nowej trasie? – Julie spochmurniała. – Raven, od sześciu miesięcy pracujesz non stop. Najpierw nowy album, potem trasa, muzyka do musicalu. Potrzeba ci trochę oddechu. Zrób sobie przerwę.

– Przerwa jest mi najmniej potrzebna. Chcę pracować.

– No to popracuj na urlopie – upierała się Julie. – Kilka miesięcy temu marzyłaś o górskiej chacie w Kolorado, pamiętasz?

– Tak. Chciałam zaszyć się na sielskim odludziu i pisać. Uciec od gwiazdorskiego blichtru. – Uśmiechnęła się, przypominając sobie tamte marzenia. – Powiedziałaś wtedy, że ty co najwyżej możesz zgodzić się na margaritę przy basenie.

Julie uniosła brew.

– Wiesz, zmieniłam zdanie. Właśnie wybieram się po traperki.

Wayne tylko sceptycznie zamruczał pod nosem. Raven się uśmiechnęła.

– Jesteś kochana. – Ucałowała przyjaciółkę w policzek. – Ale te buty ci się nie przydadzą. Teraz potrzeba mi wyczerpującej pracy, czegoś, w co będę

musiała włożyć masę energii. Chcę porozmawiać z Hendersonem o koncertach w Australii. Moje płyty świetnie się tam sprzedają.

– Gdybyś pogadała z Brandem... – zaczęła Julie.

– Próbowałam go złapać, ale daremnie – wpadła jej w słowo, mówiła matowym tonem. – Najwyraźniej nie chce ze mną rozmawiać. W sumie nie wiem, czy mogę mieć do niego pretensje.

– On cię kocha – oświadczył Wayne. – Między wami iskrzy. Kilka tysięcy ludzi to widziało na nowojorskim koncercie.

– On mnie kocha, ja Kocham jego. Jak widać, to za mało, choć nie wiem dlaczego. Nie, proszę. – Ujęła jego rękę. – Muszę przestać o nim myśleć. Czuję się tak, jakby podczas wspaniałego pikniku nagle osunęła się ziemia. Do tej pory jestem poobijana. Gdybym tak mogła usłyszeć jakąś dobrą nowinę... – Patrzyła, jak Julie i Wayne wymieniają spojrzenia. Uśmiechnęła się. – Ja też kilka razy zauważyłam, że coś iskrzy. To jak grom z jasnego nieba?

– Poniekąd – rzekł Wayne, uśmiechając się do Julie. – To trwa mniej więcej od sześciu lat.

– Sześć lat! – wykrzyknęła ze zdumieniem.

– Nie chciałem być jednym z wielu – wyjaśnił Wayne, zapalając eleganckiego papierosa.

– A ja zawsze byłam przekonana, że Wayne kocha się w tobie – oznajmiła Julie.

– We mnie? – Raven po raz pierwszy od wielu dni roześmiała się gromko.

– Dla mnie to mało śmieszne – zza chmury dymu odezwał się Wayne. – Wiele pań uważa mnie za atrakcyjnego.

– Oczywiście, że jesteś bardzo atrakcyjny! – Raven cmoknęła go w policzek. – I to jak! Ale nie mieści mi się w głowie, jak ktoś mógł myśleć, że się we mnie bujasz. Zawsze pokazywałeś się z pięknymi modelkami o idealnych twarzach i długich nogach.

– Może zostawmy teraz ten wątek – prychnął Wayne.

– Nie ma sprawy – z uśmiechem powiedziała Julie, odgarniając włosy za ucho. – Burzliwa przeszłość Wayne'a mnie nie porusza.

– Kiedy to się stało? – dociekała Raven. – Nie było mnie przez kilka tygodni, a gdy wróciłam, widzę, że moi najlepsi przyjaciele robią do siebie maślane oczy.

– Nigdy do nikogo nie robiłem maślanych oczu – obruszył się Wayne. – Uwodzicielskie spojrzenia, i owszem, ale maślane oczy...

– No więc kiedy? – nalegała Raven.

– Pierwszego dnia rejsu siedzę sobie na leżaku – zaczęła Julie – i wyobraź sobie, gdy tylko podniosłam oczy, ujrzałam, że zbliża się do mnie mężczyzna w świetnie skrojonym białym garniturze. Jak myślisz, kim był ten przystojniak?

– Naprawdę? – Raven z niedowierzaniem popatrzyła na Wayne'a. – Już sama nie wiem, czy jestem zaskoczona, czy raczej pod wrażeniem.

– Pomyślałem, że oto nadarza się wyśmienita okazja – wyjaśnił, strzepując papierosa. – Chciałem osaczyć ją z mety, nim oczaruje jakiegoś morskiego potentata czy marynarza.

– Kilka lat temu rzeczywiście podbiłam serce morskiego potentata – spokojnie potaknęła Julie. – A co do marynarza...

– Teraz to bez znaczenia – wszedł jej w słowo Wayne, posyłając ostrzegawcze spojrzenie. – Uznałem, że taki rejs wycieczkowy to świetne miejsce, by ją poderwać. Poszło mi nieźle. To wcale nie było trudne.

– Tak? – Julie uniosła lewą brew. – Naprawdę? Wayne strzepnął papierosa, podszedł do Julie i wziął ją w ramiona.

– To była pestka – powiedział nonszalancko. – Zresztą kobiety zwykle nie mogą mi się oprzeć.

– To lepiej niech trzymają się od ciebie z daleka i niczego nie próbują, bo ich życie może być zagrożone. Skręcę im kark – pieszczotliwym tonem ostrzegła Julie, zarzucając mu rękę na szyję.

– Życie z tą kobietą nie zapowiada się różowo – rzekł Wayne, dając jej czułego całusa.

– Widzę, że razem nie będzie wam lekko. Naprawdę współczuję. – Raven podeszła do nich i objęła ich serdecznie. – Zgodzicie się, bym wyprawiła wam wesele? Hm... to znaczy planujecie ślub?

– Oczywiście – zapewnił Wayne. – Nie mamy do siebie ani krzty zaufania, więc inaczej nie ma mowy. – Tak promiennie uśmiechnął się do Julie, że Raven, nie wiadomo dlaczego, chciała zaszlochać.

Objęła ich mocno.

– To wspaniała wiadomość, właśnie coś takiego było mi potrzebne. Zostawiam was. Na pewno nie będziecie się nudzić. Mogę się wygadać przed Hendersonem? – zapytała. – Czy to jeszcze tajemnica?

– Możesz mu powiedzieć – przystała Julie, obserwując, jak Raven wkłada przed lustrem kapelusz. – Zamierzamy zrobić ten krok w przyszłym tygodniu.

Raven popatrzyła na jej odbicie.

– Boże, to naprawdę niesamowite tempo.

– Nie ma na co czekać, kiedy jest dobrze.

– Racja, też tak myślę. W lodówce chyba jest szampan. – Raven odwróciła się od lustra. – Wzniesiemy za was toast, gdy wrócę ze spotkania. Za kilka godzin jestem z powrotem.

– Raven. – Julie zatrzymała ją, gdy była tuż przy wyjściu. – Twoja torebka. – Podała ją Raven. – Będiesz pamiętała, żeby coś zjeść, prawda?

– Jasne, że będę pamiętała.

Po godzinie siedziała na oszklonym tarasie restauracji, mając przez sobą talerz z homarami. Na sali było kilka osób, które znała.

Lubiła to miejsce urzekające wyrefinowaną elegancją: egzotyczne rośliny, masa kwiatów, słońce wlewające się przez szklany dach i jasnymi plamami kładące się na ceramicznej posadzce, cichy szmer wody przelewającej się z usytuowanej w głębi fontanny, wiklinowe meble i powietrze przesycone aromatem potraw i wonią kwiatów. Choć teraz była zbyt pochłonięta rozmową z agentem, by zwracać uwagę na otoczenie.

Henderson był wielkim, przysadzistym mężczyzną i z pewnością nie wyglądał na sprytnego, świetnego agenta. Miał jasnorude, lekko kręcone włosy i pogodne błękitne oczy, które, czego sama była nieraz świadkiem, potrafiły być ostre jak brzytwa. Szeroką twarz o łagodnych rysach zdobiły jasne piegi.

Umiał sprawiać wrażenie osoby poczciwej i niezbyt lotnej; to była jego najskuteczniejsza broń. Jednak w razie potrzeby Henderson stawał się nadzwyczaj bystry i nieugięty. Lubił Raven nie tylko dlatego, że dzięki niej zbił fortunę. Również i za to, że nigdy nie miała mu tego za złe, czego nie dało się powiedzieć o niektórych jego podopiecznych, którzy zapominali, że bez Hendersona byliby anonimowymi biedakami. A przede wszystkim lubił i cenił Raven za to, że była szlachetnym i uczciwym człowiekiem, prawdziwy rarytas w naszych czasach.

Nie przerywając jej ani słowem, dał jej się wygadać. Raven trajkotała o swoim pomysłe trasy koncertowej po Australii i Nowej Zelandii, promującej nowy album, który już po tygodniu od premiery miał świetne wyniki sprzedaży. Henderson nieśpiesznie raczył się cielęcina, popijając ją ciężkim czerwonym winem; Raven od czasu do czasu upijała łyk białego wina.

Jego uwadze nie uszło, że ani razu nie wspomniała o muzyce do musicalu ani o pracy w Kornwalii. Wiedział, że robota została zakończona. Jarett, z którym już o tym rozmawiał, był wniebowzięty. Lauren Chase nie miała najmniejszych zastrzeżeń, podobały się jej wszystkie utwory. Wczoraj rozpoczęto prace nad choreografią. Czyli muzyka była bardzo trafiona.

Tym większą niespodzianką był dla Hendersona niespodziewany przyjazd Raven. Był przekonany, że Raven zrobi sobie z Brandem tydzień czy dwa wolnego, jak to wcześniej zapowiadała, lecz oto pojawiła się w Kalifornii, w dodatku sama.

Rozprawiała nerwowo, przeskakując z tematu na temat. Henderson nie przerywał jej, jedynie od czasu do czasu pomrukiwał niezobowiązująco. Raven trajkotała przez dobry kwadrans bez przerwy, nim jej ożywienie nieco opadło. Henderson cierpliwie czekał. Pociągnął porządny łyk wina.

– Nie widzę żadnego problemu. – Otarł usta lnianą serwetką. – Trasę po Australii da się załatwić bez trudu. – Patrzył na nią pogodnie.

– To świetnie. – Raven uświadomiła sobie, że powiedziała wszystko, co chciała powiedzieć, więc nadziała na widelec kawałek krewetki i zaczęła jeść.

– Nim wszystko się ustali, zrób sobie przyjemne wakacje – rzekł Henderson.

Nie, to odpada. Myślałam, żebyś wkręcił mnie do jakiegoś programu, może do talk-show.

– To też da się zrobić – rzekł dobrodusznie. – Gdy już sobie wypoczniesz przez kilka tygodni.

– Chcę występować, a nie wypoczywać. – Popatrzyła na niego podejrzliwie. – Rozmawiałeś z Julie?

– Nie. A co? – spytał zaskoczony.

– Nic. – Pokręciła głową, uśmiechnęła się. – Chcę występować, chcę śpiewać.

– Bardzo zmizerniałaś. To widać po tobie. Zjedz trochę.

Raven westchnęła głośno i popatrzyła na swój talerz.

– Czemu wszyscy traktuj ą mnie jak przymulone dziecko? – marudziła, zjadając kawałek krewetki. – Chyba zacznę kaprysić i stroić fochy, zachowywać się jak nieznośna gwiazda. – Henderson mruknął coś nieparlamentarnego, jednak Raven zignorowała tę jego uwagę. – Podobno Jerry Michaels szykuje programy na jesień, kompletuje gości specjalnych. Mógłbyś mnie tam wcisnąć.

– To bułka z masłem. Będzie skakać pod sufit, jeśli cię złowi.

– No więc?

– Co?

– Henderson. – Odsunęła od siebie talerz. – Wkręcisz mnie do programu Jerry'ego?

– Nie. – Nalał sobie wina. Promienie zachodzącego słońca rozświetlały kieliszek i rzucały czerwonawy odblask na obrus.

– Dlaczego? – W jej głosie zabrzmiał niepokój.

– Bo to nie dla ciebie. – Henderson uniósł dłoń, powstrzymując protest Raven. – Wiem, kto jest producentem tego programu. Uwierz mi, to nie dla ciebie.

Umilkła, choć nie przyszło jej to łatwo. Dobrze wiedziała, że powinna polegać na intuicji Hendersona. To najlepszy doradca.

– Skoro tak, to darujmy sobie Michaela. W takim razie co?

– Masz ochotę na deser?

– Nie, poproszę tylko kawę.

Henderson skinął na kelnera, zamówił dla siebie sernik z jagodami i dwie kawy. Wygodnie rozparł się na krześle, po czym spytał:

– A co z „Fantasy”?

– Wszystko zostało zrobione – odparła beznamiętnie.

– I?

– I co? – powtórzyła, podnosząc na niego wzrok. – Praca skończona.

Pozostały tylko drobiazgi, ale z tym nie powinno być problemów. Brandon czy jego agent na pewno daliby ci znać, gdyby coś było nie tak.

– Jarett prawdopodobnie będzie chciał, byście byli pod ręką podczas kręcenia filmu – oświadczył Henderson.

– Czyli dla mnie ta sprawa nie jest jeszcze zakończona.

Raven zmarszczyła czoło, wbiła wzrok w złociste wino w swoim kieliszku.

– Masz rację, oczywiście. Nie pomyślałam o tym. Cóż... – Potrząsnęła głową, odstawiła kieliszek. – Zrobię co trzeba, gdy przyjdzie pora.

– Jak szła robota?

Popatrzyła na agenta, lecz jej myśli poszybowały gdzie indziej.

– Stworzyliśmy najlepszą muzykę, jaką dotąd każde z nas napisało. Wspaniale nam się pracowało. Sama byłam zdziwiona.

– Myślałaś, że będzie inaczej? – Henderson popatrzył na sernik.

– Tak. Nie spodziewałam się tego. Dziękuję – powiedziała do kelnera i popatrzyła na agenta. – Niezależnie od wszystkich innych rzeczy, pracowało nam się świetnie.

– Już wcześniej tak było. „Clouds and Rain”. – Spozstrzegł, że Raven spochmurniała, mimo to ciągnął:

– Wiesz, jak skoczyła sprzedaż po tym koncercie w Nowym Jorku? Zrobiliście sobie fantastyczną reklamę, w dodatku za darmo.

– Wiem. – Wbiła wzrok w filiżankę. – Nie wątpię.

– Przez ostatnie tygodnie wiele osób mnie o to pytało – mówił dalej, nie przejmując się, że Raven jest coraz bardziej zasepiona. – Nie tylko z branży – dodał z uśmiechem. – W zeszłym tygodniu byłem na miłej imprezce. Ty i Brand byliście głównym tematem wieczoru.

– Już powiedziałam, że dobrze się nam pracuje.

– Odstawiła filiżankę. – Brandon miał rację: pasujemy do siebie pod względem artystycznym.

– A prywatnie? – Henderson nabrał porządny kęs ciastka.

– No wiesz. – Raven uniosła brew. – Nie bawisz się w subtelności.

– Nie ma sprawy, nie musisz mi odpowiadać. – Przełknął sernik, nabrał kolejny kęs. – Możesz powiedzieć jemu.

– Komu?

– Brandowi. – Dolał śmietanki do kawy. – Właśnie wszedł.

Obróciła się gwałtownie. Jej oczy w tej samej chwili ujrzały Branda. Przepęłniła ją dzika, szalona radość. Instynktownie chciała poderwać się z miejsca i pobiec do niego. Już odsunęła krzesło, gdy widok malujący się na jego twarzy sprawił, że znieruchomiała. To nawet nie gniew, lecz mrożąca furia. Patrzyła, jak Brand toruje sobie drogę przez zatłoczoną salę, nie zwracając uwagi na pozdrowienia. W restauracji zaległa cisza.

Brand, nie odrywając oczu od Raven, podszedł do ich stolika. Chciała wyciągnąć do niego rękę, lecz się powstrzymała. Bała się, że mógłby ją odtrącić. Serce zabiło jej niespokojnie, zapomniała o siedzącym obok Hendersonie.

– Idziemy.

– Idziemy? – powtórzyła oniemiała.

– Już. – Wziął ją za rękę i poderwał z krzesła. Była tak zaskoczona, że nawet nie mrugnęła.

– Brandon...

– Już. – Ruszył, ciągnąc ją za sobą. Czuła na sobie wzrok gości. Przeżyty szok, radość i nagły niepokój zmieniły się w gniew.

– Puść mnie! – rzuciła stłumionym głosem. – O co ci chodzi? Nie możesz mnie tak wyciągać. – Potrąciła siedzącego przy stoliku aktora i przeprosiła go pośpiesznie, bo Brand ani myślał zwolnić. – Brandon, przestań! Nie życzę sobie, byś mnie tak szarpał.

– Wolisz, żebym tu i teraz powiedział to, co mam ci do powiedzenia?

W ciszy jego lodowaty głos brzmiał bardzo wyraźnie. Widziała, że ledwie nad sobą panuje. Nie przestawał zaciskać palców na jej ręce. Dotarło do niej, że znów znaleźli się w centrum uwagi, lecz w innym kontekście niż w Nowym Jorku.

– Nie. – Starła się mówić spokojnie i cicho. – Ale nie ma powodu, byś urządził mi scenę.

– Właśnie mam ochotę urządzić ci scenę – zareplikował. – Mam na to cholerną ochotę!

Nim odpowiedziała, odwrócił się i pociągnął ją do wyjścia. Wepchnął ją do stojącego przed restauracją mercedesa i zatrzęsął drzwiami.

Wyprostowała się w fotelu, obserwując, jak Brand okrąża samochód i wsiada.

– No to będziesz mieć scenę – wycedziła, ze złością ściągając kapelusz i rzucając go na tylne siedzenie. – Jak śmiałeś...

– Zamknij się. Ostrzegam. – Obrócił się do niej. – Nic nie mów, póki nie dojedziemy na miejsce, bo inaczej zaraz cię uduszę.

Ruszył ostro. Raven opadła na fotel. Dobrze, zamknę się, przemawiała do siebie w duchu, cała aż gotując się z wściekłości. Zamknę się. Przynajmniej będę mieć czas, by dokładnie obmyślić, co ci wyrąbać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy podjechali pod hotel Bel–Air, miała przygotowaną przemowę. Brand wysiadł, Raven też szybko wyszła i stanęła na chodniku, lecz nim zdążyła otworzyć usta, złapał ją za ramię i pociągnął do frontowych drzwi.

– Powiedziałam ci, żebyś mnie nie ciągnął.

– A ja ci powiedziałem, żebyś się zamknęła. – Minęli portiera i weszli do lobby. Raven musiała dobrze wyciągać nogi, by dorównać mu kroku.

– Nie życzę sobie, byś zwracał się do mnie w taki sposób – wycedziła, daremnie próbując oswobodzić rękę.

– Nie będziesz mnie ciągnąć jak walizkę.

– Mam już dość stosowania się do twoich zasad – odparował Brand, ujmując ją za barki i przygarniając do siebie. Tak ją tym zszokował, że głos uwiązł jej w gardle.

– Teraz ja tu rządzę, według moich reguł.

Nakrył ustami jej usta. Płonął z gniewu, ten gwałtowny, wręcz brutalny pocałunek dobitnie o tym świadczył. Jakby Brandon wyzywał ją do walki.

Kiedy wreszcie się cofnął, przez długą chwilę wpatrywał się w Raven w milczeniu. Zaklął pod nosem. Odwrócił się i popchnął ją w stronę wind.

Gdy wjeżdżali na górę, drżała na całym ciele ze strachu, a może z gniewu. Czuł pod palcami jej szybkie tętno. Znów zaklął soczyście, lecz Raven nawet na niego nie spojrzała. Kiedy drzwi się rozsunęły, pociągnął ją na korytarz w stronę wejścia do penthouse'u.

Brand wsunął klucz, puścił Raven i otworzył drzwi. Nie opierając się, weszła. Zatrzymała się na środku.

Było to eleganckie, wręcz luksusowe wnętrze urządzone w staroświeckim stylu, z niewielkim ceglany kominkiem, wyłożone puszystą

wykładziną. Raven usłyszała dźwięk zamykanych drzwi i metaliczny brzęk klucza rzuconego na stolik. Nabrała powietrza i się odwróciła.

– Brandon...

– Nie, najpierw ja powiem swoje. – Podeszedł do niej, nie odrywał od niej oczu. – Teraz obowiązują moje zasady, mówiłem ci.

– Tak. – Dumnie uniosła brodę. Od uścisku jego palców bolało ją ramię. – Pamiętam.

– Po pierwsze, dość już tego wymykania się i mataczenia. Ukrywania się przede mną. – Stali blisko siebie. Teraz, gdy pierwszy szok minął, widziała napięcie i zmęczenie malujące się na jego twarzy. Brand mówił tak szybko, że nie miała szans wejść mu w słowo. – To samo zrobiłaś przed pięcioma laty, ale wtedy nie byliśmy kochankami. Zawsze coś przede mną ukrywałaś. Zawsze bałaś się przede mną otworzyć, zaufać mi.

– Nie. – Potrząsnęła głową, szukając czegoś na swoją obronę. – Tak nie było. To nieprawda.

– Owszem, to prawda! – Znow ujął ją za barki. – Czy wtedy powiedziałaś mi chociaż słowo o swojej matce? O tym, co czujesz, przez co przechodzisz? Pozwoliłaś mi poznać twoje życie na tyle, bym mógł ci pomóc albo chociaż pocieszyć?

Nie tego się po nim spodziewała. Przycisnęła dłoń do skroni, znow potrząsnęła głową.

– Nie, bo to nie było coś...

– To nie było coś, o czym chciałaś mi mówić. – Puścił ją i cofnął się o krok. – Oczywiście... – W jego głosie znow zabrzmiał gniew. Brandon wyciągnął papierosa. Musiał czymś zająć ręce, by nie zrobić jej krzywdy. Patrzył, jak Raven bezwiednie masuje obolałe ramię. – A czy teraz byś mi coś

powiedziała, gdyby nie ten zły sen? Gdybyś nie była przerażona i oszołomiona, zaufałaś mi? Powiedziałaś mi cokolwiek?

– Nie wiem – wyznała stropiona. – Moja mama nie ma z tobą nic wspólnego.

Rzucił papierosa, nim jeszcze go zapalił.

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz stać tutaj i opowiadać takie rzeczy? – Zrobił krok w jej stronę, opamiętał się i zatrzymał. Podeszedł do barku, nalał sobie whisky i opróżnił szklaneczkę. – Może powinienem trzymać się z daleka – odezwał się nieco spokojniejszym tonem. – Już raz wykopałaś mnie ze swego życia, pięć lat temu.

– Ja cię wykopałam?! – Teraz to ona podniosła głos. – Odszedłeś ode mnie. Zostawiłeś mnie, bo nie chciałam pójść z tobą do łóżka. – Podeszła do barku, oparła dłonie na mahoniowym blacie. – Wyszędłeś ode mnie i zniknąłeś bez słowa. Wiedziałam o tobie tylko tyle, co wyczytałam w gazetach. Szybko się pocieszyłeś w ramionach innych kobiet. Mnóstwa kobiet.

– Brałem, ile wlezie. – Znów pociągnął łyk. – I jak szybko się dało. Kobiety, alkohol, hazard... Próbowałem wszystkiego, by zapomnieć o tobie. – Popatrzył na resztki alkoholu w szklance. – Niestety, nic nie pomogło. – Odstawił szklankę i popatrzył na Raven. – Stąd wiedziałem, że muszę zdobyć się na cierpliwość.

Patrzyła na niego pociemniałymi oczami.

– Nie mów, że to ja cię wyrzuciłam.

– Przecież to zrobiłaś. – Chciała się odwrócić, lecz Brand pochwycił ją za nadgarstki. Dzielił ich wąski mahoniowy blat. – Byliśmy sami, pamiętasz? Julie wyjechała na kilka dni.

Raven wytrzymała jego wzrok.

– Doskonale pamiętam.

– Tak? – Patrzył na nią chłodno, jego głos też brzmiał lodowato. – Być może jest kilka rzeczy, których nie pamiętasz. Kiedy tamtego wieczoru przyjechałem do ciebie, zamierzałem poprosić cię o rękę. – Przestała czuć, przestała myśleć. Mogła tylko wpatrywać się w niego z napięciem. – To cię zaskoczyło? – Puścił jej dłonie i znów sięgnął po papierosa. – Najwyraźniej oboje mamy całkowicie odmienny obraz tamtego wieczoru. Kochałem cię. – Zabrzmiało to jak oskarżenie. Cóż mogła na to powiedzieć? – Klnę się na Boga, że przez te tygodnie, kiedy byliśmy razem, byłem ci wierny. Nawet nie dotknąłem innej kobiety. – Zapalił papierosa i dodał cicho: – Omal nie oszalałem.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś – wyszeptała, patrząc na niego rozszerzonymi oczami. – Nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Bo wciąż się wycofywałaś! Wiedziałem, że jesteś niewinna i wystraszona, choć nie miałem pojęcia, czego się tak lękasz. – Patrzył na nią wnikliwie. – Byłoby zupełnie inaczej, gdybym wiedział, lecz nie chciałaś mi zaufać.

– Och, Brandon...

– Tamtego wieczoru – mówił dalej – byłaś taka słodka, topniałaś w moich ramionach. Czułem, jak bardzo mnie pragniesz. To doprowadzało mnie do szaleństwa. Bóg mi świadkiem, jak bardzo starałem się nad sobą panować, niczego nie przyśpieszać, choć w środku aż się skręcałem. To było ponad moje siły. – Przeciągnął palcami po włosach. – Poddawałaś się moim pieszczotom, omdlewałaś. I nagle zaczęłaś się opierać, walczyć ze mną jak przerażone dziecko, odpychać mnie, jakbym chciał ci zrobić krzywdę, ukatrupić. Powtarzałaś, żebym cię nie dotykał, że nie możesz tego znieść. – Jego oczy płonęły.

– Byłaś jedyną kobietą, która mogła tak boleśnie mnie zranić.
– Brandon... Miałam wtedy dwadzieścia lat i było tyle rzeczy...
– Wiem, ale wtedy nie miałem o tym pojęcia. Choć teraz aż tak wiele się nie zmieniło. – Raven otworzyła oczy i chciała coś powiedzieć, lecz Brand pokręcił głową.

– Nie, jeszcze nie skończyłem. Zniknąłem z twojego życia, żeby dać ci czas. Nie widziałem lepszego rozwiązania. Nie mogłem wytrzymać tego czekania tutaj, w Los Angeles. Nie miałem pojęcia, jak długo to może potrwać, jak długo dam radę czekać, ile czasu minie, nim na coś się zdecydujesz. Przez tych pięć lat skupiłem się na karierze. Podobnie jak ty. – Przerwał na moment. – Z perspektywy czasu można powiedzieć, że to nam wyszło na zdrowie. Ty ugruntowałaś swoją pozycję, ja miałem przyływ weny twórczej. Kiedy w gazetach zaczęło pojawiać się coraz więcej plotek na twój temat, uznałem, że pora przejść do działania. – Widział, jak Raven otwiera usta, a jej oczy zapalają się gniewem. – Będziesz się wściekać do woli, gdy skończę! Ale teraz mi nie przeszkadzaj.

– Dobrze, mów – wydusiła i znów na niego spojrzała.

– Przyjechałem do Stanów, nie mając żadnego sprecyzowanego planu poza tym, że muszę cię zobaczyć. Pomysł pojawił się, gdy zaproponowano mi pracę nad „Fantasy”. Postanowiłem wykorzystać tę okazję. Kiedy w studiu przyglądałem się, jak śpiewasz, wiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy, by cię odzyskać. Praca nad musicalem była idealnym pretekstem. – Odsunął pustą szklaneczkę. – Nie kłamałem, mówiąc, że ze względów zawodowych zależy mi na twoim współdziałaniu w tworzeniu tej muzyki, naprawdę uważałem, że świetnie się w tym sprawdzisz. Choć posunąłbym się do kłamstwa, gdyby to okazało się konieczne. Może więc miałaś trochę racji, wysuwając swoje zarzuty, wtedy na klifie. – Odszedł od barku i stanął przy

oknie. – Oczywiście chodziło mi o coś więcej niż tylko o zaciągnięcie cię do łóżka.

Poczuła ucisk w gardle.

– Brandon. – Przełknęła ślinę, opuściła powieki. – Nigdy w życiu nie żałowałam czegoś bardziej niż tego, co wtedy ci powiedziałam. Wiem, że złość to żadne wytłumaczenie, ale mam nadzieję... liczę, że mi wybaczysz.

Odwrócił głowę, przez chwilę przyglądał się Raven.

– Może to byłoby łatwiejsze, gdybyś nie wyjechała.

– Musiałam wyjechać. Zostawiłam ci kartkę, gdzie napisałam...

– Jaką kartkę? – zapytał ostro, odwracając się gwałtownie.

– List. – Nie wiedziała, czy podejść do niego, czy raczej się cofnąć. – Położyłam ją na fortepianie, na nutach.

– Nie widziałem żadnej kartki. Nie widziałem niczego, wiedziałem tylko, że zniknęłaś. – Wypuścił powietrze. – Wszystkie papiery wrzuciłem do teczki. Nie zauważyłem żadnego listu.

– Zaraz po twoim wyjeździe zadzwoniła Julie z informacją o wypadku.

Znow wlepił w nią wzrok.

– Jakim wypadku? – Gdy Raven w milczeniu patrzyła na niego wielkimi oczami, natychmiast odgadł, w czym rzecz. – Twoja matka, tak?

– Miała wypadek. Musiałam natychmiast wracać.

Wbił rękę w kieszenie.

– Dlaczego nie poczekałaś na mnie?

– Chciałam poczekać, ale nie mogłam. – Splotła palce, by ręce jej nie drżały. – Doktor Karter powiedział, że to może być kwestia godzin. I tak niestety było... Choć poleciałam pierwszym samolotem, przyjechałam za późno.

Poczuł, jak złość z niego wyparowuje.

– Strasznie mi przykro. Nic nie wiedziałem.

Nie miała pojęcia, dlaczego te proste słowa tak na nią podziały. Wcześniej nie płakała, teraz łzy popłynęły jej po policzkach. Obraz przed oczami stał się rozmazany, dławilo ją w gardle, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Trafiło mnie, gdy wróciłem do domu i okazało się, że zabrałaś swoje rzeczy i wyjechałaś – zaczął znużonym głosem Brand. – Nie pamiętam już, co w pierwszej chwili zrobiłem, a później piłem na umór. Nazajutrz zebrałem papiery, spakowałem się i poleciałem do Stanów. – Milczał przez chwilę. – Na kilka dni zatrzymałem się w Nowym Jorku. Musiałem się pozbierać, zastanowić nad tym, co dalej. Strawiłem tyle czasu, uganiając się za tobą. Takie poczucie działa dobijająco. Znalazłem sporo racjonalnych powodów, by sobie odpuścić. Wrócić do Anglii i zapomnieć o tobie. Był tylko jeden drobiazg, jedna istotna sprawa, z którą trudno mi było dyskutować. – Znowu popatrzył na Raven. Stała odwrócona tyłem, z lekko pochyloną głową. Upięte włosy odsłaniały jej smukłą szyję. – Kocham cię, Raven.

– Brandon. – Odwróciła do niego zalaną łzami twarz. Zamrugła, oślepiona jasnym strumieniem słońca. Potrząsnęła głową, widząc, że Brandon rusza w jej stronę. – Nie, proszę. Nie będę mogła mówić, gdy mnie dotkniesz. – Otarła łzy. – Bardzo się myliłam. Muszę ci to powiedzieć.

Nie poruszył się, choć czuła jego narastające zniecierpliwienie.

– Wygłosiłem swoją przemowę – powiedział. – Też powinnaś mieć taką możliwość.

– Wtedy, przed laty, w moim życiu wszystko się zmieniło. Nagle i bez uprzedzenia. Byłam oszołomiona, nie potrafiłam się w tym rozeznać. Kariera, sława, pieniądze, życie w blasku fleszy, to przyszło zupełnie niespodziewanie – mówiła szybko, coraz pewniej. – Nie miałam czasu, by się z tym oswoić, bo

wszystko działo się nagle i jednocześnie. Nim trochę okrzepłam i przyzwyczaiłam się do nowej sytuacji, nieoczekiwanie zakochałam się w Brandonie Carstairsie. – Zaśmiała się, znów otarła łzy. – W wielkim Brandonie Carstairsie. Postaw się na moim miejscu. Byłeś dla mnie kimś z plakatu, nazwiskiem z płyty, i nagle stałeś się kimś prawdziwym, mężczyzną, w którym się zakochałam. – Zwilżyła usta, też zapatrzyła się w okno. – A moja mama... czułam się za nią odpowiedzialna. Tak było zawsze, takich rzeczy nie da się zmienić z dnia na dzień. Byłeś dla mnie rycerzem na białym koniu. Nie mogłam i nie chciałam wyjawić ci tej mrocznej strony mojego życia. Bałam się i nie miałam pewności co do twoich uczuć. Nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

– Przerazałaś mnie – wyszeptał. – Przerazało mnie to, co do ciebie czuję. Coś takiego przeżywałem po raz pierwszy. Żadna kobieta nie była dla mnie tak ważna.

– Wzruszył ramionami. – Tylko że ty wciąż mnie odpychałaś. Gdy tylko próbowałem się do ciebie zbliżyć, cofałaś się.

– Bo zawsze chciałeś dużo. – Objęła się ramionami.

– Nawet teraz, w Kornwalii, gdy tyle nas połączyło. Ciągle miałam poczucie, że dla ciebie to jeszcze mało, że chcesz więcej.

– Raven, nadal się opierałaś. – Patrzył jej prosto w oczy. – Chodziło mi o coś więcej niż twoje ciało. Na coś więcej czekałem przez tych pięć lat.

– Miłość powinna wystarczyć – odparowała, czując nagły gniew.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Miłość to za mało. Chcę o wiele więcej. – Umilkł, obserwując uczucia malujące się na twarzy Raven. – Chcę, byś mi zaufała bezwarunkowo i bez zastrzeżeń. Chcę całkowitego porozumienia i oddania. Tym razem wszystko albo nic, Raven.

Cofnęła się.

– Nie możesz mnie mieć. Oczy błysnęły mu gniewnie.

– Do cholery, nie chcę cię posiadać, ale chcę, byś była moja. Nie widzisz, że to różnica?

Przez długą minutę wpatrywała się w niego w milczeniu. Zwiesiła ramiona. Już nie czuła chłodu. Napięcie, które wcześniej czuła na karku, ustąpiło.

– Nie widziałam – powiedziała cicho. – A powinnam.

Podeszła do niego wolno. Każdy szczegół jego twarzy widziała wyraźnie, całkiem na nowo: ciemne, wyraziste brwi, teraz ściągnięte razem, poważne zielononiebieskie oczy, w których skrzyły się niecierpliwe ogniki, cienie świadczące o nieprzespanych nocach. Uświadomiła sobie, że teraz kocha go jak kobieta, już nie jak dziewczyna. Bez lęku i bez ograniczeń. Przesunęła palcem po policzku Branda, jakby chciała złagodzić jego napięcie.

Padli sobie w ramiona, odnaleźli swoje usta. Brand zanurzył palce w jej włosy, uwolnił je, od spinek. Wymruczał coś niezrozumiałego i pocałował ją jeszcze goręcej. Oszołomieni i niecierpliwi, pośpiesznie zdierali z siebie ubrania. Nie potrzebowali słów, wystarczał dotyk.

Zaklął cicho, gdy nie mógł poradzić sobie z suwakiem jej sukienki, co bardzo rozbawiło Raven. Wreszcie opadli na dywan, zatracając się w pieszczotach, spragnieni siebie, złaknieni do bólu. A potem czas się zatrzymał, gdy spleceni miłosnym uściskiem, zatapiali się w rozmarzeniu i cichej radości. Raven czuła na szyi ciepłe tchnienie oddechu Branda.

– Brandon – wyszeptała, muskając ustami jego skórę.

– Hm?

– Miałam ci coś powiedzieć, ale wypadło mi z głowy.

– Zaśmiała się cicho.

– Może kiedyś ci się przypomni. – Też się roześmiał.

– Widać to nie było nic istotnego.

– Na pewno masz rację. – Uśmiechnęła się, pogładziła go po policzku. – To było coś o miłości. Że kocham cię bezgranicznie, do obłędu. I niczego więcej nie pragnę, jak być twoją. Nic istotnego.

Pochylił ku niej usta, delikatnie skubał jej nabrzmiąłą od pocałunków wargę.

– Byłaś zdekoncentrowana – rzekł w zadumie, przesuając dłonią po jej piersi.

Raven pogładziła go po plecach.

– Trochę mi się śpieszyło.

– Tym razem... – zaczął obsypywać drobnymi pocałunkami jej kark i bark. – Tym razem zwolnimy tempo.

Chyba nie zaszkodzi trochę więcej orkiestracji, jak myślisz? – Jego dłoń pieszczotliwie błędziła po jej piersi.

– Tak, przyda się więcej orkiestracji. Brandon... – Zamruczała, bo zaczął całować jej ucho. – Zagrajmy to jeszcze raz, z uczuciem...